

Yei T. Ozaki

BAŚNIE JAPOŃSKIE



KIRIN

Tytuł oryginału:

Japanese Fairy-Tales

Opracowanie graficzne:

Krzysztof Wosiński

Opracowanie elektroniczne:

Marta Szyler, Krzysztof Wosiński

Copyright © for Polish translation by Adrianna Wosińska

© for Polish edition by Wydawnictwo Kirin

Wydawca, sprzedaż hurtowa i wysyłkowa:

Wydawnictwo Kirin

tel. 51 636-78-55

www.kirin.pl

e-mail: kirin@kirin.pl

Księgarnia internetowa:

www.sklep.kirin.pl

www.ksiegarniajaponska.pl

Wydanie I elektroniczne

Bydgoszcz 2016

ISBN 978-83-62945-51-1

Spis treści

- [1. Zbieracz bambusa i księżycowe dziecko](#)
- [2. Momotarō – chłopiec zrodzony z brzoskwini](#)
- [3. Urashima Tarō](#)
- [4. Przygody Kintarō, „Złotego chłopca”](#)
- [5. Zdolny myśliwy i zręczny rybak](#)
- [6. Biały zając z Inaby i krokodyl](#)
- [7. Przygody księcia Yamato Take](#)
- [8. Opowieść o księżniczce Hase](#)
- [9. Tawara Tōda, „Mój pan od worka ryżu”](#)
- [10. Demon z bramy Rashōmon](#)
- [11. Demon z Adachigahary](#)
- [12. Jak pewien staruszek pozbył się narośli](#)
- [13. Baśń o człowieku, który nie chciał umrzeć](#)
- [14. Baśń o staruszkę, który ożywił uschnięte drzewa](#)
- [15. Wróbelek z odciętym językiem](#)
- [16. Rolnik i jenot](#)
- [17. Roztropna małpa i dzik](#)
- [18. Małpa i meduza](#)

19. Zemsta kraba

20. Pięciobarwne kamienie i chińska cesarzowa Jōka

21. *Shinansha*, czyli powóz wskazujący południe

22. Zwierciadło z Matsuyamy

1. Zbieracz bambusa i księżycowe dziecko

Dawno, dawno temu żył sobie stary zbieracz bambusa. Był bardzo biedny, a przy tym i nieszczęśliwy, bowiem niebiosa nie raczyły obdarować go choćby jednym dzieckiem, aby umiłało mu jesień życia. W sercu staruszka nie było więc cienia nadziei na odpoczynek od pracy aż do dnia, kiedy umrze i zostanie złożony w cichym grobie. Każdego ranka wyruszał do lasu lub na wzgórze, gdziekolwiek bambus wznosił swe gibkie, zielone pióropusze liści. Kiedy już wybrał odpowiednią roślinę, ścinał ją, rozszczepiał wzdłuż łodygi lub w poprzek przy kolankach, po czym zanosił do domu, gdzie wykonywał z nich różne przedmioty codziennego użytku, z których sprzedaży utrzymywali wraz z żoną swoje małe gospodarstwo.

Pewnego ranka staruszek jak zwykle udał się do pracy, a znalazłszy dorodną kępę bambusów, zabrał się za ich ścinanie. Nagle zielony zagajnik zalało jasne, łagodne światło, jakby w miejscu tym wzeszedł księżyc w pełni. Rozglądając się wokół z zaskoczeniem, mężczyzna dostrzegł, że lśnienie to dobywa się z jednego pędu bambusa. Zdumiony opuścił topór i podszedł bliżej. Wtedy dostrzegł, że owo światło prześwieca przez szczelinę w zielonej łodydze i w dodatku otacza ono małą ludzką istotę, wzrostu zaledwie dziesięciu centymetrów, a przy tym niezmiernie piękną.

– Musisz być dzieckiem zesłanym mi przez bogów, skoro znajduję cię tutaj, wśród bambusów, gdzie codziennie pracuję – rzekł staruszek i wzięwszy małą istotkę w ręce, zaniósł ją do domu, by jego żona zajęła się jej wychowaniem. Dziewczynka była tak śliczna i tak drobna, że kobieta nosiła ją ze sobą w koszyku, aby nic jej się przypadkiem nie stało.

Od tej pory staruszków przepęłniało szczęście, bowiem całe życie żalowali, że nie mogą mieć własnego potomstwa i teraz z radością obdarzyli całą miłością, na jaką ich tylko było stać, owo dziecko, które powierzono ich opiece w tak niespotykany sposób.

Ponadto od tego dnia starzec co rusz rąbiąc bambusy znajdował w ich łodygach złoto i drogocenne klejnoty, stopniowo więc para bogaciła się. Mężczyzna wybudował dla swojej rodziny wspólny dom i wkrótce z biednego zbieracza bambusa stał się zamożnym człowiekiem.

Minęły trzy miesiące i w tym czasie, ku zdumieniu wszystkich, znaleziona

w bambusie dziewczynka błyskawicznie dorosła, tak że jej przybrani rodzice zaczęli upinać jej włosy i ubierać ją w piękne kimona. Była przy tym tak piękna, że sadzali ją za parawanami jak księżniczkę, aby nikt nie mógł jej oglądać, a usługiwali jej osobiście. Jej postać zdawała się być stworzona ze światła, bowiem za sprawą jej obecności cały dom wypełniał się delikatnym blaskiem, tak że nawet w nocy nie było tam całkiem ciemno. Miała także dobry wpływ na wszystkich wkoło. Kiedy tylko starzec czuł się przygnębiony, wystarczyło, aby spojrzeć na swoją przybraną córkę, a jego smutki wnet zniknęły i przepełniała go radość jak za młodości lat.

Wreszcie nadszedł czas, by nadać dziecku imię, więc staruszkowie wezwali słynnego mędrca, który oznajmił, że dziewczynka powinna nazywać się Kaguya-hime, czyli Księżniczka Księżycowego Światła, ponieważ jej ciało emanowało takim czystym i jasnym blaskiem, jakby była córką samego boga księżyca. Po ceremonii nadania imienia świętowano jeszcze trzy dni, a uroczystościom towarzyszyły pieśni, tańce i muzyka. Zjawili się wszyscy przyjaciele i krewni staruszków, ciesząc się wraz z nimi z tej podniosłej okazji. Każdy, kto tylko ujrzał dziewczynkę, przyznawał, że nigdy wcześniej nie widział podobnej piękności; przy niej bladł powab najznakomitszych dam, jak Japonia długa i szeroka – tak mówili.

Wkrótce wieść o urodzie Kaguyi rozniosła się szeroko, więc szybko zaczęli pojawiać się chętni do jej poślubienia – albo chociaż do ujżenia jej na własne oczy. Zalotnicy z bliskich i dalekich stron zbierali się pod domem księżniczki i robili dziury w ogrodzeniu w nadziei, że uda im się choćby rzucić na nią okiem, kiedy będzie przechodziła z pokoju do pokoju po okalającej budynek werandzie. Przesiadali tam dniami i nocami, nawet kosztem snu, byle tylko ją zobaczyć – na próżno. Próbowali też dostać się do domu i porozmawiać z przybranymi rodzicami dziewczyny albo chociaż ze służącymi, lecz nigdy nie spełniono prośby żadnego z nich. Mimo tych rozczarowań trwali pod jej domem dzień za dniem, noc za nocą, nic sobie z tego nie robiąc – tak bardzo pragnęli ujrzeć Kaguyę.

Wreszcie jednak jeden po drugim pretendenci do ręki księżniczki, widząc, że ich trud jest nadaremny, tracili nadzieję i zapał i wracali do domu. Wkrótce zostało tylko pięciu książąt, których gorliwość i determinacja nie malały wobec przeszkód, lecz przeciwnie – narastały. Tych pięciu mężczyzn odmawiało sobie porządnych posiłków, jedząc tylko to, co im przynoszono,

były tylko móc bez ustanku trwać przy bramie domostwa. Pozostawali na miejscu bez względu na pogodę, w skwarze i słońcu.

Czasem pisywali do księżniczki listy, ale żaden z nich nigdy nie doczekał się odpowiedzi. Kiedy listy okazały się nieskuteczne, poczęli pisać do niej wiersze, opowiadając jej o swojej beznadziejnej miłości, która nie pozwalała im spać, jeść, odpoczywać, a nawet wrócić do domu. Kaguya nadal jednak nie dawała najmniejszego znaku, że chociażby otrzymała ich wiadomości.

W ten sposób minęła zima. Śnieg i mróz ustąpiły stopniowo miejsca łagodnemu ciepłu wiosny. Potem nadeszło lato i słońce świeciło jasno, prażąc niebo i ziemię, a wierni książęta wciąż trzymali straż i czekali. I wreszcie, po owych długich miesiącach, wezwali do siebie starego zbieracza bambusa, by błagać go, aby zlitował się nad nimi i pokazał im księżniczkę. Ten jednak odparł tylko, że nie jest jej prawdziwym ojcem i że nie może oczekiwać od niej, by była posłuszna jego życzeniom.

Usłyszawszy tę odpowiedź, mężczyźni wrócili do swoich domów, by tam rozmyślać nad najlepszym sposobem, w jaki mogliby przemówić do dumnego serca Kaguyi i nakłonić ją, aby choć zechciała udzielić im audiencji. Chwyciwszy w dłonie buddyjskie różańce, uklękli przed domowymi ołtarzami, zapalili cenne kadzidła i poczęli modlić się do Buddy, by spełnił ich życzenie. W ten sposób minęło parę dni, po czym nie mogąc usiedzieć w miejscu, wyruszyli raz jeszcze do domu zbieracza bambusa.

Tym razem starzec wyszedł im na powitanie, a ci zapytali go wprost, czy to rzeczywiście postanowienie samej księżniczki, by nigdy nie spotkać się z żadnym mężczyzną. Uprosil go też, żeby wstawił się u niej za nimi, opowiedział jej o głębi ich miłości do niej, o tym, jak długo czekali w chłodzie zimy i skwarze lata, bez snu, bez dachu nad głową, bez jedzenia i bez odpoczynku, w żarliwej nadziei, że skruszą jej serce i o tym, że uznają to długie czuwanie za przyjemność, jeśli tylko da im szansę przedstawienia jej swojej sprawy.

Starzec wysłuchał ich z uwagą, ponieważ w głębi serca było mu żal tych wiernych adoratorów i miał nadzieję ujrzeć kiedyś swoją uroczą przybraną córkę wychodzącą za mąż za jednego z nich. Udał się więc do Kaguyi i przemówił do niej z szacunkiem:

– Choć zawsze uważałem cię za niebiańską istotę, podjąłem się trudów wychowania cię jak własnego dziecka, ty zaś ochoczo przyjęłaś mój dom za swoje schronienie. Czy zatem odmówisz mi teraz spełnienia mojej prośby?

Księżniczka Kaguya odpowiedziała, że nie ma rzeczy, której by dla niego nie zrobiła, że czci go i kocha jak prawdziwego ojca i że sama w istocie nie pamięta chwili, kiedy przysła na ten świat.

Serce staruszka przepełniło się radością na dźwięk tych pełnych oddania słów. Wówczas wyjawiał jej, jak bardzo pragnął przed śmiercią zobaczyć ją szczęśliwą mężatką.

– Jestem starym człowiekiem, mam przeszło siedemdziesiąt lat i każdy dzień może być moim ostatnim. Spotkanie się z tymi pięcioma adoratorami i wybranie jednego z nich to zarówno konieczność, jak i właściwa droga.

– Och, ależ dlaczego muszę to robić? – odrzekła strapiona księżniczka. – Nie mam zamiaru wychodzić teraz za męża.

– Wiele lat temu znalazłem cię, kiedy byłaś maleńką, ledwie dziesięciocentymetrową istotką, otoczoną pięknym, białym światłem. Światło to tryskało z bambusa, w którym byłaś ukryta, co przywiodło mnie do ciebie. Zawsze uważałem, że nie jesteś zwykłą śmiertelniczką. Póki żyję, możesz pozostać niezamężna, jeśli takie jest twoje życzenie, ale kto się tobą zaopiekuje, kiedy mnie zabraknie? Zaklinam cię więc, spotkaj się z każdym z tych pięciu dzielnych młodzieńców z osobna i wybierz jednego z nich na męża!

Na to księżniczka odrzekła, że jest całkiem pewna, iż pogłoski znacznie wyolbrzymały jej urodę i że jeśli zgodzi się wyjść za któregoś z tych mężczyzn, którzy przecież wcale jej nie znają, być może jej wybranek poczuje się rozczarowany jej prawdziwą postacią. Skoro więc nie jest pewna stałości uczuć owych książąt, mimo zapewnień ojca o ich szlachetności, nie jest przekonana, czy to dobry pomysł, aby się z nimi spotykać.

– To, co mówisz, jest bardzo rozsądne – odparł staruszek. – Ale z kim zatem mogłabyś się spotkać? Nie nazwałbym niestałymi tych pięciu mężczyzn, którzy czekają na ciebie od miesięcy. Stali tu, przed twoim domem, zimą i latem, odmawiając sobie jedzenia i snu, byle tylko cię zdobyć. Czego jeszcze możesz żądać?

Na to Kaguya odpowiedziała, że musi ich miłość wystawić na jeszcze jedną próbę, zanim spełni ich życzenie i spotka się z nimi. Każdy z tych pięciu wojowników musi dowieść siły swojego uczucia przynosząc jej z odległych krajów przedmiot, którego sobie zażyczy.

Tego samego wieczoru zalotnicy stawili się znowu i poczęli na zmianę grać

na fletach i śpiewać skomponowane przez siebie pieśni, opowiadające o ich wielkiej i niestrudzonej miłości. Zbieracz bambusa wyszedł do nich i wyraziwszy swój podziw dla ich cierpliwości i trudów, które zadają sobie, by zdobyć serce jego przybranej córki, przekazał im jej wiadomość, że zgodzi się wyjść za tego, komu uda się przynieść jej pożądany przedmiot. Miała to być dla nich próba.

Młodzieńcy zgodnie przyjęli wyzwanie i uznali to za doskonały plan, bowiem pozwalał im uniknąć uczucia zawiści względem zwycięzcy.

Wówczas Kaguya przesłała pierwszemu z książąt wiadomość, że życzy sobie, aby przywiózł jej z Indii kamienną misę, która niegdyś należała do Buddy.

Drugiego z książąt posłała na górę Hōrai [\[1\]](#), która jak mówią, położona jest na wschodnim morzu. Rośnie na niej ponoć drzewo, którego korzenie są srebrne, pień złoty, a w konarach rodzą się owoce w postaci białych klejnotów. Gałęzi z tego właśnie drzewa zażyczyła sobie księżniczka.

Trzeci książę został posłany do Chin, by złowił ognistego szczura [\[2\]](#) i przyniósł Kaguyi jego skórę.

Czwartemu księciu rozkazała, by odnalazł smoka noszącego na głowie kamień lśniący pięcioma kolorami i przyniósł jej ów klejnot.

Piątemu z książąt przekazała, iż życzy sobie muszli, która ukryta jest w trzewiach pewnej jaskółki.

Starzec pomyślał sobie, że to niezwykle trudne zadania i wahał się, czy je przekazać młodzieńcom, ale księżniczka ani myślała zmieniać warunki. Ostatecznie więc jej polecenia przekazano co do słowa. Gdy młodzieńcy usłyszeli, czego się od nich oczekuje, poczuli się rozczarowani i zdegustowani, że żąda się od nich niemożliwego. Zniechęceni wrócili jeden po drugim do swoich domów.

Po pewnym czasie jednak, kiedy pomyśleli o księżniczce, miłość do niej ożyła w ich sercach i postanowili przynajmniej spróbować spełnić jej życzenia.

Pierwszy książę posłał Kaguyi wiadomość, że wyrusza na poszukiwania miski Buddy i że ma nadzieję wkrótce ją odnaleźć i podarować księżniczce. Nie miał jednak odwagi udać się aż do Indii, bowiem droga do nich w owym czasie była trudna i pełna niebezpieczeństw. Wybrał się więc do jednej świątyni w Kioto, zabrał z ołtarza kamienną misę, zapłaciwszy za nią

upřednio hojnie opatowi. Następnie owinął ją złocistą tkaniną i przeczekawszy w spokoju trzy lata, powrócił do starego zbieracza bambusa, by wręczyć mu swoje trofeum.

Księżniczka Kaguya zdziwiła się, że młodzieniec wrócił z misji tak szybko. Wysupłała miskę ze złocistego pakunku, spodziewając się, że wypełni pomieszczenie światłem – lecz kamienna misa ani trochę nie świeciła. Księżniczka poznała więc, że to nie jest prawdziwa miska Buddy. Zwróciła ją młodzieńcowi i odmówiła spotkania się z nim. Książę wyrzucił miskę i wrócił do domu w rozpaczy, porzuciwszy nadzieję na zdobycie serca Kaguyi.

Drugi książę powiedział swoim rodzicom, że ze względów zdrowotnych musi na jakiś czas zmienić otoczenie, bowiem wstydził się im wyznać, że to miłość do Księżniczki Księżycowego Światła była prawdziwym powodem, dla którego ich zostawiał. Następnie ruszył w drogę, posyłając księżniczce wiadomość, iż oto udaje się na górę Hōrai w nadziei, że uda mu się zdobyć dla niej gałąź z drogocennego drzewa, której tak pragnęła. Pozwolił swoim służącym towarzyszyć sobie do połowy drogi, po czym ich odesłał. Dotarł do portu, wsiadł na niewielki stateczek i spędziwszy na nim trzy dni, przybił ponownie do brzegu. Wynajął kilku cieśli, aby zbudowali dla niego dom, do którego nikomu nie udałoby się dostać od zewnątrz, zamknął się w nim z sześcioma uzdolnionymi złotnikami i zlecił im, by wykonali dla niego ze złota i srebra gałąź, która mogłaby uchodzić za pochodzącą z cudownego drzewa na górze Hōrai. Każdy bowiem, kogo o to pytał, zapewniał go, iż Hōrai jest jedynie legendą i w rzeczywistości nie istnieje.

Kiedy gałąź była skończona, powrócił do domu, starając się wyglądać na wycieńczonego daleką podróżą. Umieścił swój skarb w lakowanym pudełku i zaniósł go do zbieracza bambusa, błagając, aby przekazał go księżniczce.

Starzec dał się zwieść zszarganej odzieży i znużonemu obliczu księcia. Uwierzył, że młodzieniec właśnie powrócił z misji odnalezienia legendarnej góry. Próbował przekonać księżniczkę, aby zechciała się z nim spotkać, ale ona tylko posmutniała i nic nie odpowiedziała. Staruszek wyciągnął gałąź i począł chwalić ów skarb, jakiego próżno szukać w całym kraju. Następnie wyraził uznanie dla księcia, jego urody, a także odwagi, która pozwoliła mu podjąć się podróży w tak odległe strony, jak góra Hōrai.

Księżniczka wzięła do ręki gałąź i przyjrzała się jej uważnie. Następnie oznajmiła swojemu przybranemu ojcu, że to niestety niemożliwe, aby

człowiek zdobył gałąź z drogocennego drzewa z góry Hōrai tak szybko i tak łatwo, więc z przykrością stwierdza, iż musi to być falsyfikat.

Na to starzec udał się do owego księcia, który czekał przed domem, i spytał go, gdzie znalazł tę gałąź. Młodzieniec bez skrupów przedstawił mu zmyśloną historię:

– Dwa lata temu wsiadłem na statek i wyruszyłem na poszukiwania góry Hōrai. Płynąłem jakiś czas z wiatrem, po czym dotarłem do wschodniego morza. Wówczas zerwał się sztorm i przez wiele dni ciskał mną tu i tam, aż straciłem kompletnie poczucie kierunku. Wreszcie wylądowałem na brzegu nieznaney mi wyspy. Okazało się, że miejsce to zamieszkują demony, które natychmiast rzuciły się na mnie, by mnie zabić i zjeść. Udało mi się jednak zaprzyjaźnić z tymi okropnymi stworami, a one pomogły mi i moim marynarzom naprawić łódź. Wkrótce ruszyłem więc w dalszą drogę, ale skończyła nam się żywność, a wśród załogi zapanowała zaraza. Wreszcie, pięćsetnego dnia mojej wyprawy, ujrzałem na horyzoncie coś, co wyglądało na szczyt góry. Kiedy się do niej zbliżyliśmy, okazało się, że to wyspa, na środku której wznosi się wysoki szczyt. Przybiliśmy do brzegu i przez dwa czy trzy dni błakaliśmy się po niej. W pewnej chwili dostrzegliśmy, że plażą zbliża się do nas jakaś świetlista istota, dzierząca w dłoni złotą miskę. Podszedłem do niej i zapytałem, czy to przypadkiem nie jest góra Hōrai, na co padła odpowiedź: „Tak, to jest Hōrai!”.

Wspiąłem się więc z ogromnym wysiłkiem na szczyt, gdzie stało złote drzewo, zapuszczające w ziemi srebrne korzenie. Podobnych cudów w tej osobliwej krainie było wiele i gdybym zaczął teraz ci o nich opowiadać, być może nigdy bym nie skończył. Mimo pokusy, by zostać dłużej na wyspie, odłamałem gałąź z cudownego drzewa i pospieszyłem z powrotem tutaj. Choć gnałem jak wiatr, dotarcie z powrotem zajęło mi kolejne czterysta dni i jak widzisz, moje ubrania są wciąż jeszcze wilgotne od długiej morskiej podróży. Nawet się nie przebrałem, tak bardzo pragnąłem jak najszybciej podarować księżniczce tę drogocenną gałąź.

W tej samej chwili sześciu złotników, których ksiązę zatrudnił do wykonania skarbu i którym nie zapłacił, zjawilo się pod domem księżniczki chcąc prosić ją, aby wstawiła się za nimi o wynagrodzenie za pracę, którą przecież wykonali. Oznajmili, że pracowali przez przeszło tysiąc dni, by wykonać dla niej złoty konar ze srebrnymi gałązkami i owocami z klejnotów, który

właśnie otrzymała od księcia, lecz do tej pory nie dostali należnej im zapłaty. W ten oto sposób podstęp księcia się wydał, a księżniczka, rada, że może pozbyć się kolejnego natarczywego zalotnika, z największą przyjemnością odesłała mu gałąź. Wezwała za to do siebie rzemieślników i zapłaciła im szczerze, tak że odeszli uszczęśliwieni. Po drodze jednak dogonił ich rozczarowany młodzieniec, który za to, że wydali jego sekret, złożył ich tak, iż ledwie uszli z życiem. Następnie książę powrócił do swojego domu wściekły i zrozpaczony utratą szansy zdobycia Kaguyi, po czym porzucił życie towarzyskie i zaszył się w jakiejś górskiej samotni.

Trzeci książę z kolei miał przyjaciela w Chinach, więc wysłał mu list z prośbą, by zdobył dla niego skórę ognistego szczura. Cudowną właściwością tego zwierzęcia było to, że od nosa po ogon było ono całkowicie ognioodporne. Młodzieniec obiecał przyjacielowi dowolną kwotę, jaką tylko sobie ten zażyczy, jeśli tylko wystara się dla niego o pożądaną przedmiot. Jak tylko doszły go wieści, że statek, na którym jego przyjaciel miał przybyć do Japonii, zawinął właśnie do portu, wskoczył na konia i jechał siedem dni, by się z nim spotkać. Wręczył mężczyźnie wielką sumę pieniędzy, za którą dostał od niego skórę ognistego szczura. Kiedy wrócił do domu, zapakował ją starannie do pudełka i udał się do domu księżniczki. Tam poprosił o przekazanie jej daru, a sam czekał na zewnątrz na jej odpowiedź.

Zbieracz bambusa przyjął od księcia pudełko i jak poprzednio, zaniósł córce, starając się ją przekonać, aby od razu spotkała się z młodzieńcem. Kaguya odmówiła, twierdząc, że musi wpierw włożyć ją w płomień i sprawdzić, czy to rzeczywiście skóra ognistego szczura. Jeśli jest prawdziwa, nie spali się. Odwinęła więc krepę, w którą zawinięte było pudełko i otworzyła je, po czym rzuciła skórę w ogień. Ta zaskwierczała i spaliła się od razu, po czym księżniczka poznała, że i ten młodzieniec nie dotrzymał słowa. Tym samym trzeci książę także został odesłany.

Tymczasem czwarty książę był przebieglejszy od pozostałych. Zamiast wyruszyć na poszukiwanie smoka z pięciobarwnym klejnotem na głowie, zwołał wszystkich swoich poddanych, nakazując im szukać tego zwierzęcia po całej Japonii i Chinach. Surowo zakazał im też wracać, póki nie odnajdą tego, co im polecił.

Poddani i służący, których książę miał wielu, wyruszyli od razu i rozproszyli

się na wszystkie strony. Żaden jednak tak naprawdę nie miał zamiaru słuchać rozkazu, który uważali za niedorzeczny. Po prostu zrobili sobie wolne, udając się wspólnie w przyjemniejsze miejsca i narzekając na nierozsądnosc swojego pana.

Tymczasem książę, uznawszy, że służy z pewnością wypełnią powierzoną im misję, zaszył się w swoim domu, przygotowując go na przyjęcie księżniczki – tak pewien był swojej wygranej.

Minął rok niecierpliwego wyczekiwania, a mimo to żaden z jego ludzi nie powrócił ze smoczym klejnotem. Książę wpadł w panikę. Nie mógł dłużej czekać, więc zabrawszy ze sobą tylko dwóch ludzi, wynajął statek i nakazał kapitanowi wyruszyć na poszukiwania smoka. Kapitan i jego załoga początkowo odmówili przyjęcia tak niedorzecznego polecenia, ale książę ostatecznie zmusił ich do wypłynięcia na pełne morze.

Gdy już zeglowali od paru dni, dopadł ich wielki sztorm, który trwał tak długo, iż gdy już nastała cisza, książę stracił wszelką ochotę na szukanie jakichkolwiek smoków. Wreszcie miłościwy wiatr popchnął ich ku wybrzeżom, bowiem metody nawigacji były w owych czasach bardzo prymitywne. Wycieńczony podróżą i walką o życie, czwarty załotnik oddał się wypoczynkowi. Złapał przy tym bardzo ciężkie przeziębienie i leżał w łóżku ze spuchniętą twarzą.

Na wieść o jego niedoli namiestnik zarządzający prowincją, do której trafił książę, wysłał do niego list z zaproszeniem do siebie. Korzystając z jego gościny młodzieniec rozmyślał o wszystkim, co go spotkało i wkrótce jego miłość do księżniczki przerodziła się w gniew. Winił ją za wszystkie nieszczęścia, które go spotkały. Przyszło mu nawet na myśl, że Kaguya od początku planowała go zabić, aby się go pozbyć i tylko dlatego, pod pozorem wypełniania jej życzenia, posłała go na niemożliwą do spełnienia misję.

Wtedy właśnie wrócili do niego służy, których wysłał wcześniej na poszukiwania klejnotu. Kiedy stawili się u niego w odwiedziny, ku ich zaskoczeniu zamiast zrugać ich, pochwalił ich i powiedział, że ma szczerze dość przygód i nie ma zamiaru więcej zbliżać się do domu księżniczki.

Podobnie jak pozostali, również piąty książę zawiódł – nie znalazł jaskółki, która miałaby w brzuchu muszlę.

W tym czasie sława urody Kaguyi doszła do uszu cesarza, który posłał jedną ze swych dam dworu, by sprawdziła, czy księżniczka rzeczywiście jest tak

piękna, jak głośzą. Jeśli tak, miał zamiar wezwać ją do swego pałacu i uczynić jedną ze swych dwórek.

Kiedy dama dworu przybyła do domu zbieracza bambusa, Kaguya mimo nalegań ojca odmówiła spotkania się z nią. Starzec błagał ją, by zmieniła zdanie, podkreślając, że to rozkaz cesarza. Księżniczka Księżycowego Światła odrzekła na to, że jeśli zmusi ją do udania się do pałacu cesarza na jego rozkaz, zniknie z powierzchni ziemi na zawsze.

Gdy cesarz usłyszał o kategorycznej odmowie wypełnienia jego rozkazu i o groźbie księżniczki, że przy próbie nacisku odejdzie bez śladu, postanowił osobiście udać się do niej, by się z nią zobaczyć. Postanowił pod pozorem łowieckiej wyprawy znaleźć się w pobliżu domu zbieracza bambusa i w ten sposób ujrzeć Kaguyę na własne oczy. Uprowadził starca o swoich planach, a ten przystał na jego plan.

Następnego dnia cesarz wyruszył ze swoją świtą, którą niebawem zdołał wyprzedzić i zgubić. Odnalazł dom zbieracza bambusa i zsiadł z konia. Wszedł do środka i udał się wprost do pokoju, gdzie w towarzystwie służących siedziała Kaguya.

Nigdy nie widział tak pięknej niewiasty i teraz nie mógł oderwać od niej oczu. Była cudniejsza niż jakakolwiek ludzka istota, bowiem jej ciało emanowało własnym, delikatnym blaskiem. Kiedy Księżniczka Księżycowego Światła zorientowała się, że patrzy na nią obcy mężczyzna, próbowała uciec z pokoju, ale cesarz pochwycił ją i począł zaklinać, by wysłuchała, co ma jej do powiedzenia. Ona jednak w odpowiedzi jedynie schowała twarz w rękawie.

Cesarz zapalał do niej głęboką miłością i zaklinał ją, by udała się z nim na dwór, gdzie zapewniłby jej wszystkie łaski i bogactwa, jakich tylko by sobie życzyła. Był gotów od razu posłać po cesarski palankin, by zabrał ją jeszcze w tej chwili do pałacu, bowiem jej wdzięk i uroda winny być podziwiane we dworze, a nie pozostawać ukryte w chatce zbieracza bambusa.

Księżniczka jednak powstrzymała go. Odrzekła, że jeśli ma zamiar zmusić ją do udania się do pałacu, od razu przemieni się w cień – i jeszcze gdy to mówiła, jej kontury poczęły się zacierać, a sylwetka bladła z chwili na chwilę.

Na to cesarz obiecał zostawić ją w spokoju, jeśli tylko przybierze dawną postać, co natychmiast się stało. Sam musiał już wracać, bo słudzy z pewnością zamartwiali się o niego, zastanawiając się, gdzie mógł się

podziewać tak długo. Pożegnał się więc z księżniczką i pogrążony w smutku wyszedł. Kaguya była dla niego najpiękniejszą kobietą na świecie i żadna inna nie mogła się z nią równać. Myślał o niej dniami i nocami, pisał wiersze, w których opowiadał jej o swej miłości i oddaniu i posyłał je do niej. I choć odmówiła ponownego spotkania się z nim, odpowiadała na nie licznymi własnymi wersami, tłumacząc mu delikatnie i uprzejmie, że nie może poślubić nikogo na tym świecie. Te niepozorne wiersze sprawiały władcy ogromną radość.

W tym samym czasie starszycy zauważyli, że noc w noc Kaguya siedzi na werandzie i godzinami wpatruje się w księżyc z wyrazem najgłębszego przygnębienia, co zawsze kończyło się napadem szlochów. Kiedy pewnej nocy starzec po raz kolejny zastał ją łkającą, jakby serce jej pękało, począł zaklinać ją, by wyjawiała mu powód swego smutku.

Łykając łzy, wyjaśniła mu, iż dobrze się domyślał, że nie jest stworzeniem z tego świata – że w rzeczywistości pochodzi z księżycy i że jej czas na ziemi dobiega końca. Piętnastego dnia ósmego miesiąca jej księżycowi przyjaciele zjawią się tu po nią i będzie musiała wrócić do siebie. Tam czekają na nią rodzice, o których zapomniała mieszkając na ziemi, a także cały księżycowy świat. Myśl o tym, że będzie musiała rozstać się ze swoimi przybranymi rodzicami i domem, w którym przeżyła tyle szczęśliwych dni, doprowadzała ją do łez.

Kiedy jej opiekunowie usłyszeli o tym, ich serca przepełnił smutek. Na myśl, że księżniczka już wkrótce ma ich opuścić, nie mogli jeść ani pić.

Wieści dotarły także do cesarza, który natychmiast wysłał do domu Kaguyi swoich ludzi, by potwierdzili, czy pogłoski te są prawdziwe. Stary zbieracz bambusa wyszedł im naprzeciw, aby ich powitać. Żałoba, jaka zapanowała w jego domu, odcisnęła na nim swoje piętno. Szybko się postarzał i wyglądał teraz na znacznie więcej niż swoje siedemdziesiąt lat. Płacząc gorzko odpowiedział dworzanom, że pogłoski te są niestety prawdziwe, ale że zamierza pojmać księżycowych wysłanników i zrobić co w jego mocy, by zapobiec powrotowi księżniczki do krainy, z której pochodzi.

Wysłannicy wrócili do cesarza i powtórzyli mu wszystko. Piętnastego dnia miesiąca władca wysłał dwa tysiące żołnierzy, by trzymali straż przy domu Kaguyi. Tysiąc z nich usadowiło się na dachu, kolejny tysiąc strzegł wszystkich wejść do domostwa. Wszyscy byli znakomitymi łucznikami,

uzbrojonymi w łuki i strzały. Zbieracz bambusa wraz z żoną ukryli Księżniczkę Księżycowego Światła w jednym z wewnętrznych pokoi domu. Starzec rozkazał, by nikt tej nocy nie kładł się spać. Wszyscy mieli pilnować baczenie księżniczki i być gotowi ją chronić. Podjąwszy te środki zapobiegawcze i mając wsparcie ludzi cesarza, żywił nadzieję, że uda im się odeprzeć wysłanników z księżycy, choć Kaguya zapewniała go, iż wszystko to na nic się nie zda i gdy przyjdą po nią, nic i nikt nie powstrzyma ich przed dopięciem swego, nawet ludzie cesarza będą bezsilni. Następnie dodała ze łzami, że jest jej bardzo, bardzo przykro, iż musi opuścić swoich ziemskich opiekunów, których nauczyła się kochać jak własnych rodziców i że gdyby tylko to od niej zależało, zostałaby z nimi aż do końca ich dni, starając się odwdziżyć im za miłość i troskę, jaką jej okazali w czasie jej pobytu na ziemi.

Nadeszła noc i wraz z nią na niebo wzniósł się księżyc w pełni, zalewając pogrążony we śnie świat swoim złocistym blaskiem. W sosnowych i bambusowych zagajnikach zapanowała cisza, podobnie jak wśród tysięcy czuwających na dachu wojowników.

Kiedy już niebo zaczynało szarzeć, zapowiadając rychłe nadejście świtu, w serca wszystkich wlała się nadzieja, że niebezpieczeństwo minęło – że Księżniczka Księżycowego Światła jednak pozostanie na ziemi. Właśnie wtedy zauważyli, że wokół księżycy tworzy się chmura – i na ich oczach zaczęła przemieszczać się w stronę ziemi. Była coraz bliżej i bliżej; z trwogą dostrzegli, że kieruje się wprost do domu zbieracza bambusa.

Nie minęło wiele czasu, a już wypełniała całe niebo, aż w końcu spłynęła na domostwo, zatrzymując się zaledwie trzy metry nad ziemią. W samym środku chmury znajdował się latający powóz wypełniony świetlistymi istotami. Jedna z nich, wyglądająca jak król i najwyraźniej przewodząca pozostałym, wysiadła z powozu i, wciąż unosząc się w powietrzu, zawołała do starego zbieracza bambusa:



Księżniczka Kaguya zabrana z powrotem na księżyc. Drzeworyt Tsukioki Yoshitoshiego (1888 r.)

– Nadszedł czas, by Księżniczka Księżycowego Światła wróciła na księżyc, skąd pochodzi – rzekła. – Za swoje ciężkie przewinienie została ukarana zesłaniem na ziemię. Wiemy, jak doskonale się nią zaopiekowałeś i nagradzaliśmy cię za to, zsyłając ci skarby. To my umieszczaliśmy dla ciebie złoto w bambusach.

– Wychowywałem tę księżniczkę przez dwadzieścia lat i ani razu nie zrobiła nic złego, więc dama, której szukacie, to z pewnością nie ona – odrzekł na to staruszek. – Proszę zatem, szukajcie jej gdzie indziej.

Na to księżycowy wysłannik zawołał gromkim głosem:

– Księżniczko Księżycowego Światła, wychodź z tego podłego domostwa. Nie pozostawaj w nim ani chwili dłużej!

Na te słowa przesuwne drzwi do pokoju księżniczki same się rozsunęły, ukazując Kaguyę otoczoną własnym blaskiem, jaśniejącą i w pełni uroku.

Posłaniec wyprowadził ją i usadził w powozie. Obejrzała się jeszcze i z bólem serca dostrzegła rozpacz malującą się na twarzy staruszka. Starła się go pocieszyć, powtarzając mu, że opuszcza go wbrew swojej woli i że ma wspominać ją za każdym razem, kiedy patrzy na księżyc.

Zbieracz bambusa zaklinał księżycowe istoty, by pozwoliły mu towarzyszyć księżniczce – bezskutecznie. Wtedy Kaguya zdjęła swoją haftowaną szatę wierzchnią i podarowała mu ją na pamiątkę.

Jedna z księżycowych istot w powozie trzymała w rękach szatę z piór, a druga flakon z eliksirem życia, który podano do picia księżniczce. Ta wzięła mały łyk i zamierzała podać resztę staruszkowi, ale i na to jej nie pozwolono. Księżycowi posłańcy już mieli założyć jej szatę z piór, kiedy zawołała:

– Czekaście! Nie mogę zapomnieć o moim dobrym przyjacielu cesarzu. Muszę napisać do niego ostatni, pożegnalny list, póki jeszcze jestem w ludzkiej postaci.

To powiedziawszy, zabrała się za pisanie, nie zważając na zniecierpliwienie towarzyszy. Gdy skończyła, załączyła do listu eliksir życia i wręczyła go staruszkowi z prośbą, by przekazał go cesarzowi.

Powóz ruszył w stronę księżycy i gdy jeszcze śledzili ze łzami w oczach odchodzącą księżniczkę, nadszedł świt i w różowym świetle dnia księżycowy powóz rozmył się wśród puszystych chmur, gnanych po niebie przez poranny wiatr.

List Księżniczki Księżycowego Światła dostarczono do pałacu. Jego Cesarska Mość bał się dotknąć eliksiru życia, więc posłał go wraz z listem na szczyt najświętszej góry w kraju, góry Fuji. Tam cesarscy wysłannicy spalili go o wschodzie słońca. Stąd właśnie po dziś dzień mówi się, że można zobaczyć strużkę dymu unoszącą się ze szczytu góry Fuji wprost do chmur.

[1] Według chińskich wierzeń jest to miejsce zamieszkiwane przez taoistycznych nieśmiertelnych (przyp. tłum).

[2] Chiń. *huǒshǔ*, jap. *hinezumi* – mityczne chińskie zwierzę zamieszkujące wulkany. Jego skóra jest ognioodporna (przyp. tłum).

2. Momotarō – chłopiec zrodzony z brzoskwini

Dawno, dawno temu była sobie para staruszków. Żyli z uprawy roli i musieli ciężko pracować całe dni, by mieć co jeść. Mężczyzna ścinał trawę dla okolicznych chłopów, a w tym czasie jego żona dbała o gospodarstwo domowe i pielęgnowała ich własne maleńkie pole ryżowe.

Pewnego dnia staruszek udał się jak zwykle na wzgórze po trawę, a kobieta poszła nad rzekę robić pranie.

Zbliżało się lato i oboje mogli cieszyć się w drodze do pracy piękną, świeżą zielenią wkoło. Wierzby rosnące nad brzegiem rzeki potrząsały swoimi miękkimi wtkami, a trawa przypominała szmaragdowy aksamit.

Wiała lekka bryza, raz po raz marszcząca gładką tafłę i formująca na niej drobne fale. Delikatne podmuchy wiatru muskały policzki staruszków, którzy z niejasnych dla siebie przyczyn czuli się tego ranka wyjątkowo szczęśliwi.

Wreszcie kobieta znalazła dogodne miejsce nad brzegiem rzeki i postawiła swój kosz. Następnie zabrała się za pranie; jedna za drugą wyciągała kolejne sztuki odzieży, moczyła je w wodzie i szorowała o kamienie. Woda była przejrzysta jak kryształ, więc staruszka bez trudu mogła dostrzec śmigające tu i tam maleńkie rybki i spoczywające na dnie kamyki.

Kiedy tak prała w pocie czoła, nagle podpłynęła do niej z prądem rzeki wielka brzoskwinią. Kobieta przerwała pracę i podniosła głowę z zaskoczeniem. Miała już sześćdziesiąt lat, a mimo to nigdy w życiu nie widziała tak wielkiego owocu!

– Ależ ta brzoskwinią musi być pyszna! – rzekła do siebie. – Muszę koniecznie ją wyłowić i zanieść ją mężowi.

Wyciągnęła rękę i próbowała złapać owoc, ale był za daleko. Rozejrzała się za jakimś patykiem, lecz wkoło nie było żadnego. Bała się, że jeśli oddali się szukając czegoś, czym mogłaby przyciągnąć bliżej brzoskwinię, ta odpłynie gdzieś dalej i już jej nie znajdzie.

Zawahała się, co powinna zatem zrobić, kiedy nagle przypomniała jej się dziecięca wyliczanka. Zaczęła klaskać w dłonie w rytm podskoków brzoskwini w wartkim nurcie rzeki i śpiewać:

Daleka woda jest gorzka,

Bliska woda jest słodka.
Omiń daleką wodę,
Chodź do słodkiej wody.

O dziwo, kiedy tak powtarzała w kółko te słowa, brzoskwinia poczęła zbliżać się do brzegu, na którym stała staruszka, aż wreszcie zatrzymała się tuż przed nią, tak że kobieta mogła sięgnąć ją ręką. Staruszka była zachwycona. Tak ją to wydarzenie zaskoczyło i uszczęśliwiło, że nie myślała dłużej o pracy; zapakowała z powrotem wszystkie ubrania do kosza, który zarzuciła sobie na plecy i trzymając oburącz owoc, pospieszyła do domu.

Wydawało jej się, że minęły wieki, nim wreszcie wrócił jej mąż. Mężczyzna stanął w progu, gdy słońce chyliło się ku zachodowi; niósł na plecach wielką wiązkę siana – tak ogromną, że niemalże skrywała go całego, a kobiecina ledwo go spod niej widziała. Wydawał się bardzo zmęczony; opierał się na swojej kosie jak na lasce.

Ledwie staruszka go zobaczyła, wykrzyknęła:

– *Ojii-san* [1]! Nie mogłam się dziś doczekać twojego powrotu!

– Co się stało? Dlaczego tak się niecierpliwiłaś? – spytał staruszek, dziwiąc się jej niespotykanemu ożywieniu. – Czy coś się stało, kiedy mnie nie było?

– Nie, nie! Nic się nie stało – uspokoiła go kobieta. – Znalazłam tylko piękny prezent dla ciebie.

– To miło – rzekł jej mąż, po czym obmył w misce stopy i wyszedł na werandę.

Tymczasem staruszka pobiegła do małego pokoiku wewnątrz chatki i wyjęła ze spiżarki znaną rano wielką brzoskwinie. Zdawała jej się teraz jeszcze cięższa niż wcześniej. Pokazała ją mężowi ze słowami:

– Spójrz tylko na to! Czy widziałeś kiedy tak ogromny owoc?

Staruszek zdziwił się bardzo, kiedy zobaczył brzoskwinie. Rzekł do żony:

– To faktycznie największa brzoskwinia, jaką w życiu widziałem. Gdzie ją kupiłaś?

– Nie kupiłam jej – odparła staruszka. – Znalazłam ją w rzece, kiedy robiłam pranie – po czym opowiedziała mężowi całe zdarzenie.

– Bardzo się cieszę, że ją znalazłaś. Zjedzmy ją zatem teraz, bo jestem bardzo głodny.

Mężczyzna przyniósł nóż kuchenny i położywszy brzoskwinie na desce, już miał ją przeciąć, kiedy – o dziwo! – owoc sam rozpadł się na dwoje i z

wnętrza rozległ się czysty jak kryształ głos:

– Czekaj, staruszkule! – po czym z brzoskwini wyłonił się śliczny mały chłopiec.

Małżonkowie byli tak zaskoczeni, że aż usiedli z wrażenia. Na to dziecko przemówiło ponownie:

– Nie bójcie się. Nie jestem demonem ani duchem. Powiem wam prawdę. Niebiosa się nad wami ulitowały. Dzień w dzień i noc w noc rozpaczaliście, że nie macie żadnego potomka. Wasz płacz został usłyszany i oto zesłano wam mnie, abym stał się waszym dzieckiem w jesieni waszego życia!

Usłyszawszy to staruszkowie wielce się uradowali. Nieraz czy to w dzień, czy w nocy ubolewali nad faktem, że nie mają dzieci, które pomogłyby im w trudach ich wieku, a teraz, gdy ich modlitwy zostały wreszcie wysłuchane, z radości nie wiedzieli, co ze sobą począć. Wpierw mężczyzna wziął chłopca w ramiona, potem w jego ślady poszła kobieta. Postanowili nazwać go Momotarō, czyli „Brzoskwiniowy chłopiec” – bowiem z tego właśnie owocu się im narodził.

Lata mijały prędko i ani się obejrzeni, jak Momotarō skończył piętnaście lat. Był wyższy i znacznie silniejszy niż inni chłopcy w jego wieku, a przy tym miał piękną twarz i serce pełne odwagi; był też bardzo mądry jak na swój wiek. Staruszków przepełniała wielka radość ilekroć na niego patrzyli, bowiem tak właśnie wyobrażali sobie prawdziwych bohaterów.

Pewnego dnia Momotarō zwrócił się z powagą do swojego przybranego ojca:

– Ojczule, niezwykle okoliczności sprawiły, że zostałem twoim synem. Twoja dobroć dla mnie jest większa niż góry, na których ścinasz codziennie trawy i głębsza niż rzeka, gdzie moja matka pierze ubrania. Nie wiem sam, jak mam ci się za to odwdzięczyć.

– Ależ to oczywiste, że ojciec powinien dołożyć wszelkich starań, by jak najlepiej wychować syna – odrzekł staruszek. – Gdy będziesz starszy, przyjdzie twoja kolej, by się nami zająć, więc koniec końców nikt nikomu nic nie będzie winny. Jestem więc raczej zaskoczony, że tak mi dziękujesz!

– Okaż mi więc nieco cierpliwości – powiedział Momotarō. – Bo zanim zacznę odpłacać ci się za twoją dobroć wobec mnie, mam wielką prośbę, byś zgodził się na jedną, jedyną rzecz, której pragnę.

– Pozwolę ci na wszystko, o co poprosisz, bo jesteś inny niż pozostali chłopcy w twoim wieku!

– Zatem pozwól mi niezwłocznie cię opuścić!
– Co takiego? Chcesz porzucić swojego starego ojca i matkę, swój rodzinny dom?! – strapił się staruszek.
– Wrócę tu na pewno, jeśli pozwolisz mi teraz odejść!
– Gdzie chcesz się udać?
– Zapewne wyda ci się to dziwne, że chcę tak nagle wyruszyć w podróż – rzekł Momotarō – bo nie wyjawilem ci jeszcze powodu, dla którego proszę cię o pozwolenie na to. Daleko stąd, w północno-wschodniej części Japonii, na pełnym morzu znajduje się wyspa zamieszkała przez demony *oni*. Nieraz słyszałem o tym, że napadają na kraj, plądrują go i mordują ludzi. Są nie tylko złe, ale i krnąbrne wobec naszego cesarza, nie respektując jego rozkazów. Są też kanibalami, zabijają i zjadają wszystkich nieszczęśników, którzy wpadną w ich łapy. Demony te to okropne bestie. Chcę udać się na ich wyspę, podbić ją i sprowadzić z powrotem do kraju wszystko, co z niego zrabowały. Dlatego właśnie proszę cię, byś pozwolił mi na krótko cię zostawić.

Staruszek zdumiał się wielce, słysząc takie słowa od ledwie piętnastoletniego chłopca. Pomyślał, że najlepiej będzie pozwolić mu czynić, jak uważa. Momotarō był silny i nieustraszony, ale przede wszystkim najwyraźniej nie był zwyczajnym dzieckiem, bowiem został zesłany leciwemu małżeństwu jako dar z niebios, dlatego mężczyzna był całkiem pewien, że demony nie dadzą mu rady.

– To, co mówisz, jest wielce interesujące, Momotarō – rzekł staruszek. – Nie będę czynił ci przeszkód w twoim postanowieniu. Możesz ruszać w drogę, jeśli chcesz. Udać się na tę wyspę choćby i zaraz, pokonaj te demony i przywróć kraju pokój.

– Dziękuję ci za twoją dobroć – odparł chłopiec i począł przygotowywać się do drogi, by wyruszyć jeszcze tego samego dnia, był bowiem odważny i nawet nie wiedział, co to strach.

Staruszkowie tymczasem od razu zabrali się do ubijania ryżu w kuchennym móżdzierzu, by przygotować synowi na podróż ryżowe ciasteczka *mochi*. Gdy już były gotowe, Momotarō mógł ruszać w drogę.

Rozstania są zawsze trudne i nie inaczej było tym razem. Oczy staruszków szklily się od łez, a ich głosy drżały, gdy mówili:

– Bądź ostrożny i spiesz się. Oczekujemy, że wrócisz do nas rychło jako zwycięzca!

Momotarō przykro było opuszczać swoich starych rodziców (choć miał zamiar wrócić tak szybko, jak to możliwe), bo wiedział, jacy będą samotni pod jego nieobecność. Pożegnał się jednak dzielnie.

– Idę więc. Dbajcie o siebie, gdy mnie nie będzie. Do widzenia! – po czym szybko wyszedł z domu, a rodzice w ciszy odprowadzali go wzrokiem.

Momotarō spieszył się jak mógł, lecz gdy nastąpiło południe, poczuł głód. Otworzył więc swoją sakwę i wyjąwszy z niej jedno z ryżowych ciasteczek, usiadł pod przydrożnym drzewem i zabrał się za jedzenie. Gdy się posilał, spośród wysokich traw wybiegł ku niemu pies. Był wielki niczym żrebak; skoczył wprost ku chłopcu i odsłaniając kły, warknął groźnie:

– Cóż za nieokrzesany człowiek z ciebie, by przechodzić przez moją ziemię, nie spytawszy mnie wprawdzie o pozwolenie! Jeśli dasz mi wszystkie ciastka, jakie masz w torbie, puszcę ci to płazem, jeśli nie – zagryzę cię na śmierć!

Momotarō tylko zaśmiał się lekceważąco.

– Tak sądzisz? Czy ty w ogóle wiesz, kim jestem? Nazywam się Momotarō i właśnie udaję się na wyspę demonów w północno-wschodniej części kraju, by podbić ich plemię. Jeśli spróbujesz mnie powstrzymać, z miejsca rozplątam cię na dwoje!

Na to pies momentalnie zmienił swoje zachowanie. Spuścił ogon między nogi i zbliżywszy się do chłopca, uklonił się przed nim tak nisko, że pyskiem dotknął ziemi.

– Co ja słyszę? Momotarō? Naprawdę jesteś Momotarō? Wiele słyszałem o twojej niezwykłej sile. Nie wiedząc, z kim mam do czynienia, zachowałem się nieodpowiednio. Czy wybaczysz mi moje grubiaństwo? Naprawdę masz zamiar podbić wyspę demonów? Jeśli weźmiesz mnie ze sobą, będę ci wielce wdzięczny!

– Sądzę, że mogę cię ze sobą zabrać, skoro chcesz – odparł chłopiec.

– Dziękuję! – rzekł pies. – Przy okazji, jestem bardzo głodny. Mógłbyś mi dać jedno z tych ciastek, które masz w torbie?

– To najlepsze *mochi* w całej Japonii – odpowiedział Momotarō. – Nie mogę dać ci całego. Dam ci pół.

– Będę zobowiązany! – zawołał pies, łapiąc w powietrzu rzucony mu kawałek.

Momotarō dokończył posiłek i ruszył w dalszą drogę, a pies wraz z nim. Wędrowali długo przez góry i doliny. W pewnej chwili z drzewa przed nimi

zeskoczyła małpa, podeszła do chłopca i rzekła:

– Witaj, Momotarō! Jesteś mile widziany w tych stronach. Pozwolisz mi towarzyszyć ci w podróży?

Pies odparł na to z zazdrością:

– Momotarō ma już towarzysza, mnie! Na co komu małpa w czasie bitwy? Udajemy się na wyspę demonów, by z nimi walczyć. Z drogi!

Zwierzęta zaczęły się kłócić i wzajemnie kąsać, bowiem psy i małpy nie znoszą się nawzajem.

– Spokój, przestańcie się spierać! – zawołał Momotarō, stając między nimi. – Czekaj no, psie!

– To nie przystoi, by towarzyszyło ci takie stworzenie, jak to! – powiedział pies.

– A co ty możesz o tym wiedzieć? – spytał chłopiec, po czym odsunąwszy go, zwrócił się do małpy:

– Kim jesteś?

– Jestem małą, mieszkam w tych wzgórzach – odpowiedziała małpa. – Słyszałam o twojej wyprawie na wyspę demonów, więc przyszedłam prosić cię, żebyś zabrał mnie ze sobą. Nic nie sprawi mi większej radości niż możliwość towarzyszenia ci!

– Naprawdę chcesz udać się ze mną na wyspę demonów i walczyć z nimi u mojego boku?

– Tak, mój panie – odparła małpa.

– Podziwiam twoją odwagę – rzekł Momotarō. – Masz, oto kawałek jednego z moich wybornych ciastek ryżowych. A teraz ruszaj z nami!

Tak oto małpa dołączyła do Momotarō i psa. Zwierzęta nie dogadywały się ze sobą zbyt dobrze. Całą drogą warczały na siebie, gotowe w każdej chwili wszcząć walkę. Fakt ten bardzo doskwierał Momotarō, aż w końcu postanowił posłać psa przodem ze swoim sztandarem, małą umieszczając na tyłach i powierzając jej swój miecz. Sam szedł między nimi, dzierżąc żelazny wachlarz wojenny [2].

Wkrótce dotarli do wielkiego pola. Nagle z nieba sfrunął ku nim ptak i wylądował tuż przed nimi. Było to najpiękniejsze zwierzę, jakie Momotarō kiedykolwiek widział. Jego ciało zdobiło pięć różnych rodzajów piór, a głowę pokrywała szkarłatna czapeczka.

Pies natychmiast rzucił się na niego, starając się go złapać i zabić. Ten jednak

rozwarł szpony i skoczył na jego ogon; walka między zwierzętami była bardzo wyrównana. Patrząc na nią Momotarō nie mógł oprzeć się podziwowi dla ptaka, tak wielką odwagą wykazywał się w bójce. Z całą pewnością byłby z niego świetny wojownik.

Chłopiec podszedł do walczących i odciągnawszy psa, zwrócił się do ptaka:

– Ty niegodziwcze! Opóźniasz moją podróż. Poddaj się natychmiast, a zabiorę cię ze sobą. Jeśli nie, puszcze psa, a on odgryzie ci głowę!

Ptak od razu poddał się i błagał, by Momotarō pozwolił mu dołączyć do zwierzęcego orszaku.

– Nie wiem, jak mam wytłumaczyć się z bójki z twoim sługą psem, ale po prostu cię nie widziałem. Jestem tylko skromnym ptakiem, którego zważam za bażantem. To bardzo wielkoduszne z twojej strony, że wybaczasz mi moje zachowanie i proponujesz mi, bym do was dołączył. Proszę, pozwól mi iść z tobą, za psem i małpą.

– Gratuluje ci, że tak szybko się poddałeś – uśmiechnął się na to Momotarō.

– Dołącz więc do naszej wyprawy przeciwko demonom.

– Zamierzasz zabrać ze sobą również tego ptaka? – wtrącił się pies.

– Po co zadajesz tyle niepotrzebnych pytań? Nie słyszałeś, co powiedziałem? Zabieram go ze sobą, bo tak mi się podoba!

– Phi! – burknął pies.

Na to Momotarō zwrócił się władczo do zwierząt:

– Posłuchajcie mnie wszystkie! Najważniejszą rzeczą w armii jest harmonia. Jest takie mądre powiedzenie: „Zasługi na ziemi poprzedzają zasługi w niebie”. Zgoda pomiędzy nami jest ważniejsza, niż jakiegokolwiek dobra materialne. Jeśli między nami nie będzie pokoju, niełatwo będzie pokonać wroga. Od tej pory wasza trójka: ty, psie, ty, małpo i ty, bażancie, musicie stać się przyjaciółmi i dzielić jedną duszę. Ten, kto pierwszy zacznie kłótnię, zostanie z miejsca oddalony!

Zwierzęta obiecały więcej się nie kłócić. Bażant został członkiem orszaku Momotarō i dostał pół *mochi*.

Przemowa chłopca wywarła na nich tak wielkie wrażenie, że od tego dnia stali się dobrymi przyjaciółmi i wiernie podążali za Momotarō jako za swoim dowódcą.

W końcu dotarli nad brzeg morza na północno-wschodnim krańcu Japonii. Jak okiem sięgnąć nigdzie nie widać było śladu wyspy. Ciszę wokół zakłócały jedynie bijące o brzeg fale.

Choć pies, małpa i bażant były dzielnymi zwierzętami i w czasie podróży przez góry i doliny wykazały się nie lada odwagą, nigdy dotąd nie widziały morza. Teraz, po raz pierwszy od początku podróży, stanęły zdumione i patrzyły po sobie w milczeniu. Jak mają przedostać się przez tę wielką wodę na wyspę demonów?

Momotarō zauważył, że widok morza wprowadził je w konsternację, więc chcąc je wypróbować, rzekł głośno i szorstko:

– Dlaczego się wahacie? Boicie się morza? Och, ale z was tchórze! Nie mogę zabrać na wyprawę przeciwko demonom takich słabeuszy jak wy. Lepiej będzie, jak udam się na wyspę sam. Oddalam was!

Ta ostra reprimenda zaskoczyła zwierzęta, które zaraz uczepliły się rękawów Momotarō, błagając go, by ich nie odsyłał.

– Proszę, Momotarō! – rzekł pies.

– Zaszliśmy już tak daleko! – dodała małpa.

– To nieludzkie zostawiać nas tutaj! – wtrącił bażant.

– Wcale nie boimy się morza – zapewniła małpa.

– Zabierz nas ze sobą! – błagał bażant.

– Prosimy! – poparł je pies.

Widząc, że zwierzęta odzyskały ducha, Momotarō rzekł:

– No dobrze, zabiorę was ze sobą, ale bądźcie ostrożne!

Chłopiec znalazł niewielki statek i razem wsiedli na jego pokład. Pogoda i wiatry były sprzyjające, więc mknęli po morzu jak strzała. Zwierzęta po raz pierwszy znalazły się na wodzie, więc początkowo przerażały je fale pchające statek, ale z czasem stopniowo przyzwyczyły się do morza i odzyskały humory. Dzień w dzień przemierzały pokład, z niecierpliwością wypatrując wyspy demonów. Gdy je to znudziło, opowiadały sobie nawzajem o swoich wyczynach i zabawiały się grami. Momotarō słuchał ich z przyjemnością i przyglądał się ich harcom, dzięki czemu mógł zapomnieć o tym, że droga była długa i że bezczynność bardzo mu doskwierała. Pragnął jak najszybciej zabrać się za zabijanie potworów, które tyle szkód wyrządziły w jego kraju.

Ponieważ wiatr wiał w dogodnym dla nich kierunku, a po drodze nie spotkały ich żadne sztormy, statek płynął szybko i w końcu, gdy słońce było wysoko na niebie, w oddali ujrzeli upragniony ląd.

Momotarō wiedział, że mieli przed sobą warownię demonów. Na szczycie

urwistego wybrzeża, wyglądając na morze, stał wielki zamek. Teraz, kiedy cel był w zasięgu ręki, chłopiec, opierając głowę na dłoniach, zatopił się w rozmyślaniach, jak powinien rozpocząć atak. Jego trzech kompani obserwowali go bacznie, gotowi na rozkazy. W końcu przywołał bażanta.

– Jak dobrze, że mamy cię ze sobą! – zwrócił się do ptaka. – Masz silne skrzydła. Leć do zamku i zaatakuj pierwszy. My zjawimy się zaraz po tobie.

Bażant posłusznie spełnił rozkaz. Z radością poderwał się do lotu i łopocząc skrzydłami z całych sił, opuścił pokład statku. Wkrótce dotarł do wyspy i zajął pozycję na dachu pośrodku zamku, po czym zakrzyknął donośnie:

– Słuchajcie mnie, demony! Przybywa tu wielki japoński generał Momotarō, by walczyć z wami i przejąć waszą twierdzę! Jeśli chcecie ujść z życiem, poddajcie się natychmiast, a na znak posłuszeństwa poodłamujcie sobie z głów rogi. Jeśli tego zaraz nie zrobicie i staniecie z nami do walki, my: bażant, pies i mała, zabijemy was wszystkie, zadziobując, zagryzając i rozszarpując was na śmierć!

Demony zadarły łby do góry, lecz zobaczywszy tylko bażanta, odparły drwiąco:

– Dziki bażant, zaiste! Śmieszne słowa ze strony tak słabego zwierzęcia jak ty. Poczekaj, aż dosięgną cię nasze żelazne pałki!

To, co demony wzięły za bezczelność ptaka, rozsierdziło je. Potrząsając gniewnie rogami i rudymi kędziorami, wciągnęły pospiesznie spodnie z tygryskiej skóry, by wyglądać groźniej, capnęły za żelazne pałki i ruszyły na bażanta, starając się strącić go na ziemię. Ptak przefrunął nieco w bok, by uniknąć ciosu, po czym zaatakował wpierw głowę jednego, potem kolejnego demona. Latał wkoło nich, bijąc skrzydłami nieustannie, a przy tym tak silnie, że jego przeciwnicy zastanawiali się, czy walczą z jednym, czy może z wieloma ptakami naraz.

W międzyczasie Momotarō znalazł się na brzegu wyspy. Gdy się do niej zbliżali, zauważył, że wybrzeże przypomina urwisko, a wielki zamek demonów otoczony jest wysokim murem o żelaznych bramach i że jest solidnie umocniony.



Momotarō i jego towarzysze. Drzeworyt Utagawy Kuniyoshiego (1855 r.)

Chłopiec przybił do brzegu i w nadziei, że mimo wszystko znajdzie jakiś sposób, by dostać się do środka, wspiął się stromą ścieżką na szczyt klifu. Pies i małpa nie odstępowały go na krok. Wkrótce napotkali dwie piękne kobiety piorące ubrania w strumieniu. Momotarō zauważył, że materiał był poplamiony krwią, a po policzkach niewiast płynęły łzy. Zatrzymał się i zwrócił do nich:

– Kim jesteście i dlaczego płaczecie?

– Jesteśmy niewolnicami króla demonów. Zostałyśmy porwane i przywiezione na tę wyspę i mimo iż jesteśmy córkami *daimyō* [3], mamy mu służyć, aż mu się znudzimy i nas zabije – tu kobiety wskazały na zakrwawione ubrania – a potem pożre. Nie ma dla nas znikąd ratunku!

Na tę straszną myśl kobiety na nowo zaniosły się płaczem.

– Ja was uratuję – rzekł Momotarō. – Otrzyjcie więc łyzy i wskażcie mi, któredy mógłbym się dostać do zamku.

Kobiety poprowadziły go do niewielkiej furtki w najniższej części zamkowego muru – tak małej, że Momotarō z trudem się przez nią prześlizgnął.

Bażant, który przez cały czas walczył zajadle, dostrzegł Momotarō i jego towarzyszy wpadających na dziedziniec od tyłu. Zaatakował demony z taką siłą, że nie były w stanie go odeprzeć. Początkowo ich przeciwnikiem był tylko jeden ptak, ale teraz, gdy na miejscu pojawił się Momotarō wraz z psem i małpą, nie mogły wyjść ze zdumienia, że ta czwórka walczy razem jak setka – tak silni byli. Niektóre demony pospadały z murów zamku wprost na skalisty klif poniżej i roztrzaskały się o niego, inne wpadły do morza i utonęły. Jeszcze więcej zginęło rozszarpanych przez zwierzęcych towarzyszy chłopca.

W końcu na polu bitwy pozostał tylko herszt *oni*. Postanowił się poddać, bo zdał sobie sprawę z tego, że jego przeciwnik jest silniejszy niż zwykli śmiertelnicy. Zbliżył się pokornie do Momotarō i rzuciwszy na ziemię swoją żelazną pałkę, uklęknął u stóp zwycięzcy i odłamał sobie z głowy rogi na znak uznania swej porażki – rogi bowiem są u demonów oznaką ich siły i władzy.

– Przerażasz mnie – wyznał pokornie. – Nie jestem w stanie stawić ci czoła. Oddam ci wszystkie skarby, jakie zgromadziłem w swoim zamku, jeśli tylko darujesz mi życie!

Momotarō zaśmiał się.

– To niepodobne do ciebie, królu demonów, błagać o litość, czyż nie? Nie mogę darować ci twego parszywego życia, choćbyś nie wiem jak błagał, bo zabiłeś i zamęczyłeś wielu ludzi, a mój kraj rabowałeś od lat.

Następnie związał herszta demonów i przekazał go małpie, by miała na niego oko, po czym udał się do zamku, by uwolnić wszystkich uwięzionych w nim ludzi i zabrać zagrabione przez demony skarby.

Pies i bażant pomogły mu wtaszczyć wszystkie łupy na statek i tak oto Momotarō w chwale powrócił do domu, zabierając ze sobą króla demonów jako jeńca.

Dwie nieszczęsne dziewczyny, córki *daimyō*, a także inne, które zostały uprowadzone przez nikczemne bestie, by służyły im jako niewolnice, wróciły bezpiecznie do swoich rodzin.

Cały kraj cieszył się z triumfalnego powrotu Momotarō, a ludzie z miejsca okrzyknęli go bohaterem, który uratował ich od nękających ich od dawna demonów.

Radość staruszków również była ogromna, a dzięki skarbowi, które Momotarō przywiózł z wyprawy, mogli do końca życia pławić się w dostatku.

[1] *Ojii-san!* – jap. Staruszkę!

[2] W Japonii specjalny rodzaj wachlarza pełnił analogiczną funkcję do europejskiej buławy – wskazywał na rangę przywódczą wojownika. Dodatkowo służył do sygnalizowania rozkazów (przyp. tłum.).

[3] *Daimyō* – książę feudalny (przyp. tłum.).

3. Urashima Tarō

Dawno, dawno temu nad brzegiem morza w niewielkiej rybackiej wiosce Mizuno-e w prowincji Tango [1] mieszkał młody chłopak imieniem Urashima Tarō. Był rybakiem, podobnie jak ojciec, ale znacznie przewyższał go zdolnościami. Jeśli chodzi o ścisłość, był najlepszym rybakiem w okolicy i w jeden dzień łapał więcej ryb *tai* i *bonito*, niż jego towarzysze w tydzień.

Jednak w swojej małej rybackiej wiosce bardziej niż za talent do łowienia ryb, ceniono go za jego dobre serce. Nigdy nie zdarzyło mu się skrzywdzić żadnej żywej istoty, czy to dużej, czy małej, a koledzy zawsze go wyśmiewali, bo nigdy nie przyłączał się do nich, gdy dokuczali zwierzętom i zawsze starał się ich odwozić od tej okrutnej rozrywki.

Pewnego letniego wieczoru Urashima wracał właśnie do domu po całym dniu ciężkiej pracy, kiedy napotkał grupkę krzyczących i hałasujących dzieci. Najwyraźniej były czymś podekscytowane. Kiedy się do nich zbliżył, odkrył, że właśnie męczyły żółwia. Jedno z dzieci ciągnęło nieszczęsne zwierzę w jedną stronę, drugie w drugą, trzecie waliło je patykiem, zaś czwarte uderzało w jego skorupę kamieniem.

Urashimie żal się zrobiło żółwia i postanowił go ocalić. Odezwał się do chłopców:

– Patrzcie no, dzieci! Jak będziecie tak dalej traktowały tego żółwia, to wkrótce umrze!

Chłopcy, którzy byli w wieku, kiedy dzieci znajdują osobliwą radość w męczeniu zwierząt, nie zwrócili uwagi na łagodne upomnienie Urashimy i dalej dręczyli żółwia. Jeden chłopiec, nieco starszy od pozostałych, odparł:

– A kogo to obchodzi czy on żyje, czy zdechnie? Nas na pewno nie. Dalej, chłopaki, dalej! – zaczął zachęcać towarzyszy, by dręczyli biedne zwierzę bardziej niż wcześniej. Urashima odczekał chwilę, zastanawiając się, jak najlepiej uporać się z chłopcami. Postanowił spróbować przekonać ich, by oddali mu żółwia, więc uśmiechnął się i rzekł:

– Jestem pewien, że jesteście miłymi i dobrymi dziećmi. Może oddalibyście mi tego żółwia? Bardzo chciałbym go mieć.

– Nie, nie oddamy ci go – odpowiedział jeden z chłopców. – Dlaczego mielibyśmy to zrobić? Przecież sami go złapaliśmy.

– Masz rację – przyznał Urashima. – Ale nie proszę, byście dali mi go za darmo. Dam wam za to trochę pieniędzy... Innymi słowy, *oji-san* [2] kupi go od was. Czy to wam odpowiada, chłopcy? – to mówiąc, pokazał chłopcom monety, które miał nawleczone na sznurek. – Patrzcie, za to możecie sobie kupić co tylko zechcecie. Na pewno bardziej wam się to przyda, niż ten biedny żółw. Zobaczcie, jacy z was teraz dobrzy chłopcy!

W rzeczywistości dzieci te wcale nie były złe, tylko psotne, a uśmiech i miłe słowa Urashimy zdobyły ich serca i nastawiły ich „zgodnie ze swoją duszą”, jak to się mówi w Japonii. Podeszli do niego, a przywódca bandy podsunął mu żółwia.

– Dobrze, *oji-san*, sprzedamy ci go.

Na to Urashima wziął żółwia i zapłacił za niego zgodnie z umową, a rozentuzjasmowane dzieci wkrótce znikły mu z oczu. Mężczyzna pogłaskał zwierzę po skorupie i rzekł do niego:

– Och, biedaku! Już dobrze, teraz jesteś bezpieczny. Mówi się, że żuraw żyje tysiąc lat, ale żółw aż dziesięć tysięcy. Nikt na całym świecie nie cieszy się tak długim życiem jak ty, a mimo to o mało go nie straciłeś za sprawą tych okrutnych chłopców. Miałeś szczęście, że przechodziłem tędy i zdołałem cię uratować. Teraz zaniosę cię do twojego domu, do morza. Nie pozwól się znów złapać, bo następnym razem może nie znaleźć się nikt, kto mógłby cię wyciągnąć z tarapatów!

To mówiąc, rybak zszedł na brzeg morza. Wpuścił żółwia do wody i patrzył przez chwilę, jak zwierzę znika w głębinach, po czym odwrócił się, by wrócić do domu, bo słońce już zaszło, a on był bardzo zmęczony.

Następnego ranka Urashima jak zwykle wsiadł do swojej łodzi. Pogoda była piękna, a morze i niebo były jednakowo błękitne i czyste w delikatnej porannej bryzie. Mężczyzna w zamyśleniu sterował łodzią w stronę otwartego morza, rzucając za siebie linę. Wkrótce minął innych rybaków i zostawił ich w tyle, aż w końcu znikli mu z pola widzenia. Tymczasem jego łódź płynęła dalej i dalej w lazurowy bezkres morza. Z jakiegoś niewyjaśnionego powodu czuł się tego dnia nad wyraz szczęśliwy i nic nie mógł poradzić na to, że w głębi jego serca rodziło się życzenie, by jak ten żółw, którego uwolnił poprzedniego dnia, mieć przed sobą tysiące lat życia zamiast krótkiego ludzkiego żywota.

Z tych marzeń nagle wyrwało go wołanie:

– Urashima! Urashima Tarō!

Niosący się po morzu głos był czysty jak dźwięk dzwonu i łagodny jak letni wietrzyk.

Urashima wstał i rozejrzał się wkoło, sądząc, że to najwidoczniej któryś z rybaków go dogonił, ale choć wysilał wzrok, ani blisko, ani daleko nie było śladu łodzi, więc wołanie nie mogło pochodzić od żadnej ludzkiej istoty.

Zaskoczony i zachodzący w głowę kto lub co mogło go tak wyraźnie wołać, jeszcze raz obrócił się wokół i wtedy zauważył, że za burtą płynie żółw. Ze zdumieniem poznał zwierzę, które poprzedniego dnia uratował.

– Cóż, panie żółwiu, czyżbyś to właśnie ty mnie zawołał? – zwrócił się do niego. Gad przytaknął kilkukrotnie, po czym odrzekł:

– Tak, to byłem ja. Wczoraj uratowałeś mi życie, *okage-sama de* [3], więc podpłynąłem do ciebie, by ci podziękować i wyrazić wdzięczność za twą dobroć.

– To zaiste bardzo uprzejme z twojej strony – odpowiedział Urashima. – Chodź do mnie na łódź. Zaproponowałbym ci fajkę, ale jako że jesteś żółwiem, zapewne nie palisz – tu rybak zaśmiał się ze swego żartu.

– He, he, he – zawtórował mu zwierz. – Faktycznie, choć przepadam za sake, od palenia raczej stronię.

– Zatem żałuję, że nie mam na pokładzie żadnego trunku, abym mógł cię ugościć. Ale wchodź na górę i osusz grzbiet w słońcu. Żółwie zawsze robią to z rozkoszą.

Zwierz wdrapał się na pokład z pomocą rybaka i gdy już wymienili zwyczajowe formułki grzecznościowe, zwrócił się do swego wybawcy:

– Czy widziałeś kiedyś Ryūgū-jō, pałac smoka, Króla Mórz?

Urashima potrząsnął głową i odparł:

– Nie, choć morze jest dla mnie od lat drugim domem i nieraz słyszałem o smoczym królu, nigdy nie widziałem tego wspaniałego miejsca. Musi być bardzo daleko, o ile w ogóle istnieje!

– Doprawdy? Nigdy nie widziałeś pałacu Króla Mórz? Zatem nie znasz jednego z najpiękniejszych widoków w całym świecie! Znajduje się on głęboko na dnie morza, ale jeśli zabiorę cię ze sobą, wkrótce będziemy na miejscu. Jeżeli chcesz zwiedzić podwodne królestwo, z chęcią posłużę ci za przewodnika.

– Bardzo bym chciał się tam udać i to bardzo miłe z twojej strony, że oferujesz mi pomoc, ale pamiętaj, że jestem tylko biednym śmiertelnikiem

i nie umiem tak pływać jak morskie stworzenia, takie jak ty...
Tu żółw przerwał Urashimie:

– Co takiego? Ależ ty wcale nie musisz płynąć! Zawiozę cię na swoim grzbiecie, więc nie będzie to wymagało najmniejszego wysiłku z twojej strony.

– Ale jak możesz mnie przewieźć na swojej małej skorupie? – znów zaoponował rybak.

– Może ci się to wydawać niemożliwe, ale zapewniam cię, że dam radę. No spróbuj! Siadaj na mój grzbiet i przekonaj się sam!

Ledwie żółw skończył mówić, a jego skorupa powiększyła się do takich rozmiarów, że dorosły człowiek spokojnie mógłby na niej usiąść.

– To zaiste dziwne! – rzekł Urashima. – Zatem panie żółwiu, skoro uprzejmię pozwalasz, wsiądę na twój grzbiet. *Dokkoisho* [4]! – zakrzyknął, wskakując na skorupę gada. Ten, zupełnie nieporuszony, jakby takie zdarzenia były dla niego codziennością, oznajmił:

– A teraz spokojnie sobie popłyniemy – po czym zanurkował w morzu z Urashimą na grzbiecie. Zanurzał się coraz głębiej i głębiej. Choć płynęli dość długo, rybak nie męczył się, a jego odzież nawet nie zawilgotniała. Wreszcie ujrzeli w oddali wspaniałą bramę, a za nią, na horyzoncie, długie, spadziste dachy pałacu.

– Hej, to wygląda jak brama jakiegoś wielkiego pałacu! – wykrzyknął Urashima. – Panie żółwiu, co to za pałac widać tam, przed nami?

– To brama do pałacu Ryūgū, a ten wielki dach, który widzisz za nią, pokrywa pałac smoczego króla.

– A więc wreszcie dotarliśmy do królestwa smoka, pana oceanów, i do jego pałacu? – upewnił się rybak.

– Tak, dokładnie – odparł żółw. – Nie uważasz, że nie zajęło nam to wcale tak wiele czasu?

Gdy jeszcze mówił, dotarli do bramy.

– I oto jesteśmy. Dalej musisz już iść o własnych nogach.

Żółw zbliżył się do wartownika i rzekł do niego:

– To jest Urashima Tarō, pochodzi z kraju zwanego Japonią. Mam zaszczyt przyprowadzić go jako gościa do tego królestwa. Pokaż mu, proszę, drogę.

Na to wartownik, który był rybą, poprowadził ich przez bramę. Na ich powitanie wypłynęły ryby wszelkiej maści – flądry, sole, ryby *tai* – a nawet

mątwy, wszyscy naczelnicy wasale smoczego króla kłaniali się teraz przed przybyszem.

– *Urashima-sama* [5], *Urashima-sama*! Witaj w podmorskim pałacu, domu smoka, Króla Mórz! Jesteś po trzykroć mile widziany, przybyszu z odległych krain. A tobie, panie żółwiu, jesteśmy wdzięczni za sprowadzenie tutaj naszego gościa!

Następnie ryby i inne morskie stworzenia zwróciły się do rybaka:

– Prosimy tędy – po czym cała ta różnorodna ławica poprowadziła go dalej.

Urashima, który był tylko biednym rybakim, nie miał pojęcia, jak się zachowywać w pałacu, lecz mimo iż wszystko wkoło było dla niego nowe i dziwne, wcale nie czuł się zawstydzony ani zakłopotany, lecz podążał za swoimi miłymi przewodnikami spokojnie, a ci zaprowadzili go do środka. Kiedy stanęli przed wejściem, wyszła mu na powitanie piękna księżniczka w otoczeniu dwórek. Urodą przewyższała wszystkie ziemskie kobiety, a odziana była w lejące się szaty w kolorach czerwieni i zieleni w takim odcieniu, jak wnętrze morskiej fali, zaś w załamaniach materiału połyskiwały złote nici. Czarne włosy spływały jej na ramiona w sposób, w jaki setki lat temu nosiły je mieszkanki cesarskiego dworu, a gdy przemówiła, jej głos brzmiał jak muzyka unoszona przez wodę. Urashimie odebrało mowę na jej widok. Przypomniał sobie, że powinien w takiej sytuacji się uklonić, lecz zanim zdołał oddać księżniczce należne honory, ta ujęła go za rękę i poprowadziła do pięknej sali, gdzie posadziła go na honorowym miejscu w głębi.

– *Urashimo Tarō*, z największą przyjemnością witam cię w królestwie mego ojca – rzekła księżniczka. – Wczoraj uratowałeś żółwia, więc posłałam po ciebie, by ci podziękować. Tym żółwiem byłam bowiem ja. Jeśli chcesz, możesz od tej pory zamieszkać tutaj, w krainie wiecznej młodości, gdzie lato nigdy się nie kończy, a smutek nigdy nie panuje. Ja zaś, jeśli zechcesz, zostanę twoją żoną i będziemy odtąd żyli długo i szczęśliwie!

Gdy Urashima słuchał jej słodkiego głosu i patrzył na jej uroczą twarz, jego serce przepełnił zachwyt i radość, więc odpowiedział jej, w głębi duszy zastanawiając się, czy to wszystko nie jest tylko snem:

– Dziękuję ci tysiącrotnie za te miłe słowa. Niczego nie mógłbym więcej pragnąć, jak tylko zostać tu z tobą w tej pięknej krainie, o której tak wiele słyszałem, lecz której do dziś nie miałem okazji zobaczyć. To najwspanialsze

miejsce, jakie w życiu widziałem.

Gdy jeszcze mówił, pojawił się orszak ryb odzianych w odświętne, powłóczyste szaty. Cicho i dostojnie wsunęły się do sali jedna za drugą, niosąc na koralowych tacach frykasy z ryb i owoców morza, jakie trudno by nawet sobie wyobrazić, i postawiono wszystko przed parą młodą. Zaślubiny odprawiono z oszałamiającym przepychem i wielka radość zapanowała w podmorskim królestwie. Gdy tylko pan i panna młoda wypili tradycyjne ślubne *san san kudo*, czyli po trzy łyki sake z trzech czarek, zagrała muzyka, zabrzmiały pieśni, a z fal zstąpiły rybki-tancerki o srebrnych łuskach i złotych ogonach. Urashima bawił się doskonale. Nigdy w życiu nie uczestniczył w tak wspaniałym bankiecie.

Kiedy przyjęcie weselne dobiegło końca, księżniczka zaproponowała swojemu mężowi, że oprowadzi go po pałacu i pokaże mu najciekawsze miejsca w okolicy. Uszczęśliwiony rybak ruszył za swoją żoną, córką Króla Mórz, by obejrzeć wszystkie dziwa skrywane przez tę magiczną krainę, gdzie nieustannie panuje młodość i radość, a mieszkańców nie dotyka czas ani wiek. Pałac zbudowany był z koralowców i ozdobiony perłami, zaś cudów tego miejsca było tyle, że trudno wszystkie opisać.

Dla Urashimy jednak najwspanialszym miejscem był ogród otaczający pałac. Można było tu oglądać scenerie wszystkich czterech pór roku, uroki lata i zimy, wiosny i jesieni – a wszystko to rozpościerało się przed zauroczonym gościem jednocześnie.

Wpierw spojrzał na wschód, gdzie kwitły wiśnie i śliwy, a wśród różowych alejek śpiewały słowiki i z kwiatka na kwiatek przelatowały motyle.

Gdy spojrzał na południe, ujrzał drzewa w zielonej szacie i usłyszał głośne granie cykad i świerszczy.

Na zachodzie jesienne klony wyglądały, jakby stały w ogniu lub jakby oświetlało je zachodzące słońce, a chryzantemy prezentowały się w pełnym rozkwicie.

Wreszcie Urashima spojrzał na północ i zaskoczeniem spostrzegł ziemię srebrzącą się od śniegu, pokryte białym puchem drzewa i bambusy i jezioro ścięte lodem.

Od tej pory przez trzy dni rybak odkrywał coraz to nowe cuda tej krainy i był tak szczęśliwy, że zapomniał o wszystkim, nawet o swoim dawnym domu i o rodzicach, których w nim zostawił. Po tym czasie ochłonął jednak nieco i przypomniał sobie, kim jest i że nie należy do tej wspaniałej krainy ani do

dworu Króla Mórz. Rzekł więc do siebie:

– Ojej, nie mogę przecież tutaj zostać! W domu czekają na mnie starzy rodzice. Co się z nimi działo przez ten cały czas? Z pewnością musieli się zamartwiać, że nie wróciłem wieczorem do domu. Muszę bezzwłocznie się do nich udać!

To powiedziawszy, począł pospiesznie czynić przygotowania do podróży powrotnej. Udał się też do swej pięknej żony, księżniczki, i pokłoniwszy się jej nisko, rzekł:

– Byłem z tobą bardzo szczęśliwy, Otohime-sama (bo tak brzmiało jej imię). Byłaś dla mnie niewysłowienie miła. Muszę się jednak pożegnać z tobą i wrócić do moich starych rodziców.

Słyszając to Otohime zaczęła szlochać i spytała ze smutkiem:

– Czyżbyś tu się źle czuł, Urashimo, że tak szybko mnie opuszczasz? Skąd ten pośpiech? Zostań ze mną choćby jeszcze jeden dzień!

Urashima jednak wspomniął na swoich biednych rodziców, a że w Japonii obowiązki wobec nich są najważniejsze – ważniejsze nawet niż zobowiązania wobec żony – nie dał się namówić i odparł:

– Niestety, muszę już iść. Nie myśl, iż robię to dlatego, że chcę cię zostawić; to nie tak. Muszę odwiedzić moich rodziców. Pozwól mi zobaczyć się z nimi przez jeden dzień, a zaraz do ciebie wrócę.

– Zatem nic już nie mogę zrobić – rzekła z żalem księżniczka. – Odeślę cię jeszcze dziś do rodziny i zamiast próbować zatrzymać cię choć na jeden dzień, na znak mojej miłości dam ci to... Weź to, proszę, ze sobą – to powiedziawszy, wręczyła mu piękne, lakowane pudełko przewiązane jedwabnym, czerwonym sznurem.

Urashima otrzymał już tak wiele od księżniczki, że miał skrupuły przed przyjęciem kolejnego podarunku, więc zaoponował:

– To nie w porządku, bym przyjął od ciebie ten prezent, bo obdarowałaś mnie już tyloma rzeczami! Wezmę go wyłącznie ze względu na to, że tego chcesz – po czym dodał:

– Co jest w tym pudełku?

– To jest *tamate-bako*, skrzynka skarbów – odpowiedziała Otohime. – Zawiera ona coś bardzo cennego. Cokolwiek by się nie działo, nie wolno ci jej otworzyć! Jeśli mnie nie posłuchasz, spotka cię coś strasznego. Obiecuj mi, że nigdy jej nie otworzysz!

Urashima dał księżniczce słowo, że tego nie zrobi, po czym pożegnał się z nią i udał się na brzeg morza, a Otohime i jej dwórki odprowadziły go na miejsce. Tam już czekał na niego ogromny żółw. Szybko wdrapał się na jego grzbiet, a zwierz poniosł go przez połyskujące morze daleko na wschód. Rybak oglądał się za siebie i machał księżniczce na pożegnanie do chwili, gdy całkowicie znikła mu z oczu, a podmorskie królestwo i dachy wspaniałego pałacu zatarły się w oddali. Wówczas, zwróciwszy twarz w kierunku rodzinnego domu, z niecierpliwością wypatrywał błękitnych zarysów wzgórz na horyzoncie.

Wreszcie żółw wpłynął do zatoki, którą rybak znał tak dobrze, i dopłynął do brzegu, skąd kilka dni temu wyruszali. Urashima postawił stopę na piasku i rozejrzał się wkoło, a w tym czasie żółw odpłynął z powrotem do krainy smoczego króla.

Ale cóż to za straszny lęk chwycił Urashimę za serce, kiedy się rozglądał? Dlaczego tak wbija wzrok w przechodzących obok ludzi? I dlaczego oni z kolei przystają i przyglądają się mu? Wybrzeże jest to samo i wzgórza te same, ale ludzie, których widzi, wyglądają inaczej niż ci, których znał tak dobrze.

Zastanawiając się, co to może oznaczać, rybak udał się pospiesznie do swojego domu. On także wyglądał inaczej, choć stał wciąż w tym samym miejscu. Urashima zawołał więc:

– Ojczy, wróciłem! – i już miał wejść do środka, kiedy ujrzał wychodzącego z domu obcego człowieka.

„Może moi rodzice się przeprowadzili, gdy mnie nie było?” – pomyślał Urashima. Z jakiegoś powodu czuł jednak narastający niepokój.

– Przepraszam bardzo – zwrócił się do gapiącego się na niego mężczyzny. – Jeszcze parę dni temu tu mieszkałem, nazywam się Urashima Tarō. Gdzie znajdę moich rodziców?



Urashima Tarō opuszcza podmorski pałac. Drzeworyt Ogaty Gekkō (1896 r.)

Na te słowa twarz mężczyzny przybrała wyraz najwyższego zdumienia i wciąż jeszcze wpatrując się uważnie w rozmówcę, nieznamy odparł:

– Co takiego? Mówisz, że jesteś Urashima Tarō?

– Tak, właśnie tak się nazywam!

– Ha, ha! – zaśmiał się mężczyzna. – Nie strój sobie żartów! To prawda, że kiedyś mieszkał w tej wiosce rybak zwany Urashima Tarō, ale to było trzysta lat temu. Niemożliwe, abyś ty nim był!

Urashimę zmroziło na te straszne słowa i rzekł:

– Proszę, to ty nie drwij ze mnie, jestem doprawdy zdezorientowany. Naprawdę nazywam się Urashima Tarō i z całą pewnością nie mam trzystu lat. Mieszkałem tu jeszcze kilka dni temu. Odpowiedz mi na pytanie, ale tym razem bez żartów, błagam!

Mężczyzna jednak spoważniał i odparł:

– Czy nazywasz się Urashima Tarō, czy nie, tego nie wiem. Ale ten Urashima Tarō, o którym słyszałem, to człowiek, który mieszkał tu trzysta lat temu. Może jesteś duchem odwiedzającym stare kąty?

– Dlaczego się ze mnie naigrywasz? – powiedział znów Urashima. – Nie jestem żadnym duchem! Jestem żywym człowiekiem, nie widzisz, że mam stopy?! – i tup!, tup! – zatupał głośno na dowód [6].

– Kiedy wszystko, co wiem, to że był jeden Urashima Tarō, który żył trzysta lat temu! Tak stoi w kronice wioski! – bronił się mężczyzna, nie wierząc w słowa rybaka.

Urashima nic już nie rozumiał i nie wiedział, co ma zrobić. Rozglądał się wokół coraz bardziej zdezorientowany i musiał przyznać, że rzeczywiście wszystko wyglądało nieco inaczej niż wtedy, gdy opuszczał wioskę. Naszała go wtedy straszna myśl, że może nieznajomy mówi prawdę. To wszystko było jak koszmarne sen. Te kilka dni, które spędził w pałacu smoczego króla, najwyraźniej wcale nie były dniami, lecz stuleciami, a w tym czasie umarli i jego rodzice, i wszyscy ludzie, których znał, zaś wioska umieściła jego historię w kronice. Nie było sensu dalej tu pozostawać. Jedyne, co mógł zrobić, to wrócić do swej pięknej żony na dnie morza.

Ruszył z powrotem na plażę, niosąc w rękach skrzynkę, którą dostał od księżniczki. Ale którędy miałby udać się dalej? Przecież sam nigdy nie znajdzie drogi powrotnej! Wtedy przypomniał sobie o *tamate-bako*.

„Księżniczka ostrzegła, aby nigdy go nie otwierać... I mówiła, że zawiera bardzo cenną rzecz. Ale teraz, kiedy nie mam już domu, kiedy straciłem wszystko, co było mi drogie i moje serce przepętnia smutek, z pewnością jeśli otworzę je, znajdę coś, co mi pomoże, co pokaże mi drogę do mojej ukochanej Otohime, mieszkającej na dnie morza. Nie pozostaje mi nic innego. Tak, właśnie! Otworzę skrzynkę i zajrzę do niej!” – tak oto postanowił złamać obietnicę daną księżniczce, przekonując sam siebie, że tak właśnie powinien teraz postąpić.

Powoli, bardzo ostrożnie rozwiązał czerwony, jedwabny sznur i delikatnie uchylił wieczko skrzynki. I cóż takiego w niej znalazł? Nic, tylko w trzech kłębkach uniosła się z niej urocza, fioletowa chmurka, na moment zakryła jego twarz i przez chwilę unosiła się wokół niego, jakby niechętna, by się z nim rozstać, po czym rozplynęła się jak mgła.

Urashima, który do tej pory był silnym i przystojnym

dwudziestoczwolatkim, nagle stał się bardzo, bardzo stary. Grzbiet mu się pochylił, włosy zbielały, twarz pomarszczyła i już po chwili padł martwy na piasek.

Nieszczęsny Urashima! Przez swoje nieposłuszeństwo nie wrócił już do podmorskiego królestwa i swojej uroczej żony.

Droge dzieci, zawsze słuchajcie tych, którzy są od was mądrzejsi, bowiem nieposłuszeństwo to powód wszystkich nieszczęść i smutków w życiu!

[1] Chodzi o półwysep Tango w obecnej prefekturze Kioto (przyp. tłum.).

[2] *Oji-san* – dosł. wujek, sposób adresowania mężczyzny w średnim wieku przez dzieci (również sposób mówienia o sobie w stosunku do dziecka). Nie należy mylić z *ojii-san* (staruszku, dziadku) z poprzedniej baśni (przyp. tłum.).

[3] *Okage-sama de* – jap. Jestem ci wdzięczny.

[4] *Dokkoisho* – japoński wykrzyknik stosowany przez niższe klasy, odpowiednik „Hej, ho!”.

[5] *-sama* – przyrostek honoryfikacyjny (przyp. tłum.).

[6] W Japonii wierzy się, że duchy ukazują się bez stóp.

4. Przygody Kintarō, „Złotego chłopca”

W dawnych czasach mieszkał w Kioto dzielny wojownik imieniem Kintoki. Zakochał się on w pewnej pięknej kobiecie i poślubił ją, lecz wkrótce potem, za sprawą intrygi paru towarzyszy, popadł w niełaskę na cesarskim dworze i został oddalony. To nieszczęście tak bardzo go pogrążyło w rozpacz, że nie minęło wiele czasu, a zmarł ze zgrzyoty, pozostawiając swoją młodą żonę samą na świecie. Obawiając się wrogów męża, gdy tylko ten zamknął oczy, kobieta zbiegła w góry Ashigara, bowiem nikt nie nawiedzał tamtejszych borów prócz drwali i tam mogła urodzić dziecko, które nosiła pod sercem. Nazwała je Kintarō, co oznacza „Złoty chłopiec”.

To było niezwykle dziecko. Odznaczało się niespotykaną siłą, a w miarę jak rosło, stawało się jeszcze silniejsze, tak że gdy miało ledwie osiem lat, potrafiło rąbać drzewo tak samo szybko, jak dorośli drwale. Matka podarowała mu więc ogromny topór, by mógł chodzić do lasu i pomagać mężczyznom przy pracy – ci zaś zwali go „Cudownym dzieckiem”, a jego matkę Yama-ubą, „Starą wiedźmą z gór”, nie wiedzieli bowiem, że była osobą wysoko urodzoną. Inną ulubioną rozrywką Kintarō było rozbijanie na kawałki kamieni i skał – możecie więc sobie wyobrazić, jak musiał być silny! Ponieważ Kintarō wychowywał się samotnie w górskiej dziczy, nie miał żadnych towarzyszy, więc przyjaźnił się ze zwierzętami i nauczył się z nimi porozumiewać. Te zaś stopniowo oswoiły się z nim i zaczęły traktować go jak swojego pana, same służąc mu jako poddani i posłańcy. Jednak jego najwierniejszymi towarzyszami byli: niedźwiedzica, jelen, małpa i zając.

Niedźwiedzica nieraz przyprowadzała do Kintarō swoje młode, by z nim baraszkowały, a gdy wracała po nie, chłopak wskakiwał jej na grzbiet i jechał na niej aż do jej jaskini. Bardzo lubił też jelenia i nieraz obejmował go za szyję, by pokazać mu, że jego długie rogi nie robią na nim żadnego wrażenia. Wszyscy razem świetnie się bawili w swoim towarzystwie.

Pewnego dnia Kintarō jak zwykle udał się w góry wraz z niedźwiedzicą, jeleniem, małpą i zającem. Długo wspinali się na wzgórza, schodzili w doliny i przemierzali trudne szlaki, kiedy nagle natknęli się na wielką, porośniętą trawą i pięknymi dzikimi kwiatami równinę.

W takim miejscu jak to mogli do woli sobie pohasać. Jeleń z rozkoszą

pocierał rogami o drzewo, mała drapała się po plecach, zając gładził swoje długie uszy, a niedźwiedzica ryczała z zadowolenia. Kintarō zwrócił się do towarzyszy:

– To dobre miejsce na zawody. Co powiecie na zapasy?

Niedźwiedzica, jako największa i najstarsza, odpowiedziała za pozostałych:

– Brzmi świetnie. Jestem najsilniejszym zwierzęciem, więc przygotuję ring dla zapaśników.

To powiedziawszy, zabrała się za kopanie i uklepywanie ziemi w odpowiednim kształcie.

– Dobrze więc! – rzekł Kintarō. – Wy się siłujcie, a ja będę śledził zawody. Temu, kto wygra wszystkie rundy, dam nagrodę.

– Świetnie! Zatem każdy z nas dołoży wszelkich starań, by zdobyć nagrodę – odparła niedźwiedzica.

Jeleń, mała i zając zabrali się do pracy, by pomóc niedźwiedzicy przygotować ring. Gdy skończyli, chłopiec zawołał:

– Zaczynajcie! Mała i zając niech rozpoczną zawody, a jeleń będzie sędzią. Panie jeleniu, słyszysz?



Kintarō przygląda się zapasom zwierząt. Drzeworyt Tsukioki Yoshitoshiego (1890 r.)

– Tak, tak! – potwierdził jelen. – Będę sędzią. Panie małpo i panie zającu, jeśli obaj jesteście gotowi, wyjdźcie i zajmijcie miejsca na ringu.

Na to wezwane zwierzęta wskoczyły szybko i zwinnie na ring. Sędzia jelen stanął między nimi i zawołał:

– Czerwonogrzbiety! Czerwonogrzbiety! – bowiem małpy w Japonii mają czerwone grzbiety – Jesteś gotów?

Następnie zwrócił się do zająca:

– Długouchy! Długouchy! Jesteś gotów?

Na to mali zapaśnicy stanęli pyskiem w pysk, a jelen podniósł wysoko liść, by dać sygnał gotowości. Gdy go upuścił, zwierzęta zwarły się ze sobą, wołając:

– *Yoisho! Yoisho* [1]!

Małpa i zając siłowali się, a jeleni pokrzykiwał na nie dopingująco lub ostrzegając je, gdy któreś, zepchnięte przez przeciwnika, zbliżyło się niebezpiecznie do krawędzi ringu:

– Czerwonogrzbiety! Czerwonogrzbiety! Broń się! – wołał.

– Długouchy! Długouchy! Trzymaj się! Nie daj się zepchnąć! – wtórowała mu niedźwiedzica.

Tak oto małpa i zając, wspierane przez przyjaciół, dawały z siebie wszystko w tej zabawie. Wreszcie zając pokonał małpę, która potknęła się, na co jej przeciwnik zepchnął ją z ringu, a ta spadła na ziemię z takim impetem, że aż się od niej odbiła. Nieszczęsna usiadła z powrotem i pocierając plecy, wykrzywiła pysk grymasem zawodu i wściekłości.

– Au, au! Ależ mnie plecy bołą! – zawołała. Widząc to jeleni uniosł znowu liść i oznajmił:

– Koniec rundy! Wygrał zając.

Na to Kintarō otworzył pudełko z drugim śniadaniem i wyjąwszy z niego ryżowe ciastko, podał je zwycięzcy ze słowami:

– Oto twoja nagroda. Zasłużyłeś na nią!

Tymczasem małpa wstała ze skwaszoną miną, bo czuła, że nie została pokonana uczciwie. Zwróciła się więc do Kintarō i pozostałych zwierząt:

– To nie było czyste zwycięstwo. Poślizgnęłam się i upadłam. Dajcie mi, proszę, jeszcze jedną szansę i pozwólcie mi jeszcze raz walczyć z zającem.

Kintarō zgodził się i zwierzęta znów poczęły się siłować. Każdy wie, że małpa to przebiegłe stworzenie, więc tym razem postanowiła za wszelką cenę zdobyć nad zającem przewagę. Doszła do wniosku, że najlepiej będzie, jak złapie go za jego długie uszy – co zaraz wprowadziła w czyn. To zaboląo zająca, więc zdekoncentrował się, a wtedy małpa wykorzystala okazję, capnęła przeciwnika za nogę i przewróciła go na samym środku ringu. Tym razem to ona wygrała i otrzymała od Kintarō w nagrodę ryżowe ciasteczko, co ją tak bardzo ucieszyło, że zaraz zapomniała o obolałym grzbiecie.

Wtedy jeleni podszedł do zająca, by spytać go, czy czuje się na siłach walczyć w kolejnej rundzie i jeśli tak, to czy zmierzy się z nim. Długouchy przystał na to, więc zajęli miejsca na ringu. Tym razem niedźwiedzica pełniła rolę sędzi.

To musiał być zabawny widok: starcie jelenia z długimi rogami i zająca z długimi uszami. W pewnym momencie jeleni opadł na jedno kolano, a niedźwiedzica uniosła liść na znak, że został pokonany. W ten oto sposób to jedno, to drugie zwierzę wygrywało i zabawa trwała, aż wszystkie ziajały ze

zmęczenia. Wreszcie Kintarō wstał i rzekł:

– Wystarczy na dzisiaj. Znaleźliśmy sobie miłe miejsce na zawody, przyjdziemy tu znów jutro. Teraz wracajmy wszyscy do domu. Chodźcie! – to powiedziawszy, ruszył przed siebie, a zwierzęta poczłapały w ślad za nim.

Nie uszli wiele drogi, gdy znaleźli się nad brzegiem rzeki płynącej w dolinie. Chłopiec i jego zwierzęcy towarzysze zatrzymali się i zaczęli rozglądać się za sposobem, w jaki mogliby przedostać się na drugą stronę. Jak okiem sięgnąć, mostu nigdzie nie było widać, a prąd rzeki był silny. Zwierzęta spojrzęły po sobie strapione, bo zwątpiły, czy uda im się przeprowić na drugi brzeg i dotrzeć do domów przed zmrokiem. Kintarō rzekł jednak:

– Czekajcie. Zaraz przygotuję dla nas dobry most.

Niedźwiedzica, jelen, mała i zając spojrzeli na niego ze zdziwieniem, zastanawiając się, co zamierza zrobić. Kintarō tymczasem chodził od drzewa do drzewa w zagajniku porastającym brzeg. Wreszcie zatrzymał się przed wielkim pnem wznoszącym się tuż nad krawędzią wody. Objął go ramionami i pociągnął z całych sił, tak że korzenie puściły i trach! – drzewo upadło w poprzek rzeki, tworząc idealny most.

– Gotowe! – zawołał chłopak. – Co sądzicie o moim moście? Jest bezpieczny, chodźcie za mną!

To powiedziawszy, pierwszy wszedł na pień. Zwierzęta natychmiast ruszyły w ślad za nim. Nigdy nie widziały nikogo tak silnego, więc zawołały:

– Jaki on silny! Jaki on silny!

Przyjaciele nie byli świadomi, że całe zdarzenie obserwował z daleka pewien drwal – jak można było sądzić na podstawie jego ubrania – który stał ponad nimi na skale, mając doskonały widok na dolinę i płynącą przez nią rzekę. Z wielkim zdumieniem śledził poczynania Kintarō i jego towarzyszy. Pocierał oczy, by się przekonać, czy nie śni, kiedy chłopiec wyrwał drzewo z korzeniami i cisnął je na ziemię. Wreszcie rzekł do siebie:

– To nie jest zwyczajny chłopiec. Czyim może być synem? Dowiem się jeszcze dziś!

Pospieszył więc za tą osobliwą gromadką i przebiegł po moście chwilę po nich.

Kintarō nie zdawał sobie sprawy z tego, że jest śledzony. Gdy znalazł się na drugim brzegu rzeki, pożegnał się z przyjaciółmi i każde poszło w swoją stronę – zwierzęta do swych legowisk w lesie, a chłopiec do domu

i czekającej na niego matki.

Wszedł do chatki, która na tle sosnowych borów wkoło przypominała pudełko zapalek, i pozdrowił matkę:

– *Okaasan* (matko), już jestem!

– O, *Kimbō*! – odpowiedziała kobieta, rozpromieniając się na widok syna i ciesząc się, że wrócił cały i zdrowy po całym dniu w lesie. – Późno dziś wróciłeś, obawiałam się, czy coś ci się nie stało. Gdzie byłeś tak długo?

– Zabrałem moich przyjaciół: niedźwiedzicę, jelenia, małpę i zającą wysoko na wzgórze, gdzie urządziły sobie zawody zapaśnicze, żeby się przekonać, kto jest najsilniejszy. Wszystkim bardzo spodobała się ta zabawa, więc jutro wrócimy w to samo miejsce, by znów się zmierzyły ze sobą.

– I jak, kto jest najsilniejszy? – spytała matka, udając, że nie domyśla się odpowiedzi.

– Och, mamó! – zachnął się *Kintarō*. – Nie wiesz, że to ja jestem najsilniejszy? Nie muszę się z nimi siłować.

– A po tobie kto jest najsilniejszy?

– Następna będzie niedźwiedzica – odparł chłopiec.

– A po niej?

– Dalej trudno ocenić, bo wszystkie wydają się równie silne – padła odpowiedź. W tej samej chwili matkę i syna dobiegł głos dochodzący sprzed chatki:

– Posłuchaj, chłopcze! Następnym razem, gdy udasz się ze zwierzętami, by urządzić im zawody, zabierz mnie ze sobą. Bardzo chciałbym też wziąć udział w zapasach!

To był stary drwal, który szedł za *Kintarō*. Zzuł chodaki i wszedł do chatki. *Yama-uba* i jej syn patrzyli na niego z zaskoczeniem, zastanawiając się, kim może być, bo nie widzieli go tu wcześniej.

– Kim jesteś? – spytali.

Na to drwal zaśmiał się i odrzekł:

– To nieważne w tej chwili, ale przekonajmy się, kto ma więcej krzepy w ramionach: ten chłopiec czy ja?

Na to *Kintarō*, który wychowywał się w lesie i nie znał się na dobrych obyczajach, odparł bez ogródek:

– Zatem zmierzmy się, ale bez względu na wynik nie złość się potem.

I tak oto *Kintarō* i drwal wyciągnęli prawe dłonie, by się siłować. Bardzo

długo starali się przygiąć rękę przeciwnika do ziemi, ale starszy mężczyzna okazał się bardzo silny i żaden nie mógł zdobyć przewagi. Wreszcie drwal wycofał się, oznajmiając remis.

– Rzeczywiście jesteś bardzo silnym dzieckiem. Niewielu jest ludzi, którzy mogą się pochwalić taką krzepą w ramieniu, jak ja! – rzekł. – Widziałem cię parę godzin temu nad rzeką, jak wyrwałeś z korzeniami to wielkie drzewo i zrobiłeś sobie z niego most. Nie wierząc własnym oczom, poszedłem za tobą i tak tutaj trafiłem. Wynik potyczki, którą właśnie sobie urządziliśmy, przekonał mnie, że to, co zobaczyłem nad rzeką, nie było złudzeniem. Gdy dorośniesz, z pewnością staniesz się najsilniejszym człowiekiem w całej Japonii. Wielka szkoda, że mieszkasz w odosobnieniu, w tych górskich ostępach.

Tu mężczyzna zwrócił się do matki chłopca:

– A ty, jako jego matka, nie myślałaś o tym, żeby zabrać go do stolicy, by uczył się używać miecza, jak przystoi samurajowi?

– Twoje zainteresowanie moim synem bardzo mi pochlebia – odrzekła Yama-uba. – Ale jak widzisz, jest dziki i niewykształcony i obawiam się, że niełatwo byłoby uczynić z niego samuraja. To właśnie z powodu jego niecodziennej siły już od lat niemowlęcych ukrywam go w tej niedostępnej części kraju, bo mógłby jeszcze kogoś skrzywdzić. Oczywiście marzyłam, by pewnego dnia ujrzeć go jako samuraja z dwoma mieczami u boku, lecz nie mamy nawet żadnego wpływowego przyjaciela, który mógłby nas przedstawić gdzie trzeba w stolicy, więc moje marzenia raczej nigdy się nie ziszczą.

– Nie martw się o to. Prawdę mówiąc, nie jestem wcale drwalem. Jestem jednym z najważniejszych generałów w cesarstwie. Nazywam się Sadamitsu i jestem poddanym słynnego księcia Minamoto-no Raikō. Rozkazał mi, bym objechał cały kraj w poszukiwaniu obiecujących chłopców do jego armii. Pomyślałem, że łatwiej mi będzie tego dokonać w przebraniu drwala. Szczęście natknąłem się na twój syn. Jeśli naprawdę chcesz, by został samurajem, zabiorę go ze sobą i przedstawię go księciu jako kandydata na jego poddanego. Co ty na to?

Serce matki przepełniło się radością na te słowa miłego wojownika. Zrozumiała, że właśnie nadarzyła się nieoczekiwana okazja, by spełniło się jej jedyne marzenie – przed śmiercią zobaczyć Kintarō jako samuraja. Skłoniła się więc do ziemi i odpowiedziała:

– Zatem powierzam ci mojego syna.

Chłopiec przez cały czas siedział przy matce, słuchając jej rozmowy z nieznanym. Gdy skończyli, wykrzyknął:

– Hura! Udam się z tym generałem i pewnego dnia sam zostanę samurajem!

Tak oto los Kintarō został przypieczętowany, a Sadamitsu postanowił niezwłocznie wyruszyć z nim do stolicy. Rzecz jasna Yama-ubie w głębi duszy ciężko było rozstać się ze swoim jedynym synem, bo był dla niej wszystkim. Przyjęła jednak dobrą minę do złej gry i ukryła przed wszystkimi swoje uczucia. Wiedziała, że dla dobra chłopca lepiej będzie, jeśli ją teraz opuści i że nie wolno jej wzbudzać w nim wątpliwości w takiej chwili. Kintarō obiecał, że nigdy o niej nie zapomni i że gdy tylko zostanie samurajem, wybuduje dla niej dom i otoczy ją opieką na stare lata.

Kiedy jego przyjaciele-zwierzęta dowiedziały się o jego wyprawie do stolicy, zebrały się wokół jego chatki, chcąc mu towarzyszyć. Na wieść, że odchodzi na zawsze, odprowadziły go aż do podnóża góry.

– Kimbō, bacz, byś był dobrym chłopcem – rzekła na pożegnanie matka.

– Nasz panie Kintarō, życzymy ci szczęśliwej podróży – dodały wierne zwierzęta. Wspięły się wszystkie wysoko na wzgórza, by jak najdłużej go widzieć, gdy będzie znikał w oddali. Stopniowo jego sylwetka stawała się coraz mniejsza, aż wreszcie straciły go z oczu.

Tymczasem generał Sadamitsu jechał do stolicy ciesząc się, że niespodziewanie trafił na tak obiecującego młodzieńca, jak Kintarō. Gdy tylko dotarli na miejsce, od razu zabrał chłopca do swego pana, Minamoto-no Raikō, i opowiedział mu, w jakich okolicznościach go spotkał. Księżę bardzo zdziwił się na te wieści i kazawszy przyprowadzić sobie Kintarō, z miejsca uczynił go swoim przybocznym.

Najbliżsi poddani Raikō zwani byli Shitennō [2], czyli „Czterej mężni”. Wybrano ich spośród najdzielniejszych i najsilniejszych ludzi w jego armii, a ta niewielka, lecz świetnie dobrana drużyna znana była w całej Japonii z niespotykanej odwagi.

Gdy Kintarō dorósł, jego pan uczynił go najważniejszym z Shitennō – był bowiem wśród nich najsilniejszy. Wkrótce potem w stolicy rozniosła się wieść, że nieopodal grasuje *oni*, demon, który żywi się ludzkim mięsem. Wśród mieszkańców Kioto zapanował strach, więc Raikō rozkazał Kintarō rozprawić się z nim. Młodzieniec niezwłocznie wyruszył, nie mogąc się

doczekać okazji, by wypróbować ostrze swojego miecza. Zaskoczył demona w jego kryjówce, w mig odrąbał mu jego olbrzymi łeb i dumnie sprezentował swojemu panu.

Kintarō wyrósł na bohatera cesarstwa i szybko stał się wpływowym, szanowanym i bogatym człowiekiem. Zgodnie z obietnicą wybudował dla swojej starej matki wygodny dom i sprowadził ją do stolicy, by tam w radości i dostatku dożyła swych dni. Czyż nie był z niego wspaniały człowiek?

[1] Podobnie jak *dokkoisho* w poprzedniej baśni, *yoisho* to japoński wykrzyknik bez określonego znaczenia, jak „Hej, ho!” (przyp. tłum.).

[2] Dosłownie *Shitennō* oznacza „Czterej niebiańscy królowie”, co jest aluzją do czterech bogów-wojowników strzegących Japonii: Bishamontena, Kōmokutena, Zōchōtena i Jikokutena. Zwyczajowo w Japonii mianem *shitennō* określano także wszelkie kwartety najwybitniejszych osób w danej dziedzinie (przyp. tłum.).

5. Zdolny myśliwy i zręczny rybak

Dawno, dawno temu żył w Japonii niejaki Hohodemi, który był czwartym z kolei Mikoto, czyli Czcigodnym, wywodzącym się w prostej linii od światłej Amaterasu, bogini słońca. Był nie tylko równie urodziwą osobą, co jego boska prababka, ale był też najbardziej uzdolnionym myśliwym w całym kraju. Ponieważ w dziedzinie polowań był niedościgniony, przezywano go także Yamasachihiko, co znaczy „Zdolny myśliwy z gór”.

Jego starszy brat, Hoderi, był z kolei świetnym rybakim i w kwestii łowienia ryb daleko przewyższał wszystkich swoich towarzyszy, więc nadano mu przydomek Umisachihiko, czyli „Zręczny rybak z mórza”. Bracia wiedli szczęśliwe życie, sumiennie wypełniając swoje obowiązki, a dni mijały im szybko i przyjemnie na pracy w ulubionej dziedzinie – polowaniach i połowach.

Pewnego dnia Hohodemi odwiedził brata i rzekł do niego:

– Cóż, mój bracie, codziennie widzę, jak wyprawiasz się w morze z wędką w rękę, po czym wracasz wieczorem obładowany rybami. Ja zaś znajduję przyjemność w polowaniach z łukiem w dłoni na dzikie zwierzęta zamieszkujące góry i doliny. Już od dawien dawna każdy z nas robi to, co lubi najbardziej, ale czy nie nudzi nas czasem ta monotonia? Może byśmy się zamienili? Nie miałbyś ochoty spróbować, jak to jest polować w górach, podczas gdy ja poznałbym smak morskich połowów?

Hoderi wysłuchał brata w milczeniu, po czym przez chwilę rozważał jego propozycję. Wreszcie odpowiedział:

– Cóż, czemu nie? To nie taki zły pomysł. Daj mi zatem swój łuk i strzały, a zaraz wyprawię się w góry polować na zwierzynę.

Bracia wymienili się narzędziami pracy i każdy wyruszył w swoją stronę, by spróbować sił w rzemiośle brata, nawet nie wyobrażając sobie, jak poważne konsekwencje będzie miała ich decyzja. Nie było to bowiem mądre z ich strony, jako że Hohodemi nie wiedział nic o łowieniu ryb, zaś porywczy Hoderi nie miał pojęcia, jak się poluje.

Hohodemi wziął wędkę i cenny haczyk brata i zszedł nad morze. Usiadł na skale, nadział przynętę na haczyk i rzucił niezdarnie w wodę. Siedział tak i gapił się na małą łódeczkę podskakującą na falach, marząc o tym, żeby

złapać jakąś dużą rybę. Za każdym razem, kiedy spławik drgnął, ciągnął za wędkę, jednak nigdy na końcu linki nie było żadnej ryby – tylko haczyk i przynęta. Gdyby umiał łowić, z pewnością nałapałby pełno ryb, ale choć był najlepszym myśliwym w całym kraju, okazało się, że jednocześnie jest też najgorszym rybakiem na archipelagu.

W ten sposób upłynął mu cały dzień – na bezowocnym siedzeniu na skale z wędką w dłoni i liczeniu, że wreszcie mu się poszczęści. W końcu zaczęło się ściemniać i nastał wieczór, a on nadal nie złowił ani jednej ryby. Kiedy wreszcie zwinął linkę, odkrył, że nie wiedząc kiedy, zgubił haczyk brata.

Bardzo go to zatroskało, bo wiedział, że brat się na niego rozgniewa, a że to był jego jedyny haczyk, cenił go bardziej niż wszystkie inne posiadane przedmioty. Hohodemi począł szukać gorączkowo zguby wśród skał i na piasku, kiedy nagle pojawił się Hoderi. Jemu także nie powiodło się na polowaniu i nie tylko miał zły humor, ale wręcz kipiał ze złości. Kiedy zobaczył, że jego brat przeczesuje wybrzeże w poszukiwaniu czegoś, domyślił się, że coś złego musiało się stać, więc zawołał zaraz do niego:

– Co robisz, bracie?

Hohodemi podszedł do niego nieśmiało, obawiając się jego gniewu, i odpowiedział:

– Och, bracie, zrobiłem coś strasznego...

– Co się stało? Co zrobiłeś? – naciskał Hoderi.

– Zgubiłem twój cenny haczyk.

Nie skończył jeszcze mówić, kiedy Hoderi naskoczył na niego wściekle:

– Zgubiłeś mój haczyk?! Tego się właśnie spodziewałem! To dlatego byłem początkowo przeciwny twojej propozycji zamiany ról, jednak widząc, jak bardzo ci na tym zależy, ustąpiłem. Widzisz teraz jakie są konsekwencje zabierania się za coś, o czym nie ma się pojęcia?! Nie zwrócę ci zatem łuku i strzał, póki nie znajdziesz mojego haczyka. Masz go natychmiast odzyskać i przynieść mi go!

Hohodemi wiedział, że sam jest sobie winny, więc zniósł cierpliwie i pokornie łajania brata. Włożył całe serce w poszukiwania zaginionego przedmiotu – ten jednak przepadł jak kamień w wodę. Młodzieńcowi nie pozostało nic innego, jak tylko się poddać. Wrócił do domu i w desperacji połamał swój ukochany miecz, by zrobić z niego pięćset haczyków. Zabrał je wszystkie i zaniósł bratu, prosząc go o wybaczenie i błagając, by przyjął je

w miejsce zaginionego skarbu. Hoderi jednak nawet nie chciał go słuchać – a co dopiero przyjąć czegokolwiek w zamian za zgubę.

W tej sytuacji Hohodemi wykonał kolejne pięćset haczyków i znów zaniósł bratu, prosząc o wybaczenie.

– Choćbyś zrobił milion haczyków, są dla mnie bezwartościowe – pokręcił głową Hoderi. – Nie wybaczę ci, dopóki nie oddasz mi mojego haczyka.

Nic nie było w stanie udobruchać Hoderiego, ponieważ był z natury porywczy i zawzięty, a ponadto w rzeczywistości nienawidził brata z powodu jego zalet i teraz, mając wreszcie powód, miał zamiar go zabić i przywłaszczyć sobie jego obszar władzy. Hohodemi zdawał sobie z tego sprawę, ale jako młodszy z braci nic nie mógł na to poradzić, jak tylko posłusznie wypełniać rozkazy. Wrócił więc nad brzeg morza i podjął znów poszukiwania haczyka. Był bardzo przygnębiony, bo już zdążył porzucić nadzieję, że kiedykolwiek odzyska zgubę.

Kiedy tak stał bezradnie na plaży, zastanawiając się, co ma teraz zrobić, nagle pojawił się przed nim starzec z kijem w ręce. Myśląc później o tym spotkaniu, Hohodemi uzmysłowił sobie, że nie widział, skąd mężczyzna się przy nim znalazł: po prostu kiedy podniósł wzrok, nieznajomy właśnie się do niego zbliżał.

– Czy nie jesteś czasem Czcigodnym Hohodemim, zwanym „Zdolnym myśliwym z gór”? – spytał staruszek. – Co robisz sam w takim miejscu?

– Tak, to ja – odparł nieszczęsny młodzieniec. – Niestety, gdy próbowałem łowić ryby, zgubiłem cenny haczyk mojego brata. Szukałem go już wszędzie – bez skutku! Jeśli go nie odzyskam, marny mój los. Mój brat nigdy mi tego nie wybaczy. A kim ty jesteś?

– Nazywam się Shiotsuchino Okina, mieszkam nieopodal stąd. Przykro mi, że spotkało cię takie nieszczęście, musisz zaiste być w nie lada tarapatkach. Jeśli pytasz mnie o zdanie, to podejrzewam, że haczyka tu nie znajdziesz – jest albo na dnie morza, albo w brzuchu jakiejś ryby, która go połknęła. Dlatego nawet gdybyś szukał do końca życia, nigdy go nie znajdziesz.

– Co mam więc robić? – spytał zrozpaczony Hohodemi.

– Radzę ci, byś udał się do Ryūgū-jō, pałacu Króla Smoka Ryūjina i przedstawivszy mu swoją sytuację, poprosił o pomoc w odzyskaniu zguby. Sądzę, że to najlepsze wyjście.

– To świetny pomysł! – rzekł Hohodemi. – Ale obawiam się, że nie mam szans się tam dostać. Słyszałem, że pałac Ryūjina znajduje się na dnie morza.

– Och, ależ to żaden problem – zachnął się starzec. – Zaraz przygotuję ci coś, co pomoże ci tam popłynąć.

– Dziękuję – odparł młodzieniec. – Będę ci wdzięczny do końca życia, jeśli mi pomożesz.

Staruszek zabrał się od razu do pracy i już wkrótce wręczył Hohodemiemu własnoręcznie upleciony kosz. Młodzieniec przyjął dar z radością, zepchnął go na fale i wskoczył do niego. Następnie pożegnał swojego towarzysza i obiecał wynagrodzić go za jego uczynność, gdy tylko uda mu się odnaleźć haczyk i będzie mógł wrócić do domu bez obawy przed gniewem brata. Shiotsuchino Okina wskazał mu jeszcze kierunek, w którym miał płynąć i poinstruował go, jak ma dostać się do pałacu Króla Mórz, po czym odprowadzał go wzrokiem, gdy ten oddalał się od brzegu w koszu, przypominającym małą łódeczkę.

Hohodemi spieszył się jak mógł, a jego osobliwy środek transportu zdawał się posiadać własną wolę i chęć dotarcia na miejsce, bowiem droga okazała się znacznie krótsza, niż się spodziewał. Po zaledwie kilku godzinach dostrzegł w oddali zarysy bramy i dachu pałacu Króla Mórz. Cóż to był za wielki pałac, z niezliczonymi spadzistymi dachami i szczytami, ogromnymi bramami i szarymi kamiennymi murami!

Wkrótce młodzieniec dotarł do celu i porzuciwszy kosz na plaży, podszedł do monumentalnej bramy. Jej odrzwia wykonane były z pięknego czerwonego koralowca, a sama brama wysadzana była połyskującymi klejnotami wszelkiej maści. Ocieniało ją rosnące tuż obok masywne drzewo *katsura* [1]. Nasz bohater wiele słyszał o bogactwach pałacu Króla Mórz, który znajdował się na dnie oceanu, lecz historie te nie oddawały nawet w części rzeczywistości.

Hohodemi chciał z miejsca przejść przez bramę, ale okazało się, że jest zamknięta na głucho i wkoło nie ma żywej duszy, którą mógłby poprosić o otwarcie. Przystanął więc, zastanawiając się, co dalej. Wtedy u podnóża drzew rosnących przed bramą zauważył tryskające źródło. Pomyślał, że ktoś z pewnością prędzej czy później przyjdzie tu zaczerpnąć wody. Wspiął się więc na drzewo nad nim, usadowił się wygodnie na jednej z gałęzi i czekał na okazję.

Wkrótce wielka brama otworzyła się i wyszły przez nią dwie piękne kobiety. Ponieważ Hohodemi wiedział, że Ryūgū włada Król Smok, spodziewał się,

że krainę tę zamieszkują smoki lub inne straszliwe stwory, gdy więc dostrzegł te wytworne damy, które urodą znacznie przewyższały większość mieszkankę jego świata, ze zrozumiałych względów był bardzo zaskoczony i zachodził w głowę, jak to możliwe. Nie odzywał się jednak ani słowem, lecz siedział cicho, obserwując nieznajome zza zasłaniających go liści i czekając, co się dalej wydarzy. Zauważył, że kobiety niosły złote wiaderka. Powoli i z wdziękiem sunąc w swych powłóczystych szatach, podeszły do źródła i stanęły w cieniu drzewa *katsura*, zamierzając zaczerpnąć wody. Nie zdawały sobie sprawy z tego, że są obserwowane, bo ukryty wśród liści i gałęzi Hohodemi był praktycznie niewidoczny.

Gdy kobiety pochylili się nad źródłem i zanurzyły w nim wiaderka, jak czyniły co dzień, nagle w tafli wody ujrzały odbicie przystojnego mężczyzny, przyglądającego się im zza konarów drzewa, pod którym stały. Nigdy wcześniej nie widziały żadnego śmiertelnika, więc przestraszyły się i szybko poderwały z powrotem wiaderka. Ciekawość jednak szybko wzięła górę nad lękiem i uniosły nieśmiało wzrok, by lepiej przyjrzeć się temu, którego wcześniej ujrzały w odbiciu. Hohodemi także patrzył na nie z zaskoczeniem i zachwytem. Przez jakiś czas, choć patrzyli sobie twarzą w twarz, nie wiedzieli, co powiedzieć. Wreszcie mężczyzna, wiedząc, że nie ma sensu dłużej się ukrywać, zeskoczył lekko na ziemię i rzekł:

– Jestem podróżnym. Zachciało mi się pić, więc podszedłem do tego źródła z nadzieją, że uda mi się ugasić pragnienie, ale nie mam żadnego naczynia, którym mógłbym zaczerpnąć wody. Wdrapałem się więc na drzewo i czekałem, aż się ktoś zjawi. I właśnie wtedy, gdy zmęczony i spragniony wypatrywałem kogokolwiek, zjawiłyście się wy, szlachetne damy, jakby w odpowiedzi na moje potrzeby. Proszę was, okażcie serce i zaczerpnijcie dla mnie wody!

Jego aura czcigodności i uroku sprawiła, że kobiety ośmieliły się nieco i pokłoniwszy mu się w milczeniu, podeszły do źródła. Opuściły do niego swoje złote wiaderka, nabrały wody i napełniwszy wysadzaną klejnotami czarzę, podały ją nieznajomemu.

Przyjął ją z szacunkiem, oburącz, unosząc ją wpierw na wysokość czoła na znak wdzięczności i czci, po czym wypił szybko zawartość, bo naprawdę był spragniony. Gdy skończył, postawił czarzę obok źródła, a następnie wyciągnąwszy krótki miecz, odciął ze swojego naszyjnika *magatama*, czyli

zakrzywiony klejnot. Umieścił go w czarce i podał kobietom z głębokim ukłonem i słowami:

– Przyjmijcie to w podziękowaniu!

Niewiasty wzięły od niego czarzę, a gdy do niej zajrzały, zobaczyły, że coś w niej jest. Wydały okrzyk zaskoczenia, kiedy spostrzegły, że to wyjątkowo piękny klejnot.

– Żaden zwykły śmiertelnik nie oddałby chętnie takiego skarbu. Prosimy, wyświadcź nam zaszczyt i zdradź nam, kim jesteś – zwróciła się do niego starsza z kobiet.

– Oczywiście. Jestem Hohodemi, czwarty Mikoto, w swoim kraju zwany „Zdolnym myśliwym z gór”.

– Doprawdy jesteś tym Hohodemim, prawnukiem Amaterasu, bogini słońca?

– spytała znów dama. – Ja jestem najstarszą córką Króla Mórz, Ryūjina, a nazywam się Toyotama.

– A ja – odezwała się wreszcie młodsza z kobiet – jestem jej siostrą i mam na imię Tamayori.

– Czy to możliwe, że jesteście córkami samego Króla Smoka? Słów mi brak, jak się cieszę, że was spotkałem! – zakrzyknął Hohodemi i nie czekając na odpowiedź, ciągnął:

– Niedawno pożyczyłem od brata haczyk i poszedłem na ryby, ale zgubiłem go, sam nawet nie wiem jak i kiedy. Ten haczyk był najcenniejszym skarbem mojego brata, więc to najgorsze nieszczęście, jakie mogło mnie spotkać. Jeśli nie odzyskam zguby, nigdy mi tego nie wybaczy, a gniewa się na mnie srodze. Szukałem go już wiele, wiele razy, ale na próżno! Dzisiaj, kiedy znów starałem się go odnaleźć, podszedł do mnie pewien mądry starzec i poradził mi, żebym udał się do Ryūgū-jō, pałacu Króla Smoka i poprosił go o pomoc. Pomógł mi także się tutaj dostać i stąd właśnie się tu wzięłem. Chciałbym zapytać Ryūjina, czy nie wie, gdzie jest ten haczyk. Czy byłobyście tak uprzejme i zabrałybyście mnie do swojego ojca? Jak sądzicie, zezwoli mi wyłuszczyć moją sprawę? – spytał Hohodemi z niepokojem.

Księżniczka Toyotama wysłuchiwała młodzieńca i rzekła:

– Z łatwością się z nim spotkasz, ba!, z chęcią cię pozna. Z pewnością stwierdzi, że to dla niego zaszczyt, iż taki wspaniały i szlachetnie urodzony młody człowiek jak ty, w dodatku potomek bogini Amaterasu, odwiedza go na dnie morza.

Następnie zwróciła się do siostry:

– Mam rację, Tamayori?

– Tak, zaiste – odpowiedziała słodkim głosem dziewczyna. – Tak jak mówisz, nie mógł spotkać go większy zaszczyt, jak tylko ugościć samego Mikoto.

– Zatem proszę, bądźcie tak miłe i pokażcie mi drogę – rzekł Hohodemi.

– Zechciej wejść, Wasza Czcigodność! – zawołały zgodnie siostry i kłaniając mu się nisko, poprowadziły go do pałacu.

Młodsza z sióstr pozostawiła gościa pod opieką starszej i przyspieszywszy kroku, pierwsza dotarła do Ryūgū-jō. Pognała wprost do komnaty ojca i opowiedziała mu wszystko, co zaszło przy bramie, po czym dodała, że Toyotama właśnie prowadzi do niego młodzieńca. Król Smok był tym wielce zdziwiony, bowiem rzadko się zdarzało – może raz na kilkaset lat – że jakiś śmiertelnik odwiedzał pałac Króla Mórz.

Klasnął w dłonie i wezwał wszystkich swoich dworzan i sługi, a także wszystkie najważniejsze morskie ryby. Oznajmił im uroczyście, że oto potomek bogini słońca przybył do pałacu i że wszyscy mają dołożyć wszelkich starań, by podjąć go godnie i uprzedzająco. Następnie nakazał im wszystkim wyjść gościowi na powitanie.

Ryūjin przebrał się w odświętne szaty i także wyszedł Hohodemiu naprzeciw. Wkrótce księżniczka Toyotama i jej towarzysz znaleźli się przed wejściem, gdzie Król Mórz i jego małżonka pokłonili się mu aż do ziemi, dziękując mu za zaszczyt, jaki im wyświadczył odwiedzając ich pałac. Następnie smok poprowadził go do pokoju gościnnego i posadziwszy go na honorowym miejscu, znów mu się uklonił i rzekł:

– Jestem Ryūjin, Król Smok i władca mórz, a oto moja żona. Jesteśmy szczęśliwi, że możemy cię poznać.

– Naprawdę jesteś Ryūjinem, Królem Mórz, o którym tak wiele słyszałem? – odpowiedział Hohodemi, pozdrawiając gospodarza uroczyście. – Wybacz mi kłopot, jaki ci sprawiam moją niezapowiedzianą wizytą – tu pokłonił się raz jeszcze i podziękował za przyjęcie.

– Nie musisz mi dziękować – odparł Ryūjin. – To ja jestem ci winien wdzięczność za odwiedziny. Choć jak widzisz, podmorski pałac jest skromnym miejscem, będę jednak zaszczycony, jeśli zechcesz z nami zostać dłużej.

Ponieważ i Hohodemi, i król radzi byli z tego spotkania, zasiedli razem

i długo bawili się rozmową. Wreszcie Ryūjin klasnął w dłonie, na co zaraz pojawiła się liczna świta ryb, a wszystkie odziane były w odświętne szaty i niosły w płetwach tacki wypełnione najróżniejszymi przysmakami z owoców morza. Rozpoczęła się wspaniała uczta. Ryby, które podawały do stołu, wybrano spośród najpiękniejszych okazów w całym oceanie, można więc sobie wyobrazić, jak wyśmienity zastęp morskich stworzeń usługiwał tego dnia Hohodemiu. Wszyscy w pałacu dokładali starań, by go zadowolić i okazać mu, iż jest tu honorowym gościem. Podczas tej długiej uczy, która trwała wiele godzin, król Ryūjin kazał swoim córkom zabawić przybysza muzyką, więc obie księżniczki na zmianę grały na *koto* [2], śpiewały i tańczyły. Czas upływał im wszystkim tak przyjemnie, że Hohodemi zdawał się nie pamiętać już o swoich kłopotach ani o tym, po co przybył do podmorskiego królestwa, oddając się całym sercem rozrywkom. Czy bowiem kto słyszał o równie wspaniałym miejscu? Mikoto przypomniał sobie jednak rychło o tym, co go sprowadziło do Ryūgū-jō, więc zwrócił się do gospodarza:

– Być może córki przekazały ci, królu Ryūjinie, że przybyłem tu, by odzyskać haczyk mojego brata, który zgubiłem jakiś czas temu na rybach. Czy byłbyś więc tak miły i zapytał swoich poddanych, czy nie widzieli gdzieś w morzu haczyka?

– Oczywiście – odparł uprzejmie Król Smok. – Zaraz zwołam tu wszystkie ryby i je wypytam.

Ledwie Ryūjin wydał rozkaz, zjawily się przed nim najróżniejsze ośmiornice, mątwy, ryby *bonito*, węgorze, meduzy, krewetki, flądry oraz inne owoce morza i ustawiły w rzędach. Król Mórz zwrócił się do nich poważnie:

– Nasz gość, który siedzi przed wami, jest czcigodnym prawnukiem bogini Amaterasu. Ma na imię Hohodemi i jest czwartym Mikoto, zwą go także „Zdolnym myśliwym z gór”. Kiedy niedawno łowił ryby u wybrzeży swego kraju, ktoś ukradł mu pożyczony od brata haczyk. Mikoto przebył długą drogę tu do nas, na dno morza, do mojego królestwa, bo pomyślał, że może któraś z ryb przywłaszczyła sobie ten haczyk w ramach niecnej zabawy. Jeśli którekolwiek z was to zrobiło, ma natychmiast go oddać, a jeśli wiecie, kim jest złodziej, macie mi zaraz powiedzieć, kto to taki i gdzie można go znaleźć.

Ryby były bardzo zaskoczone tymi słowami i patrzyły to po sobie, to na

Króla Smoka, nie mówiąc nic. Wreszcie wystąpiła naprzód mątwą i powiedziała:

– Myślę, że ryba *tai* może być tym złodziejem!

– Czy masz na to dowód? – spytał król.

– Od jakiegoś czasu nic nie je i wygląda na to, że dokucza jej gardło. Być może to ona połknęła haczyk! Lepiej zaraz po nią posłać.

Pozostałe morskie stworzenia przyklasnęły mątwie i dodały:

– To rzeczywiście dziwne, że *tai* jako jedyna ryba nie przybył na twoje wezwanie. Jeśli pošlesz po niego i wypytasz go o to, potwierdzi naszą niewinność.

– Tak, to rzeczywiście dziwne, że akurat *tai* się nie zjawił – przytaknął król. – Sądziłem, że stawi się pierwszy. Sprowadźcie go!

Jeszcze nim zdążył wydać rozkaz, mątwą już zdążyła pognać do domu ryby *tai* i właśnie wracała, prowadząc ją ze sobą. Jej towarzysz wyglądał na przerażonego i bardzo chorego. Z całą pewnością cierpiał katusze, bo jego czerwony zazwyczaj pysk był teraz całkiem blady, a oczy półprzymknięte, tak że wyglądały teraz na dwa razy mniejsze, niż były w rzeczywistości.

– Odpowiadaj, *tai*! – zawołał Król Mórz. – Dlaczego nie stawieś się dziś przede mną na wezwanie?

– Jestem od jakiegoś czasu chory – odpowiedział *tai*. – Dlatego się nie zjawiłem.

– Ani słowa więcej! – wybuchnął Ryūjin. – Twoja choroba jest karą od bogów za to, że ukradłeś haczyk Mikoto!

– Masz absolutną rację – przyznał *tai*. – Haczyk utknął mi w gardle, na próżno starałem się go wyciągnąć. Nie mogę jeść, ledwo oddycham i wciąż duszę się, a przy tym okrutnie cierpię. Nie miałem zamiaru kraść haczyka Mikoto. Zobaczyłem w wodzie przynętę i bezmyślnie ją połknąłem, a wtedy haczyk utknął mi w gardle. Mam nadzieję, że mi wybaczysz.

Na to wystąpiła znów mątwą i zwróciła się do króla:

– Miałam rację. Jak widzisz, haczyk tkwi w gardle ryby *tai*. Jeśli pozwolisz, wyciągnę go choćby i teraz, na oczach Mikoto, by od razu mógł odzyskać zgubę.

– O, tak, proszę, zrób to jak najszybciej! – zakrzyknął nieszczęsny *tai*, bo przez haczyk w gardle cierpiał potwornie. – Ja także pragnę natychmiast zwrócić haczyk Mikoto!

– Dobrze, *tai-san* [3]! – rzekła mątwą, przyjaciółka ryby.

Otworzywszy jej pysk tak szeroko, jak tylko mogła, włożyła jej głęboko do gardła mackę, po czym szybko i bez większego wysiłku wyciągnęła haczyk. Następnie umyła go i wręczyła królowi.

Ryūjin wziął przedmiot od swojej poddanej, po czym z szacunkiem zwrócił go Hohodemiemu (czy też raczej Mikoto, jak tytułowały go ryby), który nie mógł się nacieszyć z odzyskania zguby. Po wielokroć dziękował smokowi, powtarzając, że pomyślność misji zawdzięcza wyłącznie uprzejmości i posłuchowi, jakim Król Mórz cieszy się wśród mieszkańców oceanu.

Król Smok zamierzał ukarać rybę *tai*, ale Hohodemi wyprosił u niego łaskę dla nieszczęśnika, bo skoro haczyk się znalazł, nie chciał przysparzać mu więcej cierpień. Wprawdzie to on był winowajcą, lecz jego przewinienie ściągnęło już na niego karę – o ile w ogóle można było mówić o przewinieniu, bo nie ukradł przecież haczyka umyślnie, tylko wskutek bezmyślnego odruchu. Ponadto Hohodemi przyznał, że część winy leżała po jego stronie, bo gdyby potrafił łowić ryby, nie zgubiłby haczyka, więc całe zamieszanie wynikło w pierwszym rzędzie z faktu, iż wziął się za coś, o czym nie miał pojęcia. Tymi słowami przekonał Ryūjina, by odstąpił od swego zamiaru.

Któż by oparł się sugestiom tak mądrego i współczującego sędziego? Król wybaczył więc swemu poddanemu na wyraźne życzenie czcigodnego gościa. *Tai* był tak szczęśliwy, że machał płetwami ze szczęścia, a pozostałe ryby i inne morskie stworzenia opuszczając pałac, nie mogły się nachwalić przymiotów Hohodemiego.

Co się zaś jego tyczy, skoro haczyk się znalazł, nic go już nie trzymało w podmorskim królestwie i nie mógł się już doczekać powrotu do ojczyzny i pogodzenia się z bratem. Król Smok jednak, który pokochał go od pierwszego wejrzenia i chętnie widziałby w nim zięcia, błagał go, by nie opuszczał go tak prędko i zechciał zamieszkać w Ryūgū-jō tak długo, jak tylko miał ochotę. Hohodemi wahał się, ale wtedy dwie piękne księżniczki, Toyotama i Tamayori, podeszły do niego i słodkimi głosami, kłaniając się raz po raz, przyłączyły się do nalegań ojca, by został jeszcze trochę, tak że niewdzięcznością byłoby odmówić – został więc nieco dłużej.

Czas w podmorskim królestwie płynął tak samo jak na lądzie i Hohodemiemu trzy lata w tej uroczej krainie minęły jak z bicza strzelił; nic dziwnego – szczęśliwemu czas szybciej mija. Jednak choć co dzień odkrywał

nowe cuda tej magicznej krainy i choć serdeczność króla z czasem zdawała się nie tylko nie maleć, ale i wręcz wzrastać, Hohodemi coraz bardziej tęsknił za domem i nie mógł stłumić niepokoju o to, co dzieje się teraz w jego domu, w jego kraju i co w czasie jego nieobecności porabia Hoderi. W końcu udał się więc do Króla Smoka i rzekł:

– Byłem bardzo szczęśliwy przez cały ten czas spędzony tu z tobą i jestem ci ogromnie wdzięczny za twoją uprzejmość. Mam jednak obowiązki w swoim kraju i choć tutejsza kraina jest cudowna, nie mogę porzucić ojczyzny na zawsze. Powinienem też zwrócić bratu zaginiony haczyk i prosić go o wybaczenie, że musiał tak długo na niego czekać. Jest mi naprawdę przykro, że muszę się z wami rozstać, ale tym razem nic nie mogę na to poradzić. Jeśli łaskawie pozwolicie, wrócę do siebie jeszcze dzisiaj. Mam nadzieję, że uda mi się jeszcze kiedyś was odwiedzić. Proszę, porzućcie wszelkie zamiary zatrzymywania mnie dłużej.

Król Ryūjin bardzo się zasmucił na myśl, że straci przyjaciela, którego obecność tak urozmaiciła mu czas w podmorskim pałacu i zalewając się łzami, odpowiedział:

– Bardzo trudno jest mi się z tobą rozstać, mój drogi Mikoto, bo miło spędzaliśmy z tobą czas. Byłeś szlachetnym gościem, którego obecność nas zaszczyciła, więc przyjęliśmy cię z całego serca. Rozumiem jednak, że masz swoje obowiązki jako Czcigodny swojego kraju i powinieneś być teraz tam, a nie tutaj i że nasze próby zatrzymania cię spełzną na niczym. Mamy nadzieję, że nas nie zapomnisz. Dziwne okoliczności doprowadziły do naszego spotkania i wierzę, że przyjaźń, jaką zrodziły między nami, a także między ziemią a morzem, stanie się teraz jeszcze silniejsza niż dotąd.

Gdy skończył mowę, zwrócił się do córek i kazał im przynieść dwa Klejnoty Pływów. Księżniczki pokłoniły się nisko, wstały i cichutko wyszły z sali. Wróciły po paru minutach, każda niosąc w dłoniach błyszczący kamień, który wypełniał pomieszczenie światłem. Hohodemi patrząc na nie, zachodził w głowę, co to może być. Król Mórz wziął klejnoty od córek i zwrócił się do gościa:

– Te dwa cenne talizmany od niepamiętnych czasów przekazywano sobie w naszym rodzie z pokolenia na pokolenie. Dajemy je teraz tobie w darze pożegnalnym, na znak naszej przyjaźni. Zwą się one Manju i Kanju.

Hohodemi skłonił się do ziemi i rzekł:

– Życia mi nie starczy, by wyrazić wdzięczność za troskę, jaką mnie tutaj otoczyliście. Wyświadczcie mi jednak, proszę, jeszcze jedną przysługę i powiedzcie, co to za klejnoty i co się z nimi robi?

– Manju zwany jest inaczej Klejnotem Przyływu – wyjaśnił król. – Ktokolwiek go posiada, będzie mógł kiedy tylko zechce rozkazać morzu wdrzeć się na ląd i zalać go. Kanju zaś to Klejnot Odływu i kontroluje morze oraz fale, nakazując im cofać się w głąb oceanu.

Następnie Ryūjin pokazał przyjacielowi, jak ma używać klejnotów, po czym dał mu je. Hohodemi bardzo ucieszył się z tego daru, bo przeczuwał, że może mu się przydać, jeśli znajdzie się w niebezpieczeństwie. Podziękowawszy miłemu gospodarzowi nieskończoną ilość razy, przygotował się do drogi. Król Smok i jego córki, Toyotama i Tamayori, a także wszyscy mieszkańcy pałacu, zebrali się, by go pożegnać. Nim jeszcze przebrzmiało ostatnie „Żegnaj!”, Hohodemi przeszedł przez bramę, minął źródło u stóp wielkiego drzewa *katsura*, które przywołało miłe wspomnienia, po czym ruszył w kierunku plaży.

Tam jednak zamiast dziwnego kosza, w którym przybył do Ryūgū, znalazł ogromnego krokodyla [4]. Nigdy wcześniej nie widział tak wielkiego potwora; mierzył on osiem sążni długości licząc od pyska do końca ogona. Król Mórz nakazał mu zawieźć Hohodemiego do domu. Zwierz, podobnie jak magiczny kosz, który upłócił dla młodzieńca Shiotsuchino Okina, poruszał się szybciej niż jakakolwiek łódź i w ten osobliwy sposób, płynąc na jego grzbiecie, Hohodemi wrócił do ojczyzny.

Gdy tylko znalazł się na brzegu, pospieszył do brata, by powiadomić go o swoim szczęśliwym powrocie. Oddał mu też haczyk, który odnalazł w pysku ryby *tai* i który przysporzył mu tyle kłopotów, błagając szczerze Hoderiego o wybaczenie. Opowiedział mu też o tym, co wydarzyło się w pałacu Króla Mórz i jakie wspaniałe przygody przeżył, gdy starał się odzyskać haczyk.

Tymczasem Hoderi posłużył się zgubieniem przez brata haczyka jako wymówką dla wygnania go z kraju. Kiedy Hohodemi wyszedł od niego owego dnia trzy lata temu i nie wrócił, cieszył się w głębi serca, że udało mu się zagarnąć władzę, która wcześniej przypadała jego bratu, stając się przez ten czas człowiekiem wpływowym i bogatym. Już zdążył się nacieszyć tym, co do niego nie należało i uwierzyć, że brat już nigdy nie wróci, by upomnieć się o swoje prawa – gdy oto niespodziewanie Hohodemi stanął przed nim we

własnej osobie.



Hohodemi i ryba tai. Drzeworyt Tsukioki Yoshitoshiego (1867 r.)

Hoderi udał, że mu wybacza, bo nie mógł dłużej wykorzystywać pretekstu zguby haczyka, by go przeganiać, lecz w rzeczywistości był wściekły i od tej pory z dnia na dzień nienawidził brata coraz bardziej. Doszło w końcu do tego, że nie mógł znieść choćby jego widoku, począł więc wyczekiwać okazji, by go zabić.

Pewnego dnia Hohodemi przechadzał się po polach ryżowych, a Hoderi śledził go ze sztyletem w dłoni. Młodszy z braci zdawał sobie sprawę z jego zamiarów i uznał, że właśnie nadeszła pora, by użyć Klejnotów Pływów i sprawdzić, czy to, co powiedział mu Król Mórz, było prawdą.

Wyciągnął zza pazuchy Klejnot Przyływu i uniósł go nad głowę. Zaraz morskie fale wdarły się na ląd, zalały pola ryżowe i gospodarstwa, aż

wszystko znalazło się pod wodą, oprócz miejsca, w którym stał Hoderi. Ten przeraził się widząc, co się dzieje, a chwilę później już walczył z wodą, krzycząc rozpaczliwie do brata, by ocalił go przed utonięciem.

Hohodemi miał dobre serce i nie mógł znieść widoku cierpiącego brata. Odłożył zaraz Klejnot Przyływu i wyjął Klejnot Odpływu. Ledwie uniósł go nad głowę, fale cofnęły się i wkrótce powódź ustąpiła, odsłaniając na powrót pola i wsie.

Hoderi, któremu śmierć zajrzała w oczy, trząsł się ze strachu i nie mógł wyjść z podziwu nad cudowną mocą brata. Zrozumiał, że popełnił srogi błąd robiąc sobie wroga z człowieka, który miał moc kontrolowania morskich pływów. Ukorzył się więc przed Hohodemim i poprosił, by wybaczył mu doświadczone z jego strony krzywdy. Obiecał też zwrócić mu wszystko, co do niego należało i przysiągł, że choć jest starszy i z tego względu należy mu się posłuch u młodszego brata, uznaje jego wyższość i oto kłania się przed nim jako przed jedynym władcą Japonii.

Hohodemi odparł, że wybaczy mu, jeśli tak jak morze cofa swoje fale, tak i on porzuci swoje złe postępowanie. Hoderi złożył stosowną obietnicę i odtąd między braćmi nastąpiła zgoda, bo rybak dotrzymał słowa i stał się dobrym człowiekiem.

Hohodemi rządził od tej pory Japonią bez przeszkód, a w kraju na długo zapanował pokój. Ze wszystkich skarbów, jakie posiadał, najbardziej cenił cudowne Klejnoty Pływów, które dostał od Ryūjina, smoczego Króla Mórz. Tak oto szczęśliwie kończy się baśń o „Zdolnym myśliwym” i „Zręcznym rybaku”.

[1] *Katsura* – grujecznik japoński (przy. tłum.).

[2] *Koto* – japoński instrument muzyczny, rodzaj cytry (przy. tłum.).

[3] *-san* – przyrostek honoryfikacyjny, odpowiednik naszego „pana” (przy. tłum.).

[4] W oryginalnej historii, na której oparta jest ta baśń, zawartej w kronikach *Kojiki* i *Nihongi* (VIII w.) zwierzę określane jest mianem *wani*. Potwór ten pojawia się kilkakrotnie w japońskich legendach i jest to stworzenie mityczne, wyimaginowane na podstawie opisów krokodyla i rekina. Ten pierwszy rzecz jasna nie występuje w Japonii i dawni Japończycy nie mieli

pojęcia, jak naprawdę wygląda (przyp. tłum.).

6. Biały zajac z Inaby i krokodyl

W dawnych czasach, kiedy zwierzęta potrafiły jeszcze mówić, w japońskiej prowincji Inaba mieszkał sobie mały biały zajaczek. Jego domem była niewielka wyspa Oki, położona na morzu po przeciwległej stronie do reszty prowincji.

Pewnego razu zajaczek zapragnął przepłynąć na stały ląd. Dzień po dniu wychodził nad morze, siadał na brzegu i tęsknie spoglądał na drugą stronę, marząc o tym, by jakimś sposobem się na nią przepłynąć.

Któregoś dnia, gdy jak zwykle siedział na plaży ze wzrokiem utkwionym w oddali, nagle dostrzegł przepływającego nieopodal ogromnego krokodyla [1].

– Ale mam szczęście! – zawołał do siebie zajaczek. – Wreszcie będę mógł przepłynąć na drugą stronę. Poproszę tego krokodyla, by mnie przewiózł przez morze.

Wtedy jednak naszała go myśl, że krokodyl zapewne nie będzie chciał spełnić jego prośby. Zamiast prosić o przysługę, postanowił więc posłużyć się podstępem. Zawołał głośno krokodyla i pozdrowił go:

– Witaj, panie krokodylu! Ładny mamy dzisiaj dzień, prawda?

Krokodyl, który akurat tego dnia miał zamiar nacieszyć się piękną pogodą, zaczynał właśnie czuć się nieco samotny, kiedy nagle panującą wokół ciszę przerwało radosne pozdrowienie zajaczka. Zwierz podpłynął bliżej, ucieszony, że może z kimś porozmawiać.

– Zastanawiałem się, kto mnie woła. Czy to byłeś ty, panie zajaczku? Musisz się tu czuć bardzo samotny, tak bez żadnych towarzyszy.

– Och, ależ ja wcale nie jestem samotny – odparł zajac. – Dziś jest taka ładna pogoda, że przyszedłem tu sam, żeby się nią nacieszyć. Może masz ochotę przyjść tu do mnie i chwilę się ze mną pobawić?

Na to krokodyl wypłynął z wody i usiadł na brzegu, gdzie oba zwierzęta bawiły się ze sobą przez jakiś czas. Wreszcie zajaczek rzekł:

– Panie krokodylu, ty mieszkasz w morzu, a ja na tej wyspie, więc nie widzimy się zbyt często i niewiele o tobie wiem. Powiedz mi, czy sądzisz, że twoich pobratymców jest więcej niż moich?

– Oczywiście. Krokodyli z pewnością jest więcej, niż zajęcy – odpowiedział

krokodyl. – To chyba oczywiste? Ty mieszkasz na małej wysepce, a ja w morzu, które rozpościera się na cały świat, więc gdybym wezwał tu wszystkie krokodyle z bliska i z daleka, nie mielibyście żadnych szans z nami konkurować.

Zajaczek spostrzegł, że krokodyl jest bardzo zarozumiały i pewny siebie. Aby więc go przechytryć, spytał:

– Naprawdę sądzisz, że da się wezwać tu wystarczająco dużo krokodyli, by ustawione jeden przy drugim utworzyły most stąd aż do Inaby?

Krokodyl odparł po chwili namysłu:

– Tak, to możliwe.

– Zatem sprawdźmy! – zawołał sprytny zajaczek. – A ja was policzę.

Krokodyl był łatwowiernym zwierzęciem i nawet nie przyszło mu do głowy, że jego towarzysz chce tylko go wykorzystać do swoich celów, zgodził się więc:

– Poczekaj tu chwilę, a ja wrócę do wody i zwołam moich pobratymców!

Po tych słowach krokodyl dał nura do morza i przez jakiś czas nie wracał. Zajaczek czekał na niego cierpliwie na brzegu. Wreszcie krokodyl wrócił w liczonym towarzystwie.

– Spójrz tylko, panie zajaczku! – zawołał. – Utworzyć most stąd do Inaby to pestka dla moich przyjaciół! Ba, moglibyśmy ustawić się jeden za drugim choćby i do Chin czy do Indii! Czy widziałeś kiedy tyle krokodyli?

Następnie całe stado ustawiło się w wodzie ramię w ramię, tworząc żywy most, sięgający od wyspy Oki aż po Inabę. Widząc to, zajaczek krzyknął:

– Coś niesamowitego! Nie sądziłem, że to naprawdę jest możliwe. Niech no was policzę! Wybaczcie, ale w tym celu muszę skakać po waszych grzbietach aż na drugą stronę, bądźcie więc tak miłe i nie ruszajcie się, bo wpadnę do morza i utonę.

Tak oto zajaczek wskoczył na grzbiet pierwszego krokodyla i przeskakując z jednego na drugiego, oddalał się od wyspy, licząc po drodze:

– Proszę, nie ruszajcie się, bo nie będę was mógł policzyć. Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, osiem, dziewięć...

W ten sposób przebiegły zajaczek przedostał się ze swojej wyspy do prowincji Inaba. Nie wystarczyło mu jednak to, że udało mu się spełnić swoją zachciankę, bo zamiast podziękować krokodylom, gdy tylko zeskoczył z grzbietu ostatniego na suchy ląd, począł z nich szydzić:

– Oj, głupie krokodyle, ale dałyście się nabrać! – i już miał zamiar uciec jak najprędzej, lecz krokodyle, które zrozumiały, że zostały wykorzystane, a ich naiwność wyśmiana, rozzłościły się na zajączka i postanowiły się zemścić. Kilka z nich pognało za nim i dopadło go w paru susach. Otoczyły biedaka i poczęły wyrwać mu futro. Zajączek krzyczał w niebogłosość i zaklinał je, by go oszczędziły, one jednak z każdym wyrwanym kłaczkiem powtarzały:

– Zasłużyłeś sobie na to!

Gdy już wyrwały mu całą sierść aż do ostatniego włoska, porzuciły nieszczęśnika na plaży i odpłynęły, śmiejąc się ze swego czynu.

Zajączek stanowił teraz żałosny widok. Stracił swoje piękne białe futerko, a jego nagie ciało dygotało z bólu, tu i tam krwawiąc. Ledwie mógł się ruszać, więc leżał tylko bezradnie na plaży i opłakiwał nieszczęście, które go spotkało. Chociaż sam na siebie sprowadził ten los, każdy, kto widział go w tym stanie, nie mógł oprzeć się współczuciu, bowiem krokodyle w zemście obeszyły się z nim bardzo brutalnie.

Tak się złożyło, że nieopodal przejeżdżała grupka ludzi, którzy wyglądali na synów samego władcy kraju. Ujrawszy leżącego na plaży i płaczącego zajączka, zatrzymali się i zapytali, co się stało. Zwierzątko uniosło łebek znad łap i odparło:

– Biłem się z krokodylami, ale przegrałem i wyrwały mi całe futro, po czym zostawiły mnie tu cierpiącego... Dlatego właśnie płaczę.

Jeden z mężczyzn, który z natury był strasznym okrutnikiem, udał współczucie i rzekł do zajączka:

– Tak mi ciebie żal. Znam jednak sposób, by ukoić twoje zbolące ciało. Wykąp się teraz w morzu, a potem usiądź na plaży i osusz się na wietrze. To sprawi, że twoje futerko w mig odrośnie i będziesz jak dawniej – to powiedziawszy, mężczyzna oddalił się wraz ze swymi towarzyszami. Zajączek ucieszył się, sądząc, że wkrótce będzie zdrow. Wykąpał się więc w morzu i usiadł w miejscu, gdzie wiatr wiał najsilniej, by się szybko osuszyć.

Gdy jednak to się stało, jego skóra ściągnęła się i spierzchła, a morską sól, która dostała mu się do ran, tylko spotęgowała jego cierpienia, tak że tarzał się teraz po piasku i krzyczał głośno z bólu.



Ōkuninushi i biały zajac z Inaby. Drzeworyt Katsushiki Hokusai (rok nieznany)

Wtedy inny syn władcy, niosący na plecach ogromny worek, znalazł się w pobliżu. Kiedy zobaczył zajączka, zatrzymał się i spytał o powód jego katuszy. Nieszczęsne zwierzątko, pomne na to, jak zostało podle oszukane przez podobnych do niego ludzi, nie odpowiedziało. Tym razem jednak człowiek, który się nad nim ulitował, miał dobre serce i rzekł do niego:

– Biedaku! Widzę, że wyrwano ci całą sierść aż do gołej skóry. Kto mógł ci to zrobić?

Gdy zajączek usłyszał te pełne współczucia słowa, zdecydował się opowiedzieć młodzieńcowi, co mu się przydarzyło. Tym razem jednak nie zmyślał, tylko szczerze wyznał, jak wykorzystał krokodyle i jak zemściły się na nim za to, że je potem wyśmiał. Następnie opowiedział, jak został oszukany przez ludzi, którzy byli bardzo podobni do stojącego przed nim mężczyzny. Zakończył swoją długą opowieść błaganiem, by młodzieniec poradził mu, co ma zrobić, by odzyskać zdrowie i futro. Nieznajomy

powiedział mu:

– To bardzo przykre, co cię spotkało, ale zwróć uwagę, że to skutek tego, że sam zakpiłeś z krokodyli.

– Wiem o tym – odparł żałośnie zajączek. – Ale już odpokutowałem swoją winę i nigdy więcej nikogo nie oszukam, błagam więc, wskaż mi jakiś sposób, bym mógł ulżyć swoim cierpieniom.

– Poradzę ci coś zatem – odrzekł mężczyzna. – Wykąp się wpierw w tym stawie nieopodal, by spłukać z ciała całą sól. Następnie nazrywaj rośliny *kaba* [2], rosnącej wokół wody, rozsyp ją na ziemi i wytarżaj się w niej. Pyłek zawarty w jej kłosach spowoduje, że sierść ci odrośnie i wkrótce będziesz jak dawniej.

Zajączek ucieszył się z tej porady. Doczołgał się do stawu, wykąpał się w nim i opłukał solidnie, po czym nazrywał wskazanej rośliny i wytarżał się w jej łodygach, zgodnie z instrukcją. Ku swemu zdumieniu jeszcze nim skończył, odkrył na swoim ciele biały puszek, a ból wreszcie minął i czuł się znacznie lepiej. Szczęśliwy z tak szybkiego ozdrowienia, pokicał radośnie z powrotem do młodzieńca i klękawszy u jego stóp, powiedział:

– Nie wiem jak ci dziękować za pomoc! Bardzo chciałbym coś dla ciebie zrobić w zamian! Powiedz mi, jak cię zwać?

– Nie jestem żadnym księciem. Jestem jednym z Mikoto, czyli Czcigodnych, a nazywam się Ōkuninushi – odpowiedział młodzieniec. – A ci mężczyźni, których wcześniej spotkałeś, to moi bracia. Usłyszeli oni, że w prowincji Inaba mieszka piękna księżniczka Yakami i jadą właśnie do niej, by starać się o jej rękę. W tej wyprawie służę im za ledwie za tragarza, dlatego idę za nimi z tym wielkim workiem na plecach.

Zajączek pokłonił się przed Czcigodnym Ōkuninushim, który należał do istot czczonych w niektórych częściach kraju jak bóstwa.

– Och, nie wiedziałem, że jesteś Ōkuninushi-no Mikoto! Byłeś dla mnie taki miły! Trudno mi uwierzyć, że ten podły osobnik, który poradził mi morską kąpiel, to był jeden z twoich braci. Jestem całkiem pewny, że księżniczka, do której jadą, nie zechce poślubić żadnego z nich i wybierze ciebie, ze względu na twoje dobre serce. Nawet jeśli nie jest to twoim zamiarem, to właśnie ty zdobędziesz jej przychylność i to ciebie wybierze na męża.

Ōkuninushi-no Mikoto nie zwrócił większej uwagi na słowa zajączka, tylko pożegnał się z nim i szybko ruszył w dalszą drogę. Dogonił braci w chwili, gdy dotarli do bram pałacu księżniczki.

Tymczasem stało się dokładnie tak, jak przepowiedziało zwierzątko: księżniczka odrzuciła zaloty wszystkich braci, a gdy spojrzała na Ōkuninushiego, którego dobroć była wymalowana na twarzy, podeszła do niego i oznajmiła:

– Ciebie wybieram.

W ten oto sposób Ōkuninushi-no Mikoto poślubił księżniczkę Yakami i do dziś czczony jest jako bóstwo w niektórych częściach Japonii. Zajączek zapisał się w japońskich legendach jako „Biały zając z Inaby”. Co się zaś stało z krokodylami – nikt nie wie.

[1] Podobnie jak w poprzedniej baśni, nie chodzi tu o prawdziwego krokodyla, tylko o potwora *wani*. Obecnie jednak faktycznie słowo *wani* oznacza po japońsku krokodyla (przyp. tłum.).

[2] *Kaba* – gatunek z rodziny pałkowatych, rogoża (przyp. tłum.).

7. Przygody księcia Yamato Take

Cesarskie regalia Japonii składają się z trzech świętych skarbów, strzeżonych zazdrośnie od niepamiętnych czasów. Są to: Yata-no Kagami, czyli Ośmioboczne Zwierciadło, Yasakani-no Magatama, czyli Zakrzywiony Klejnot, oraz Murakumo-no Tsurugi, czyli Miecz Zbierających się Chmur.

Spośród tych trzech skarbów Murakumo-no Tsurugi, którego nazwę z czasem zmieniono na Kusanagi-no Tsurugi, czyli Miecz Trawosiecz, uważany jest za najcenniejszy i otaczany przez Japończyków największym szacunkiem, ponieważ stanowi symbol siły tego narodu i talizman niezwyciężoności cesarza, który przechowuje go w świątyni swych przodków.

Dwa tysiące lat temu miecz ten znajdował się w świątyni Ise, poświęconej Amaterasu, potężnej i pięknej bogini słońca, od której podobno wywodzi się ród cesarski. Oto historia zdarzeń, które wyjaśniają zmianę nazwy tego skarbu.

Dawno, dawno temu, cesarzowi Keikō, który był dwunastym władcą Japonii licząc od wielkiego Jimmu, założyciela japońskiej dynastii cesarskiej, urodził się syn. Yamato, bo tak nazwano chłopca, był jego drugim synem i od najmłodszych lat odznaczał się niezwykłą siłą, mądrością i odwagą, a jego ojciec z dumą wróżył mu świetlaną przyszłość i kochał go bardziej, niż swojego starszego syna.

Kiedy książę Yamato dorósł (w dawnych czasach chłopców uznawano za dorosłych, gdy kończyli szesnaście lat), w cesarstwie zapanował chaos w związku z działalnością grupy bandytów, którym przewodzili bracia Kumaso i Takeru. Ci buntownicy z rozkoszą sprzeciwiali się wszystkim edyktom cesarskim, łamali prawo i drwili z władzy.

Wreszcie cesarz Keikō wydał księciu Yamato rozkaz, by rozgromił bandę i jeśli to możliwe – zabił jej przywódców. Yamato wprowadził zgodnie z prawem dopiero co przestał być dzieckiem, ale był niezłomnym wojownikiem i nie znał strachu. W całym kraju nie było dla niego godnego przeciwnika jeśli chodzi o odwagę i mężne czyny, przyjął więc polecenie ojca z radością.

Zaraz zabrał się za przygotowania do ekspedycji. W całym pałacu zapanował

wielki zamęt, gdy wraz ze swymi najwierniejszymi ludźmi szykowali się, polerując broń i wdziewając zbroje. Nim wyruszył z misją, udał się jeszcze do świątyni w Ise, by pomodlić się do bóstw opiekuńczych i pożegnać się ze swoją ciotką, księżniczką Yamato, która pełniła tam funkcję naczelnej kapłanki. Na myśl o niebezpieczeństwach, jakie go czekały, było mu bowiem ciężko na sercu i czuł, że będzie potrzebował opieki swojej wielkiej przodkini, bogini Amaterasu. Księżniczka powitała go z radością i pogratulowała mu otrzymania od samego cesarza tak ważnej misji. Następnie podarowała mu jedną ze swoich wspaniałych szat jako pamiątkę i talizman zarazem. Przykazała mu, by zabrał strój ze sobą na wyprawę, bo z pewnością mu się przyda i przyniesie mu szczęście. Wreszcie życzyła mu powodzenia i szczęśliwego powrotu. Książę skłonił się nisko ciotce i gorąco podziękował za cenny dar.

– Teraz już ruszam w drogę – oznajmił i wróciwszy do pałacu, zebrał swoich ludzi i wyruszył. Pocieszony błogosławieństwem ciotki, czuł się teraz gotowy na wszystko, co mogło go spotkać i przemierzywszy kraj, dotarł do położonej na południu wyspy Kiusiu, siedziby buntowników. Gdy już się na niej znalazł, powoli, lecz wytrwale parł w stronę kwatery hersztów bandy, Kumaso i Takeru. Nie było to jednak łatwe, bowiem wyspa była dzika, a tereny trudne. Góry były tam wysokie, zbocza strome, doliny głębokie i ciemne, a armia księcia co rusz napotykała na swojej drodze zwalone olbrzymie drzewa lub spiętrzone głazy. Pokonanie tych wszystkich przeszkód zdawało się niemożliwością.

Książę Yamato, choć był młody, był też nad wiek roztropny. Przekonawszy się, że na nic zdadzą się jego próby przeprawienia się z armią dalej, pomyślał:

„Dowodzenie w tak dzikich warunkach ludźmi, którzy nie znają okolicy, czyni tylko moją misję trudniejszą. Nie możemy jednocześnie walczyć i oczyszczać sobie terenu. Lepiej będzie uciec się do podstępów i zaskoczyć wrogów – w ten sposób zabiję ich bez większego wysiłku!”

Kazał więc swoim ludziom zatrzymać się i rozbić obóz. Następnie wezwał do siebie swoją żonę, księżniczkę Ototachibanę, która towarzyszyła mu w wyprawie, i polecił jej, by przyniosła mu szatę podarowaną mu przez kapłankę z Ise. Z pomocą księżniczki włożył ją i rozpuścił włosy, które spłynęły kruczoczną kaskadą na jego ramiona. Następnie wpiął w nie

grzebień należący do żony, a na szyi zawiesił sobie sznur klejnotów. Gdy skończył, księżniczka przyniosła mu lustro. Przejrzał się w nim i uśmiechnął z zadowoleniem – jego kamuflaż był idealny.

W tym niecodziennym stroju Księżę był tak odmieniony, że ledwie sam siebie poznawał w odbiciu. Po dzielnym wojowniku nie zostało ani śladu, a ze zwierciadła patrzyła na niego piękna młoda dama.

Tak przebrany udał się sam do obozu wroga, w jedwabnych fałdach szaty, tuż przy swym męznym sercu, ukrywając sztylet. Kiedy zbliżył się do koczowiska buntowników, Kumaso i Takeru odpoczywali akurat w namiocie, delektując się wieczornym chłodem. Rozprawiali na temat wieści, jaki im ostatnio przyniesiono, jakoby syn samego cesarza wyprawił się przeciwko nim i prowadząc wielką armię, przybył z nią na wyspę, by ich zgładzić. Obaj słyszeli o odwadze młodego księcia i po raz pierwszy w życiu odczuwali lęk. Nagle przerwali rozmowę i unieśli wzrok, bo oto przez szparę między połami namiotu ujrzeli zbliżającą się ku nim piękną kobietę w wystawnych szatach. W słabym wieczornym świetle wyglądała jak uosobienie słodyczy i uroku. Nawet nie przeczuwali, że to właśnie wróg, którego tak się obawiali, stanął przed nimi we własnej osobie.

– Cóż za piękna kobieta! Skąd się tu wzięła? – zawołał zdumiony Kumaso, na jej widok w mig zapominając o temacie narady.

Przywołał nieznajomą skinieniem dłoni i nakazał jej podać sobie wino. Księżciu serce skoczyło w piersi radośnie, bo spostrzegł, że jego plan się powiódł. Nie dał jednak tego po sobie poznać i przybierając pozory nieśmiałości, zbliżył się z wolna do herszta, posyłając mu spojrzenia niczym płochliwa sarenka. Oczarowany Kumaso wychylał czarkę za czarką tylko po to, by raz za razem patrzeć, jak nieznajoma z wdziękiem nalewa mu trunek. Ani się obejrzał, a już był pijany na umór.

Na tę właśnie chwilę czekał dzielny książę. Cisnął na ziemię dzban z winem, capnął zamroczonego i kompletnie zaskoczonego Kumaso, po czym dźgnął go prosto w serce ukrytym w fałdach szaty sztyletem.

Na widok tego, co się dzieje, Takeru, brat Kumaso, rzucił się w popłochu do ucieczki, lecz Yamato był szybszy. Nim zbój dopadł wyjścia, książę już był za nim, chwycił go za ubranie i przytrzymał w żelaznym uścisku, śmignął ostrzem w jego stronę. Takeru upadł, brocząc obficie krwią.

– Czekał! – wycharczał z trudem, łapiąc księcia za rękę. Yamato rozluźnił nieco uścisk i zwrócił się do zbója:

– Dlaczego miałbym cię posłuchać, niegodziwcze?
Na to Takeru uniósł się nieco i rzekł lękliwie:



Księżę Yamato Take zakrada się w kobiecym stroju do kryjówki wroga. Drzeworyt Tsukioki Yoshitoshiego (1886 r.)

– Powiedz mi skąd pochodzisz i kim jesteś? Dotąd sądziłem, że mój brat i ja jesteśmy najsilniejszymi ludźmi w kraju i nikt nie może się z nami równać. Ty za to samotnie dostałaś się do naszej kryjówki, zaatakowałaś i zabiłaś jednego z nas. Nie możesz być zwykłą śmiertelniczką!

Na to księżę odpowiedział z dumnym uśmiechem:

– Jestem synem cesarza i nazywam się Yamato. Mój ojciec posłał mnie, abym pokonał was i położył kres waszym rozbojom. Dość już rabowania i mordowania ludzi w moim kraju! – to mówiąc, znów uniósł ociekający

krwią sztylet nad głowę wroga.

– Ach, wiele o tobie słyszałem! – westchnął Takeru ostatkiem sił. – Zaiste jesteś niezwykle silnym młodzieńcem, skoro pokonałeś nas z taką łatwością. Pozwól więc, że nadam ci nowe imię. Od teraz znany będziesz jako Yamato Take. Powierzam ci tytuł najsilniejszego człowieka w Yamato [1], który dotychczas nosiliśmy z bratem.

To powiedziawszy, Takeru opadł z powrotem na ziemię i wyzionął ducha.

Pokonawszy wrogów ojca, książę ruszył z powrotem do stolicy. Droga prowadziła przez prowincję Izumo, gdzie napotkał innego banitę, zwanego Izumo Takeru, który wyrządził wiele zła w okolicy. Książę znów posłużył się fortem, by pokonać nieprzyjaciela. Wpierw kazał sobie przygotować drewniany miecz, który przypasał sobie w parze z własnym, prawdziwym ostrzem. Następnie pod fałszywym imieniem zbliżył się do rozbójnika i pozyskał jego sympatię. Odtąd trzymał się z nim, wyczekując stosownej okazji.

Pewnego dnia, gdy letni skwar wyjątkowo dawał się wszystkim we znaki, zaciągnął Izumo Takeru nad brzeg rzeki Hinokawa, gdzie namówił go na wspólne pływanie. Perspektywa ochłody w wodzie była kusząca, więc nie dając się prosić, banita zanurkował w ślad za księciem. Widząc, że z ochotą pluska się w rzece, Yamato szybko zawrócił i wyszedł z wody. Niepostrzeżenie podkradł się do rzeczy rozbójnika i podmienił mu miecz na drewnianą atrapę.

Wkrótce Izumo Takeru także wyszedł na brzeg. Mężczyźni ubrali się, po czym książę zaproponował towarzyszowi pojedynkę szermierczy, mówiąc:

– Przekonajmy się, który z nas jest lepszym wojownikiem!

Rozbójnik zgodził się z ochotą, pewny zwycięstwa – był bowiem znany w całej prowincji jako niezrównany mistrz miecza, a przy tym nie zdawał sobie sprawy z tego, kim naprawdę jest jego przeciwnik. Chwycił szybko za rękojeść, by zająć pozycję – lecz niestety! Drewniane ostrze zaklinowało się w pochwie i za nic nie dawało się wyciągnąć. Zresztą nawet gdyby Izumo Takeru zdołał wyciągnąć miecz, niewiele by mu to dało, bo książę Yamato Take już wzniosł wysoko prawdziwe ostrze banity i ciął nim z całej siły, zdejmując mu głowę z karku.

W ten oto sposób czasem z pomocą siły, czasem rozumu, a czasem przebiegłości, którą w jego czasach ceniono tak bardzo, jak obecnie się nią pogardza, książę pokonał jeden za drugim wszystkich wrogów cesarza,

zaprowadzając w kraju pokój i dając ludziom wytchnienie od bandytów.

Kiedy wrócił do stolicy, ojciec pochwalił go za jego mężne czyny i wyprawił w pałacu ucztę, by cały dwór hucznie świętował bezpieczny powrót księcia. Obsypał go też cennymi podarunkami i od tej chwili kochał go jeszcze bardziej niż dotąd. Zabronił mu także oddalać się od siebie, bo jak oznajmił, teraz syn stał się dla niego równie cenny, co własna ręka.

Księżciu nie dane było jednak długo żyć w pokoju. Kiedy miał jakieś trzydzieści lat, doszły go wieści, że plemię Ajnów, rdzennej ludności archipelagu, których Japończycy podbili i zepchnęli na północne obrzeża cesarstwa, zbuntowało się we wschodnich prowincjach i opuściwszy przydzielone im regiony, siało zamęt w kraju. Cesarz uznał, że trzeba będzie wysłać armię, by ich rozgromić i przywołać do rozsądku. Któż jednak mógłby ją poprowadzić?

Księżę Yamato zgłosił się niezwłocznie na ochotnika. Cesarz kochał go z całego serca i nie mógł znieść myśli o rozłące z synem choćby na jeden dzień, więc rzecz jasna wzdragał się przed wysyłaniem go na tak niebezpieczną wyprawę. Jednak w całej armii nie było wojownika, który mógłby się z nim równać pod względem siły i odwagi, w związku z czym w końcu, nie mając wyboru, cesarz z niechęcią przystał na propozycję syna. Gdy nadszedł dzień rozstania, podarował mu włócznię zwaną Hihiragi-no Yahirohoko, czyli „Włócznię z drzewa ostrokrzewu na osiem sążni długą” (bowiem jej trzon najprawdopodobniej wykonano z tego rodzaju drewna) i rozkazał mu wyruszyć w drogę, by podbić Wschodnich Barbarzyńców – jak wówczas nazywano Ajnów.

Włócznia ta w czasach, gdy żył księżę Yamato, była przez wojowników traktowana jak sztandar czy chorągiew i używana była przez najwyższych dowódców wojskowych w czasie wypraw wojennych.

Księżę przyjął z czcią i należnym szacunkiem ten dar i opuściwszy stolicę, skierował się wraz ze swymi ludźmi na wschód. Po drodze znów odwiedził najważniejszą świątynię w Ise i jak poprzednio, jego ciotka, księżniczka Yamato, najwyższa kapłanka w Ise, wyszła mu na powitanie. To właśnie ona podarowała mu szatę, która tak mu się przysłużyła w czasie wyprawy przeciwko banitom z południa kraju.

Księżę opowiedział ciotce swoje dotychczasowe przygody i z wdzięcznością wspominał, jak wielką rolę odegrał w nich jej cenny dar. Kiedy kapłanka

usłyszała, że znów wyrusza, by walczyć z wrogami ojca, skryła się wewnątrz świątyni, by za chwilę wyjść z niej, niosąc miecz i piękną, własnoręcznie uszytą sakiewkę pełną krzemieni, których w owych czasach używano do rozniecania ognia. Następnie wręczyła przedmioty księciu jako prezent pożegnalny.

Miecz był to nie inny, jak tylko Murakumo, jeden z trzech świętych skarbów wchodzących w skład cesarskich regaliów. Księżniczka Yamato nie mogła dać swojemu bratankowi potężniejszego amuletu; składając go w ręce księcia, nakazała mu użyć go w godzinie największej potrzeby.

Książę Yamato pożegnał się z ciotką i stanąwszy ponownie na czele armii, skierował się na wschód. Przemierzył wpierw prowincję Owari, po czym znalazł się w prowincji Suruga, gdzie gubernator powitał go serdecznie i ugościł po królewsku licznymi ucztami. Gdy świętowanie dobiegło końca, urzędnik zwierzył się księciu, że jego prowincja słynie ze znakomitych jeleni i zaproponował polowanie ku uciechu członka cesarskiej rodziny. Yamato, ujęty bezgranicznie hojnością gospodarza – która była całkowicie udawana – z radością na to przystał.



Księżę Yamato Take broni się mieczem przed ogniem. Drzeworyt Ogaty Gekkō (1887 r.)

Na to gubernator Surugi wywiódł księcia na dziką, bezkresną równinę, jak okiem sięgnąć porośniętą wysoką trawą. Nie zdając sobie sprawy, że zmierza wprost w pułapkę zastawioną przez wroga, Yamato popędził konia w pogoni za jeleniem. Nagle zauważył, że na wprost przed nim z zarośli bucha dym i płomień. Widząc niebezpieczeństwo, zawrócił konia, lecz za sobą także miał już ogień; płonęła cała równina, zacieśniając wokół niego krąg pożogi. Na próżno książę rozglądał się za drogą ucieczki; wszędzie wkoło strzelały wysoko płomienie.

„To całe polowanie na jelenie to był podstęp wroga!” – zrozumiał wnet swoje położenie. – „Byłem głupcem, że dałem się zwabić w zasadzkę jaki dziki zwierz!” – książę aż zazgrzytał zębami ze złości na myśl o zwycięskim uśmiechu, jaki musiał się teraz malować na twarzy gubernatora-zdrajcy.

Jednak bez względu na to, w jak poważnej sytuacji się znalazł, Yamato nie stracił głowy. W tej strasznej chwili przypomniał sobie dary od ciotki-kapłanki i jej prorocze słowa – zupełnie jakby przewidziała, co się miało wydarzyć. Z opanowaniem sięgnął po sakiewkę z krzemieniami i zakrzesał ogień wokół siebie. Następnie wyciągnął z pochwy miecz Murakumo i począł pracowicie ciąć nim trawę po obu stronach. Nie miał zamiaru stać bezradnie i czekać na śmierć; jeśli pisane mu było umrzeć, zamierzał zginąć w walce o życie.

Wówczas wydarzyło się coś niezwykłego – wiatr nagle zmienił kierunek i począł wiać w przeciwną stronę, tak że ogień, który dotąd trawił łąkę najbliższej księcia, stopniowo oddalał się teraz od niego, a sam Yamato, nawet nie draśnięty, nie straciwszy ani włosa z głowy, wyszedł cało z pożaru. Wiatr tymczasem zmienił się w wicherę, a ogień, który podsyczał, szybko zajął teren, gdzie zatrzymał się gubernator i spalił zdrając żywcem.

Księżę zasługę za swoje ocalenie przypisywał mieczowi Murakumo i opiece bogini Amaterasu, czczonej w Ise, która otacza opieką żywiołów tych, którzy modlą się do niej w chwili zagrożenia. Raz po raz unosił ostrze ponad głowę na znak najwyższego szacunku i wdzięczności; postanowił też zmienić mu imię na Kusanagi-no Tsurugi, czyli Miecz-Trawosiecz, zaś miejsce, gdzie podpalił trawę wokół siebie, by uciec z płonącej równiny, nazwał Yaizu. Po dziś dzień na szlaku linii kolejowej Tokaidō znajduje się miejscowość Yaizu, która jak mówią, jest tym samym miejscem, w którym rozegrały się te straszne wydarzenia.

Tak oto księżę Yamato Take uszedł z życiem z zasadzki zastawionej na niego przez wroga. Dzięki zaradności i odwadze w końcu pokonał wszystkich wrogów. Zostawiwszy Yaizu za sobą, udał się dalej na wschód, aż na półwysep Izu, skąd zamierzał przepłynąć się morzem do prowincji Kazusa.

W tych wszystkich złych i dobrych chwilach niezmiennie towarzyszyła mu wierna i kochająca żona, księżniczka Ototachibana. Dla niego znosiła trudy długiej podróży i stawiała czoła niebezpieczeństwom wojny, a jej oddanie dla męża było tak wielkie, że wszystkie te niewygody odpłacał jej fakt, iż mogła podać mu miecz, gdy wyruszał na bitwę lub usługiwać mu, gdy wracał zmęczony do obozu.

Księżę jednak był tak pochłonięty wojną i podbojami, że niewiele uwagi poświęcał wiernej Ototachibanie. Na skutek długich i męczących podróży, a także z powodu troski o męża i smutku, jakim napawała ją jego oziębłość,

jej dawna uroda przygasła, a jej skóra, niegdyś biała jak alabaster, całkiem zbrązowiała od słońca. Pewnego dnia książę oznajmił jej, że jej miejsce jest w pałacu, za parawanami, a nie z nim, na wojennej ścieżce. Jednak mimo tej chłodnej odprawy i obojętności ze strony męża, Ototachibana nie była w stanie rozstać się z mężem. Być może byłoby dla niej lepiej, gdyby go wówczas posłuchała, bowiem gdy po drodze do Izu zatrzymali się w prowincji Owari, jej serce zostało złamane.

Oto mieszkała tam, w pałacu ocienionym sosnami i odgrodzonym od świata wielkimi bramami, księżniczka Miyazu, piękna jak kwiat wiśni rumieniący się w świetle wiosennej jutrzeńki. Jej szaty były barwne i gustowne, a skóra biała jak śnieg, jako że nie wiedziała, co to znaczy trud powinności czy codzienny długi marsz w letnim skwarze. Książę wstydził się swojej spalonej słońcem żony i jej znoszonych ubrań, więc kazał jej zostać w obozie, gdy sam udał się z wizytą do księżniczki Miyazu. Spędzał długie dni w ogrodach i pałacowych wnętrzach wraz ze swoją nową przyjaciółką, myśląc tylko o przyjemnościach i rozrywkach i zapominając o nieszczęsnej Ototachibanie, która siedziała samotnie w namiocie i wylewała gorzkie łzy nad swym smutnym losem. Była jednak wierną żoną, a z natury była także dobra i cierpliwa, tak że nigdy z jej ust nie padło ani jedno słowo skargi i nigdy nie pozwoliła, by choć cień niezadowolenia przemknął po jej słodkiej, smutnej twarzy, która rozpromieniała się natychmiast, gdy tylko mogła powitać wracającego męża lub spełnić jakiegokolwiek jego polecenie.

W końcu nadszedł dzień, kiedy Yamato Take musiał przeprowadzić się z Izu do Kazusy. Nakazał żonie wejść w szeregi swojej świty, jakby była zwykłą służącą, po czym udał się wraz ze swoim orszakiem do pałacu księżniczki Miyazu na uroczyste pożegnanie. Ta wyszła mu na spotkanie odziana we wspaniałe szaty i prezentując się piękniej niż zwykle, tak że książę na jej widok zapomniał o żonie, o swojej misji, o wszystkim – i zauroczony chwilą, w zapędzie serca poprzysiągł głośno, że gdy tylko zakończy misję, wróci do Owari i poślubi ją. Ledwie wyrzekł te słowa, jego wzrok napotkał wielkie, migdałowe oczy Ototachibany, wpatrzone w niego z niewypowiedzianym bólem i zaskoczeniem. Zreflektował się wtedy i zrozumiał, że postąpił niegodnie, ale nie powiedział nic, tylko ruszył w drogę, nie dbając o przykrość, którą sprawił żonie.

Gdy dotarli na brzeg morza, wysłał ludzi na poszukiwanie jakiegoś statku,

którym mogliby się przeprawić do Kazusy, lecz nigdzie nie mogli znaleźć niczego, co nadawałoby się do przewiezienia tak wielu ludzi. Na to książę stanął na plaży i butnie zrugął swoich żołnierzy:

– To nie jest morze, to zaledwie cieśnina! Po co wam większa łódź? Ten mały przesmyk można by nawet przeskoczyć!

Wsiadli zatem wszyscy na niewielki stateczek i gdy już byli pośrodku cieśniny, niebo nagle zachmurzyło się i nadciągnął potężny sztorm. Fale piętrzyły się wokół nich, wiatr wył dziko, błyskawice raz po raz rozświetlały niebo przy huku przetaczającego się gromu, a statkiem, którym płynął Yamato Take wraz z żoną i swoimi ludźmi, miotało we wszystkie strony. Ów straszliwy żywioł był dziełem Ryūjina, smoczego króla mórz, który rozgniewał się słysząc pełne pychy słowa księcia i postanowił pokazać mu, jak straszliwa potrafi być morska otchłań, nawet jeśli wygląda na niewielką cieśninę. Nieszczęśnikom na statku zdawało się, że wybiła ich ostatnia godzina i że lada chwila zostaną połknięci przez wzburzoną toń. Opuścili żagle i ostatkiem sił walczyli ze sterem – wszystko na próżno. Sztorm nie przestawał przybierać na sile, aż w końcu wszyscy jeden za drugim się poddali. Wtedy dzielna Ototachibana, zapominając o wszystkich cierpieniach, jakich książę Yamato jej przysporzył, zapominając nawet o tym, że już się nią znudził, pragnąc z całego serca ocalić mężczyznę, którego kochała, postanowiła oddać swoje życie w zamian za jego.

Fale przewalały się przez pokład, a wicher miotał nimi w furii, kiedy księżniczka wstała i zwróciła się do zatrwożonych wojowników:

– Z całą pewnością spotyka nas to, ponieważ książę rozzłościł boga mórz, Ryūjina, drwiąc z jego terytorium. Jeśli tak właśnie jest, ja, Ototachibana, postaram się złagodzić gniew smoczego króla, który pragnie teraz krwi księcia!

Następnie zwróciła się w stronę wzburzonej toni:

– Zajmę miejsce Jego Wysokości księcia Yamato Take. Rzucę się teraz w fale, oddając swoje życie w zamian za jego życie. Wysłuchaj mnie zatem i pozwól mu dotrzeć bezpiecznie do wybrzeży Kazusy.

Z tymi słowami skoczyła w rozszalałą otchłań, a fale szybko wciągnęły ją na dno, tak że w jednej chwili znikła wszystkim z oczu. Naraz też sztorm ucichł, a morze stało się tak spokojne i gładkie, jak maty, na których siedzieli osłupiali świadkowie tego zdarzenia. Bóg morza wysłuchał księżniczki, jego

gniew ustąpił, a wkrótce niebo rozchmurzyło się i rozjaśniło blaskiem letniego słońca.

Yamato Take przybił do brzegów Kazusy bezpiecznie, jak wymodliła to dla niego Ototachibana. W wojnie ze Wschodnimi Barbarzyńcami – czyli Ajnami – odznaczył się niezwykłym męstwem i wkrótce pokonał buntowników. Swoje szczęśliwe ocalenie przypisał w całości lojalności żony, która z takim oddaniem i miłością poświęciła się dla niego w godzinie najcięższej próby. Jego serce zmiękło na wspomnienie o niej i odtąd ani na chwilę nie porzucał myśli o niej. Za późno jednak nauczył się cenić jej szczere serce i bezgraniczną miłość.

W drodze powrotnej do stolicy zatrzymał się na wysoko położonej przełęczy zwanej Usui Toge. Stanął tam i spojrzął na wspaniałą widok wokół. Kraina, którą widział w dole, rozpościerała się przed nim bezkresną połącią gór, równin i lasów, poprzecinaną tu i ówdzie srebrzystymi pasmami rzek. Daleko w oddali rysowało się morze, połyskujące niczym świetlista mgła na horyzoncie. Tam właśnie Ototachibana oddała za niego życie, więc zwrócił się w tym kierunku i wyciągnąwszy dłonie w stronę morza, wspomniął na jej miłość i na swoją niewierność. Wtedy z głębi serca wyrwały mu się słowa żalu i tęsknoty:

– *Azuma, Azuma ya!* – co znaczyło „Moja żono, moja żono!”. Stąd właśnie po dziś dzień w Japonii znajduje się region zwany Azuma, który upamiętnia słowa księcia Yamato Take, podobnie jak uczczono miejsce, w którym oddana Ototachibana rzuciła się w fale. Choć więc za życia księżniczka była bardzo nieszczęśliwa, pamięć o niej jest żywa do dzisiaj, zaś historia jej bezinteresownej ofiary nigdy nie pójdzie w zapomnienie.

Yamato Take wypełnił rozkaz ojca i rozgromił wszystkich buntowników w kraju. Pozbył się także wielu bandytów i innych mącicieli, przez co jego sława rozeszła się wkoło, a w całym kraju nie było nikogo, kto mógłby stanąć z nim w szranki, tak silnym i roztroptym był wojownikiem.

Kiedy już miał wracać do domu tą samą drogą, którą zmierzał na wyprawę, uderzyła go myśl, że znacznie ciekawiej byłoby obrać inną trasę, więc przeprawił się przez prowincję Owari i dotarł do prowincji Omi.

Tam spostrzegł, że miejscowa ludność jest czymś wielce poruszona i zatrwożona. Po drodze co rusz mijał domostwa pogrążone w żałobie, a ze środka dobiegało go żałosne lamentowanie. Począł więc dopytywać, co jest powodem tego stanu i dowiedział się, że oto w górach zamieszkał straszliwy

potwór, który codziennie schodzi w doliny i napada na wioski, pożerając każdego, kto mu wpadnie w łapy. W ten sposób wiele domostw opustoszało, a w prowincji zapanował głód, bo mężczyźni bali się wychodzić w pole, a kobiety nad rzekę, by płukać ryż.

Kiedy Yamato Take to usłyszał, zapłonął gniewem i rzekł:

– Od zachodniego krańca Kiusiu po wschodnie wybrzeża Ezo [2], pokonałem wszystkich wrogów cesarza. Nikt nie śmie teraz łamać prawa ani burzyć się przeciwko władcy tego kraju. To zdumiewające, że tu, tak blisko stolicy, jakiś potwór ośmielił się postawić swoją stopę i siać terror w okolicy. Nie będzie się już długo mógł cieszyć pożeraniem niewinnych ludzi. Zamierzam niezwłocznie go zabić.

To powiedziawszy, ruszył zaraz w stronę góry Ibuki, gdzie jak mu powiedziano, mieszkał potwór. Wspinał się na nią już dłuższy czas, kiedy nagle na zakręcie pojawił się przed nim olbrzymi wąż i zagroził mu drogę.

– To musi być ten potwór – stwierdził książę. – Nie będę tępił na niego miecza, zabiję go gołymi rękoma.

Rzucił się więc na gada, starając się zadusić go w uścisku. Nie minęła chwila, a wąż uległ jego niepospolitej sile i opadł martwy u jego stóp. W tej samej chwili od strony szczytu nadciągnęły ciemne chmury i zerwała się ulewa. Zrobiło się tak ciemno, że książę z ledwością odnajdywał drogę powrotną. Wkrótce jednak burza minęła i niebo z powrotem się rozpozogodziło, a Yamato zdołał szybko zejść w doliny.

Wkrótce jednak poczuł się źle i zaczęły go palić stopy. Zrozumiał, że wąż musiał go otruć swoim jadem. Książę cierpiał tak bardzo, że ledwo mógł się ruszać, a co dopiero chodzić, więc jego ludzie musieli nosić go w góry, do miejsca słynącego z gorących źródeł, które tryskały z głębin, niemal wrząc od ognia wulkanicznego gorejącego poniżej.

Yamato Take codziennie zażywał kąpieli w nich i stopniowo odzyskiwał siły, a ból ustępował, aż w końcu ku swej radości wyzdrowiał całkowicie. Pospieszył zaraz do świątyni w Ise, tej samej, w której modlił się o powodzenie swoich licznych wypraw. Jego ciotka, wielka kapłanka, która błogosławiła mu wtedy, wyszła teraz, by go powitać z powrotem. Opowiedział jej o wszystkich niebezpieczeństwach, którym stawiał czoła i jak w cudowny sposób udało mu się ze wszystkich opresji wyjść cało. Księżniczka Yamato pochwaliła jego odwagę i waleczność i założywszy

najwspanialsze szaty, udała się składać dziękczynienie bogini Amaterasu, bowiem oboje wierzyli, że to właśnie ona czuwała nad swoim potomkiem. I tak oto kończy się historia japońskiego księcia Yamato Take.

[1] Yamato to nie tylko imię księcia, ale także dawna nazwa Japonii (przyp. tłum.).

[2] Obecne Hokkaido (przyp. tłum.).

8. Opowieść o księżniczce Hase

Wieki temu w Narze, starożytnej stolicy Japonii, żył pewien mądry urzędnik dworski imieniem Toyonari Fujiwara. Jego żoną była szlachetnie urodzona, piękna kobieta o dobrym charakterze, zwana księżniczką Murasaki, czyli „Fiołkiem”. Zostali sobie poślubieni w młodym wieku, zgodnie z ówczesnym zwyczajem, za porozumieniem rodzin z obu stron, i tworzyli szczęśliwą parę. Tylko jedna rzecz wielce ich smuciła, a mianowicie mimo iż lata płynęły, wciąż nie mogli doczekać się potomka. Bardzo z tego powodu rozpaczali, bo oboje pragnęli mieć dziecko, które dorastając rozjaśniłoby jesień ich życia, pozwoliłoby przetrwać ich nazwisku i czciłoby przodków, gdy ich samych już by na świecie nie było. Po długich naradach i rozmyśleniu księżę i jego urocza żona postanowili udać się z pielgrzymką do świątyni Hase-no Kannon, czyli Bogini Miłosierdzia z Hase, wierzyli bowiem, zgodnie z piękną tradycją przekazywaną z pokolenia na pokolenie przez wyznawców buddyzmu, że owo miłosierne bóstwo, Kannon, przychodzi do modlących się do niej śmiertelników w postaci, której najbardziej potrzebują. Nie wątpili, że po długich latach zanoszenia do niej próśb o potomka i pielgrzymce pojawi się ona w ich rodzinie pod postacią dziecka – niczego przecież nie potrzebowali bardziej. Wszystko inne, co tylko mogli dostać od życia, już posiadali, lecz nic to dla nich nie znaczyło, póki nie znajdowali zaspokojenia najgłębszego pragnienia swych serc.

Tak oto księżę Toyonari wyruszył wraz z małżonką do świątyni Kannon w Hase i zatrzymał się tam na dłuższy czas. Oboje codziennie zapalali trociczki i modlili się do bogini, by spełniła ich życzenie. W końcu ich prośby zostały wysłuchane i księżniczka Murasaki urodziła córkę. Gdy pokazała ją mężowi, oboje postanowili nazwać dziecko Hase-hime, czyli księżniczką Hase, ponieważ była darem od bogini czczonej w tym miejscu. Wychowywali odtąd córkę z wielką troską i czułością, a ta z dnia na dzień nabierała sił i urody.

Kiedy dziewczynka miała pięć lat, jej matka ciężko zachorowała, tak że żaden lekarz i żadne lekarstwo nie było w stanie jej uratować. Nim wydała ostatnie tchnienie, przywołała do siebie córkę i z tkliwością głaszcząc ją po główce, rzekła:

– Wiesz, Hase-hime, twoja mama już długo nie pożyje. Jednak mimo iż nie będzie mnie na świecie, musisz starać się być dobrą dziewczynką. Bacz, byś nie sprawiała problemów twojej niani ani nikomu w rodzinie. Być może twój ojciec ożeni się ponownie i ktoś zajmie moje miejsce w tym domu, stając się twoją przybraną matką. Jeśli tak się stanie, nie oglądaj się na mnie, tylko traktuj drugą żonę twojego ojca jak swoją prawdziwą matkę, bądź wobec niej posłuszna i lojalna. Gdy dorośniesz, pamiętaj, by słuchać tych, którzy są nad tobą i by być miłą dla tych, których masz pod sobą. Nie zapomnij o tym. Umieram z nadzieją, że wyrośniesz na wzorową młodą damę.

Księżniczka Hase słuchała słów matki z należytych szacunkiem i obiecała postępować tak, jak życzyła sobie tego matka. Istnieje takie powiedzenie, że dusza trzylatka jest taka sama jak dusza stulatka, tak więc dziewczynka wyrosła dokładnie na taką osobę, jaką chciała widzieć ją Murasaki – dobrą i posłuszną małą księżniczkę, choć była jeszcze za mała, by zdawać sobie sprawę z tego, jak wielką stratą była dla niej śmierć matki.

Wkrótce po śmierci księżniczki Murasaki Toyonari ożenił się powtórnie, ze szlachetnie urodzoną damą imieniem Terute. Choć także była arystokratką, jakże różniła się od pierwszej żony księcia! Terute była złą i okrutną kobietą, nie kochała pasierbicy i często źle ją traktowała, powtarzając sobie:

– To nie jest moje dziecko!

Hase-hime znosiła jednak wszystkie nieprzyjemności cierpliwie i usługiwała macosze uprzejmie, wypełniając wszystkie jej polecenia i nigdy nie przysparzając jej żadnych problemów – dokładnie tak, jak obiecała matce. Księżniczka Terute nie miała więc żadnego powodu, by się na nią skarżyć.

Mała księżniczka była bardzo pracowita i pilnie się uczyła, a jej ulubionymi przedmiotami była muzyka i poezja. Codziennie spędzała wiele godzin na ćwiczeniach, a jej ojciec zadbał, by gry na *koto*, kaligrafii i komponowania wierszy uczyli ją najbieglejsi mistrzowie tych sztuk. Gdy miała dwanaście lat, potrafiła już grać tak pięknie, że została wezwana wraz z macochą na dwór, by wystąpiły przed samym cesarzem.

Trwało właśnie Święto Kwitnącej Wiśni i w pałacu odbywały się wielkie uroczystości. Cesarz rzucił się w wir rozrywek z tej okazji i z ochotą przykazał, by księżniczka Hase zagrała przed nim na *koto*, podczas gdy jej macocha będzie jej akompaniować na flecie.

Cesarz zasiadał na podwyższeniu, przed którym zawieszono zasłonę z cieniutkich listewek bambusa, wykończoną fioletowymi frędzlami, tak że Jego Wysokość mógł oglądać wszystkie występy, samemu nie będąc widzianym, bowiem zwyczajnym poddanym nie wolno było oglądać jego świętego oblicza.

Hase-hime, mimo swojego młodego wieku, była bardzo uzdolniona i nieraz zadziwiła swoich nauczycieli doskonałą pamięcią i wirtuozerią. Również w tej podniosłej chwili zagrała bezbłędnie. Jednak księżniczka Terute, która była leniwa i nie dbała o codzienne ćwiczenia, dała tak marny popis, że musiała poprosić jedną z dam dworu, by zajęła jej miejsce. To była okropna kompromitacja i zazdrosna kobieta nie mogła znieść myśli, że zawiodła w dziedzinie, w której jej pasierbica tak dobrze sobie poradziła. Co gorsza, zachwycony cesarz posłał dziewczynce wiele wspaniałych podarków w podziękowaniu za wspaniały występ.

Wkrótce księżniczce Terute przybył jeszcze jeden powód, by nienawidzić pasierbicy. Okazało się bowiem, że jest przy nadziei i wkrótce urodziła księciu Toyonariemu syna. W sercu jednak zamiast cieszyć się z potomka, żywiła zawiść o Hase-hime:

„Gdyby nie Hase, mój syn cieszyłby się wyłączną miłością ojca!”

Ponieważ zaś nigdy nie nauczyła się nad sobą panować, wkrótce owa podła myśl przerodziła się w nieprzemienne pragnienie pozbycia się pasierbicy. Pewnego dnia zamówiła więc potajemnie truciznę i wlała ją do butelki z winem, w innej przygotowując dobry trunek. Był właśnie piąty dzień piątego miesiąca, kiedy przypadało Święto Chłopców, i księżniczka Hase bawiła się właśnie ze swoim małym braciszkiem. Rozłożyli na podłodze figurki przedstawiające dawnych wojowników i bohaterów legend, a dziewczynka opowiadała szkrabowi ich historie. Bawili się doskonale i śmiali radośnie wraz z towarzyszącymi im służącymi, gdy Terute weszła do pokoju, niosąc dwie butelki wina i pyszne ciasteczka.

– Jesteście oboje takimi dobrymi i wesołymi dziećmi – zwróciła się do nich z uśmiechem. – Przyniosłam wam w nagrodę trochę słodkiego wina i łakocie.

To powiedziawszy, napełniła dwie czarki, każdą z innej butelki. Hase-hime, nieświadoma straszliwych zamiarów macochy, wzięła jedną z nich i podała braciszкови. Tak się jednak złożyło, że podła Terute była tak zdenerwowana, że choć starannie oznaczyła butelkę zawierającą truciznę, ostatecznie

pomyliła naczynia i w pośpiechu wlała zatruty napój do czarki własnego dziecka. Nie zdając sobie sprawy z tej strasznej pomyłki, z niepokojem obserwowała małą księżniczkę, lecz ku jej zdumieniu na twarzy dziewczynki nie dostrzegła żadnych zmian. Nagle chłopiec wydał z siebie okrzyk i rzucił się na ziemię, zwijając się z bólu. Matka zaraz rzuciła się w jego stronę, przezornie przewracając przy tym obie butelki z winem, i chwyciła go w ramiona. Służące pobiegły sprowadzić medyka, lecz dla chłopca nie było już ratunku – nim upłynęła godzina, malec zmarł matce na rękach. Lekarze nie byli wówczas zbyt biegli w sztuce medycznej i doszli do wniosku, że chłopcu po prostu zaszkodziło wino i wywołało drgawki.

W ten oto sposób złą kobietę spotkała sroga kara za to, że próbowała zabić swoją pasierbicę. Była jednak osobą o zatwardziałym sercu i zamiast winić samą siebie za to nieszczęście, jeszcze bardziej znienawidziła Hase, niecierpliwie wyczekując okazji, by móc jej zaszkodzić – lecz ta jak na złość przez długi czas się nie nadarzyła.

Kiedy Hase-hime skończyła trzynaście lat, zaczęto wymieniać ją jako zdolną poetkę. Komponowanie wierszy było rozrywką praktykowaną i wysoko cenioną wśród wysoko urodzonych dam japońskich.

W Narze nastąpiła właśnie pora deszczowa i nie było dnia, żeby nie donoszono o powodziach siejących spustoszenie w okolicy. Rzeka Tatsuta, która płynęła w pobliżu pałacu, także wezbrała i tocząc z rykiem spiętrzone fale przez swoje wąskie koryto, spędzała sen z powiek cesarza i powodowała wielki zamęt na dworze. W tej sytuacji wysłano cesarski edykt do wszystkich świątyń buddyjskich, nakazujący mnichom zanosić nieustające modły o ustąpienie żywiołu. Nic jednak nie przynosiło efektu.

Wtedy wśród dworzan rozeszła się pogłoska, że księżniczka Hase, córka księcia Toyonarięgo Fujiwary, ważnego urzędnika pałacowego, mimo młodego wieku jest najbardziej uzdolnioną poetką swoich czasów, co potwierdzają jej nauczyciele. Dawno temu zdarzyło się, że piękna i wykształcona poetka zdołała wzruszyć niebiosa swoją poezją i sprowadziła deszcz na znękaną suszą ziemię – tak właśnie starożytne kroniki pisały o Ono-no Komachi [\[1\]](#). Może więc gdyby Hase-hime napisała wiersz i ofiarowała go w modlitwie, i tym razem zdarzyłby się cud, wody rzeki uspokoiłyby się i dały wytchnienie mieszkańcom pałacu? Wreszcie wieści te doszły uszu cesarza, który zaraz posłał księciu Toyonariemu stosowny nakaz. Księżniczka zdziwiła się bardzo i zatrwożyła, słysząc z ust ojca, czego się od

niej wymaga. Trudną zaiste misję złożono na jej młode barki – uratowania cesarza za sprawą poezji. Wreszcie nadszedł dzień ofiarowania wiersza. Księżniczka spisała swój utwór na arkuszu papieru bogato oprószonego złotem. Udała się w towarzystwie ojca, służących i przedstawicieli dworu cesarskiego nad brzeg rzeki i wzniósłszy serce ku niebiosom, odczytała na głos wiersz, po czym oburącz uniosła wysoko papier, na którym był spisany. Co się dalej wydarzyło, wprowadziło wszystkich obecnych w zdumienie. Wzburzone wody naraz opadły, a rzeka się uspokoiła, jakby wysłuchała prośb księżniczki. Cesarz był ocalony.

Jego Wysokości bardzo się spodobało to, co usłyszał o czynie Hase-hime, więc wezwał ją do siebie i nagroził ją rangą *chūjō*, generała porucznika. Od tej pory zwana była Chūjō-hime, czyli Księżniczką-Generałem i otaczano ją wielkim szacunkiem i miłością.

Była tylko jedna osoba, która nie cieszyła się z powodzenia księżniczki – jej macocha. Wciąż przeżywając śmierć rodzonego syna, którego sama zabiła starając się zamordować pasierbicę, nie mogła znieść tego, że znienawidzona dziewczyna staje się coraz bardziej wpływowa i szanowana, a już zwłaszcza, że faworyzuje ją cesarz, a wraz z nim cały dwór. Zawieść paliła jej serce jak ogień. Raz po raz wymyślała nowe łgarstwa, którymi starała się oczernić Hase przed ojcem – bezskutecznie. Nie chciał słuchać jej opowieści, ucinając je i oznajmiając sucho, że się myli.

Wreszcie Terute, korzystając z chwilowej nieobecności męża, nakazała jednemu ze swych dawnych służących zabrać dziewczynę w góry Hibari, najdzikszy zakątek kraju, a następnie zabić. Wymyśliła przy tym okropną historię o tym, że dziewczyna zhańbiła rodzinę i jedynym sposobem, by uniknąć splamienia dobrego imienia całego rodu było ją zabić.

Katoda, jej wierny sługa, nie miał wyboru, jak tylko wykonać rozkaz. Pod nieobecność pana domu uznał, że najmądrzej zrobi, jeśli uda posłuszeństwo. Umieścił więc Hase-hime w palankinie i osobiście wywiózł ją w najbardziej odludne miejsce, jakie tylko mógł znaleźć w tej dziczy. Nieszczęsna dziewczyna zdawała sobie sprawę z tego, że nie ma sensu protestować czy opierać się niedobrej macosze, zatem dała się pokornie wywieźć z domu w ten osobliwy sposób.

Stary sługa wiedział jednak, że młoda księżniczka jest niewinna i że jej macocha wymyśliła wszystkie te przedstawione mu argumenty, w związku

z czym postanowił ocalić dziewczynę. Nie mógł wrócić do swojej pani nie wypełniwszy zadania, zatem pozostał wraz z nią w głuszy. Z pomocą paru wieśniaków postawił małą chatkę i posłał potajemnie po swoją żonę. Od tego czasu oboje robili co w ich mocy, by otoczyć nieszczęsną księżniczkę jak najlepszą opieką. Ta zaś cały czas pokładała swoje nadzieje w ojcu, wierząc niezachwianie, że gdy tylko wróci do domu i odkryje jej brak, z pewnością będzie jej szukał.

Książę Toyonari wrócił do domu po paru tygodniach. Księżniczka Terute powiedziała mu, że Hase-hime coś przeskrobała i uciekła z domu w obawie przed karą. Książę o mało nie oszalał z rozpaczu. Wszyscy w domostwie powtarzali to samo – że księżniczka nagle zniknęła i nikt nie wiedział gdzie ani dlaczego. Toyonari utrzymywał sprawę w tajemnicy w obawie przed skandalem, szukając dziewczyny w międzyczasie na własną rękę – po księżniczce jednak słuch wszelki zaginął.

Pewnego dnia, starając się rozproszyć ponure myśli, wezwał do siebie swoich ludzi i nakazał im poczynić przygotowania do kilkudniowego polowania w górach. Wkrótce wszyscy byli gotowi i czekali w siodłach na swojego pana. Książę pogalopował w stronę gór Hibari, a za nim jego liczna świta. Niebawem wysforował się daleko naprzód, znikając swym towarzyszom z oczu i dotarł do wąskiej, malowniczej doliny. Rozglądając się wokół z podziwem, dostrzegł nieopodal, na jednym ze wzgórz, maleńką chatkę. Dobiegał z niej piękny, czysty głos recytujący strofy. Zaintrygowany kto mógłby tak pilnie oddawać się nauce w tej dziczy, zostawił swojego rumaka samopas i wspinał się na wzgórze. W miarę, jak zbliżał się do chatki, jego zdumienie rosło, bo widział, że ową tajemniczą osobą jest piękna dziewczyna. Drzwi domu były szeroko rozsunięte, a ona siedziała w środku, podziwiając okoliczny krajobraz.

Przysłuchując się uważnie słowom, które recytowała z wielkim oddaniem, rozpoznał buddyjskie sutry. Jeszcze bardziej zaciekawiony, dotarł do furtki i wszedł do maleńkiego ogrodu otaczającego chatkę. Podniósł wzrok i ujrzał swoją zaginioną córkę, Hase-hime. Była tak zaabsorbowana recytowaniem świętych tekstów, że nie zauważyła ojca do chwili, gdy ją zawołał po imieniu:



Książę Toyonari słyszy głos Hase-hime. Drzeworyt Toyohary Chikanobu (1893 r.)

– Hase-hime! To ty, moja Hase-hime!

Była tak zaskoczona, że w pierwszej chwili nie poznała własnego ojca, a gdy do niej dotarło, że to naprawdę on, na moment zaniemówiła. Gdy się otrząsnęła, zawołała:

– Ojczy! Mój ojczy! To naprawdę ty... Och, ojczy! – to wszystko, co była w stanie z siebie wydusić. Podbiegła do niego i uchwyciwszy się jego rękawa, zanurzyła w nim twarz i wybuchnęła płaczem.

Książę Toyonari gładził jej włosy, wypytując łagodnie o przyczyny zniknięcia, lecz dziewczyna tylko szlochała dalej, tak że zastanawiał się, czy to cudowne odnalezienie jej nie jest tylko pięknym snem.

Na to wyszedł z chaty wierny sługa Katoda i pokłoniwszy się do samej ziemi przed swoim panem, wyłuszczył mu całą historię i okoliczności, które

sprawiły, że oto spotkał swoją córkę w dziczy i na kompletnym odludziu, otoczoną jedynie opieką dwojga staruszków.

Zdumienie i oburzenie księcia nie miało granic. Zaraz przerwał polowanie i pospieszył z powrotem do domu, zabierając ze sobą księżniczkę. Jeden członek jego świty pojechał przodem, by przekazać domownikom radosne wieści. Gdy je Terute posłyszała, w obawie przed spotkaniem z mężem, który teraz już znał jej knowania, zbiegła z domu i skryła się na łonie własnej rodziny, okryta hańbą do końca życia. Nikt też o niej więcej nie słyszał.

Stary Katoda został w nagrodę wyniesiony na najwyższe stanowisko w służbie księcia i dożył w dostatku swych ostatnich dni, przez cały czas służąc wiernie młodej księżniczce, która nigdy nie zapomniała, że zawdzięcza mu życie. Wolna od dokuczania zawistnej macochy, mogła w szczęściu i pokoju trwać blisko ukochanego ojca.

Książę Toyonari nie miał syna, adoptował więc młodzieńca należącego do jednego z arystokratycznych rodów i oddając mu Hase-hime za żonę, uczynił swoim dziedzicem. Księżniczka dożyła sędziwego wieku i mówiło się, że była najmądrzejszą, najpobożniejszą i najpiękniejszą panią, jaka kiedykolwiek rządziła w starym domostwie Toyonariego. Jeszcze nim książę ustąpił ze swych obowiązków na dworze, obdarowała go wnukiem, przyszłym dziedzicem rodu.

Do dzisiaj w jednej ze świątyń w Kioto przechowywany jest pewien haft. To piękny gobelin, na którym jedwabnymi nićmi wyszyto postać Buddy wyłaniającego się z łodygi lotosu. Mówi się, że to dzieło samej dobrej księżniczki Hase.

[1] Tu autorka popełnia pewien anachronizm: Toyonari Fujiwara, ojciec Hase-hime, jest postacią autentyczną i żył w latach 704–765. Hase-hime, jeśli naprawdę istniała, miała się urodzić w roku 753, podczas gdy Ono-no Komachi (również postać autentyczna) urodziła się w 825 roku, więc żadną miarą za życia Hase nie mogła być dla niej wzorem (przyp. tłum.).

9. Tawara Tōda, „Mój pan od worka ryżu”

Dawno, dawno temu żył w Japonii dzielny wojownik, na którego mówiono Tawara Tōda, czyli „Mój pan od worka ryżu”. Naprawdę nazywał się Fujiwara Hidesato, a oto opowieść o tym, jak zasłużył sobie na to osobliwe przyzwisko.

Pewnego razu wybrał się na wyprawę w poszukiwaniu przygód, bowiem miał naturę wojownika i nie znosił bezczynności. Przypasał więc swoje dwa miecze, wziął długi łuk – znacznie przewyższający jego własny wzrost – i przewiesiwszy kołczan przez plecy, wyruszył przed siebie. Wkrótce dotarł do mostu Seta-no Karashi, łączącego pobliskie brzegi jeziora Biwa. Ledwie postawił na nim stopę, zobaczył wielkiego smoka, leżącego w poprzek drogi. Jego cielsko było tak ogromne, że wyglądało jak pień wiekowej sosny i zajmowało całą szerokość mostu. Jeden z jego olbrzymich pazurów spoczywał na balustradzie po jednej stronie mostu, a ogon opierał się o drugą. Potwór zdawał się spać, a gdy oddychał, z jego nozdrzy buchał ogień i dym.

W pierwszej chwili Hidesato wzdrygnął się na widok tej straszliwej poczwary na jego drodze – oznaczało to bowiem, że albo musi zawrócić, albo przejść nad jej cielskiem. Był jednak dzielnym człowiekiem, więc przegnawszy lęk, śmiało ruszył naprzód. Postawił nogę na smoku, potem drugą między zwojami jego długiego tułowia i nie obejrzawszy się nawet ani razu za siebie, parł wytrwale do przodu.

Ledwie uszedł parę kroków, usłyszał, że ktoś go z tyłu woła. Odwrócił się i odkrył z zaskoczeniem, że wielki smok znikł, a w miejscu, gdzie wcześniej leżał, stał dziwny człowiek, kłaniający mu się teraz z najwyższym szacunkiem, aż do ziemi. Miał rude włosy, które spływały mu na ramiona, a na głowie nosił koronę w kształcie smoczego łba. Odziany był w morskiego koloru szatę ozdobioną muszlami. Hidesato domyślił się, że nie jest to zwykły śmiertelnik i zastanawiał się, co może znaczyć jego pojawienie się w tym miejscu. Gdzie zniknął smok w tak krótkim czasie? Czyżby zmienił się w tego człowieka? A jeśli tak – co to miało znaczyć? Zachodząc w głowę nad tymi kwestiami, zbliżył się do mężczyzny i zwrócił do niego:

– Czy to ty mnie wołałeś?

- Tak, to ja – odparł mężczyzna. – Mam do ciebie gorącą prośbę. Czy mógłbyś ją spełnić?
- Jeśli tylko będę w stanie, owszem – odrzekł Hidesato. – Powiedz mi jednak wprawdzie kim jesteś.
- Jestem smoczym królem tego jeziora, a mój pałac znajduje się tuż pod tym mostem.
- Czegoż więc chcesz ode mnie? – spytał Hidesato.
- Chciałbym, żebyś zabił mojego śmiertelnego wroga, wija, który mieszka na tej górze nad moim jeziorem – tu smoczy król wskazał wysoki szczyt wznoszący się nad przeciwległym brzegiem jeziora.



*Fujiwara Hidesato spotyka na moście smoka.
Drzeworyt Utagawy Kuniyoshiego (1843 r.)*

- Mieszkam tu już od wielu, wielu lat i mam sporo dzieci oraz wnucząt. Od

jakiegoś czasu jednak żyjemy w strachu, bowiem ów gigantyczny wij odkrył nasz dom i noc w noc zakrada się do nas, by porwać jednego członka naszej rodziny. Nie jestem w stanie ich przed nim obronić. Jeśli tak będzie dalej, nie tylko stracę wszystkie dzieci, ale i sam padnę ofiarą tego potwora. Jestem więc strasznie nieszczęśliwy i w desperacji postanowiłem poprosić o pomoc jakiegoś człowieka. W tym celu już od wielu dni czekam na moście, ukrywając się pod postacią przerażającego smoka, którego właśnie widziałeś, w nadziei, że zjawi się w końcu jakiś silny, odważny wojownik. Jednak wszyscy, którzy tędy przechodzili, uciekali ile sił w nogach, gdy tylko mnie ujrzeli. Jesteś pierwszym człowiekiem, który zdołał spojrzeć na mnie bez strachu, stąd od razu poznałem, że musisz być niezwykle dzielny. Błagam cię, ulituj się nade mną. Czy pomożesz mi i zabijesz mego wroga, wielkiego wija?

Hidesato zrobiło się żal smoczego króla i z miejsca obiecał zrobić wszystko, co w jego mocy, by mu dopomóc. Dopytał go o dokładne miejsce, gdzie mieszkał wij, aby móc go zaatakować od razu. Smok odpowiedział, że potwór mieszka na górze Mikami, ale każdej nocy o pewnej godzinie schodzi do jego pałacu pod wodą, więc lepiej będzie zacząć się tam na niego. Tak oto Hidesato został zaprowadzony do pałacu smoczego króla, znajdującego się na dnie jeziora Biwa. Kiedy szedł w ślad za swoim gospodarzem, wody rozstępowały się przed nimi, by ich przepuścić, a jego ubrania nawet nie zawilgotniały, kiedy mijał spiętrzone fale. Wojownik nigdy w życiu nie widział nic równie pięknego, jak ten podwodny pałac, wybudowany z białego marmuru. Nieraz słyszał o położonym na dnie oceanu pałacu Króla Mórz, który za służących i poddanych miał ryby słonowodne, ale oto miał przed sobą wspaniałą budowlę w samym sercu jeziora Biwa. Tu smoczemu królowi i jego gościowi usługiwały śliczne złote rybki, czerwone karpie i srebrzyste pstrągi.

Hidesato był zaskoczony bankietem, jaki wyprawiono na jego cześć. Za naczynia służyły tutaj kryształowe liście i kwiaty lotosu, a pałeczki wykonano z najrzadszego gatunku hebanu. Ledwie usiedli, rozsunęły się drzwi i do sali wślizgnęło się dziesięć pięknych złotych rybek-tancerek, a za nimi dziesięć czerwonych karpie-muzyków, niosących *koto* i *shamisen* [1]. Tak oto czas mijał im na rozrywkach, które odegnały przykre myśli o wiju. Nastąpiła północ i smoczy król już miał nalać wojownikowi kolejną czarę sake, kiedy nagle pałacem wstrząsnął odgłos ciężkiego stąpania, jakby

nieopodal stąd maszerowała potężna armia.

Hidesato i jego gospodarz zerwali się na równe nogi i pospieszyli na taras, skąd wojownik ujrzał na przeciwległym wzgórzu dwie wielkie kule ognia zbliżające się ku nim. Smoczy król stanął u jego boku, trzęsąc się ze strachu.

– To wuj! To wuj! Te dwie kule ognia to jego oczy. Nadciąga po kolejną ofiarę! Musisz go teraz zabić!

Hidesato spojrzał w kierunku, gdzie wskazywał jego gospodarz i w słabym świetle gwiazd za kulami ognia dostrzegł długie cielsko ogromnego wija, sunące w pętłach po zboczu góry, a wątły blask światła odbijający się od jego niezliczonych odnóży sprawiał wrażenie, jakby w stronę brzegu jeziora kroczył niosący latarnie pochód. Wojownik nie okazał jednak strachu i próbował uspokoić smoczego króla.

– Nie lękaj się, z pewnością zabiję tego wija. Przynieś mi tylko mój łuk i strzały.

Smok uczynił, o co go proszono. Kiedy Hidesato wziął do ręki broń, zauważył, że w kołczanie ma tylko trzy strzały. Niezrażony uniósł łuk, założył strzałę i wycelowawszy starannie, wystrzelił.

Strzała trafiła wija w sam środek łba, ale zamiast go przebić, odbiła się od niego nie czyniąc mu żadnej krzywdy i spadła na ziemię.



*Fujiwara Hidesato celuje do wija.
Drzeworyt Tsukioki Yoshitoshiego (1890 r.)*

Niezniechęcony tym Hidesato sięgnął po drugą strzałę, wycelował i strzelił. Ponownie, mimo iż trafiła celnie w sam środek głowy, znów tylko się od niej odbiła. Ten wij był nie do pokonania zwykłą bronią! Gdy smok zobaczył, że nawet strzały tego dzielnego wojownika nie są w stanie dosięgnąć wija, upadł na duchu i ponownie zadrżał ze strachu.

Hidesato wiedział, że pozostała mu już tylko jedna strzała i jeśli i ta zawiedzie, nie uda mu się zabić wija. Spojrzał przed siebie, na zbliżającego się wroga. Potwór był tak wielki, że swoim cielskiem siedem razy owijał się wokół góry, a wkrótce miał dotrzeć do jeziora. Żarzące się ślepie zbliżały się coraz bardziej, a błyski, które rzucały jego odnóża, już odbijały się w nieruchomej tafli jeziora.

Nagle wojownik sobie przypomniał, że słyszał kiedyś, iż ludzka ślina jest dla

wijów trująca. To jednak nie był zwyczajny wij, lecz potwór i na samą myśl o nim przechodziły dreszcze. Hidesato postanowił wykorzystać swoją ostatnią szansę. Sięgnął więc po trzecią strzałę i nim założył ją na cięciwę, włożył jej grot do ust, a następnie wypuścił w kierunku wija.

Jak poprzednio, strzała trafiła w sam środek łba potwora, ale zamiast odbić się jak poprzednie, wbiła się głęboko między jego oczy. Bestią rzucił agonalny wstrząs, po czym jej cielsko znieruchomiało, a ognisty blask jej ślepi i odbijające się od setki odnóży światło stopniowo zgasło i wszystko pogrążyło się w mroku. Po niebie przetoczył się grzmot i zajaśniała błyskawica, a wiatr zawył opętańczo, jakby świat miał się właśnie skończyć. Smoczy król, jego dzieci i poddani pochowali się w różnych częściach pałacu, przerażeni nie na żarty, bowiem budynkiem zatrzęsło potężnie aż po fundamenty. Wreszcie straszliwa noc dobiegła końca i nastał piękny, słoneczny poranek. Wij z góry Mikami już nikomu nie zagrażał.

Hidesato zawołał na smoczego króla, by stanął wraz z nim na tarasie, bo potwór zginął i nie było już czego się obawiać. Na to z radością wyszli z ukrycia wszyscy mieszkańcy pałacu, a wojownik wskazał na brzeg jeziora, gdzie unosiły się na powierzchni zwłoki wija, swoją posoką zabarwiając wodę wkoło na czerwono.

Wdzięczność smoka nie miała granic. Cała jego rodzina zebrała się, by pokłonić się Hidesato, nazywając go przy tym swoim wybawcą i najdzielniejszym wojownikiem w całej Japonii.

Wyprawiono kolejną ucztę, jeszcze bardziej wystawną niż poprzednia. Postawiono przed nim rozmaite rodzaje ryb, przyrządzone na wszystkie możliwe sposoby: surowe, duszone, gotowane i pieczone, podane na koralowych tacach i w kryształowych naczyniach, a wino, którego mu nalano, było najlepsze, jakie Hidesato w życiu próbował. Na dodatek słońce świeciło jasno i jezioro błyszczało jak płynny diament, a pałac za dnia był tysiąc razy piękniejszy niż nocą.

Gospodarz starał się namówić wojownika, by został z nim jeszcze przez kilka dni, ale Hidesato odrzekł, że zrobił to, co do niego należało i teraz pora wracać do domu. Smoczy król i jego rodzina ze smutkiem przyjęli tę wiadomość i w zamian poczęli nalegać, by przyjął od nich kilka skromnych – jak to określili – prezentów na znak wdzięczności za uwolnienie ich od potwornego wroga, wija.

Gdy wojownik stał już w progu z zamiarem odejścia, nagle towarzyszący mu

orszak rybek przedzierzgnął się w ludzi ubranych w odświętne szaty, ze smoczymi koronami na głowach, co było znakiem, że są poddanymi smoczego króla. Nieśli ze sobą prezenty: wielki dzwon z brązu, worek ryżu, belę jedwabiu, garnek oraz dzwonek. Hidesato wzbraniał się przyjąć te podarunki, lecz smoczy król nalegał, więc nie pozostało mu nic innego, jak je przyjąć.

Sam król odprowadził wojownika aż do mostu, po czym kłaniając się po wielokroć i życząc mu wszystkiego dobrego, oddalił się, zostawiając Hidesato orszak swoich służących, by pomogli mu zanieść podarki do domu.

Tymczasem domownicy i poddani wojownika bardzo się martwili, kiedy odkryli, że ich pan nie wrócił na noc do domu. Doszli do wniosku, że widocznie gwałtowna burza, która rozszalała się o północy, zmusiła go do szukania schronienia gdzieś indziej. Gdy służący wypatrujący jego powrotu ujrzeli go zbliżającego się do domu, zawołali na resztę i wkrótce wszyscy domownicy wylegli na drogę, by go powitać, zachodząc jednocześnie w głowę, co może oznaczać towarzyszący mu orszak niosący prezenty i sztandary.

Poddani smoczego króla położyli na ziemi dary i w tej samej chwili rozpląnęły się w powietrzu. Hidesato opowiedział wtedy swoim ludziom, co mu się przytrafiło.

Prezenty wdzięcznego smoka okazały się magiczne. Jedyne dzwon był zwyczajny i jako że wojownikowi na nic by się nie zdał, ofiarował go pobliskiej świątyni, gdzie zawieszono go, by wybijał godzinę dla całej okolicy.

Worek, choć nabierano z niego codziennie ryżu na posiłki dla Hideasto i całej jego rodziny, nigdy się nie opróżniał. Podobnie było z belą jedwabiu, z której można było odcinać bez końca materiał. Nie skończyła się nawet wtedy, gdy wykrojono z niej wielkie płachty na nowe szaty dla wojownika na zbliżającą się noworoczną wizytę na dworze cesarskim. Kociołek także posiadał niezwykłą właściwość: bez względu na to, co się do niego włożyło, gotował same pyszne potrawy, czegokolwiek się od niego zażądało – i na dodatek bez użycia ognia.

Wieść o niezwykłym dobytku Hidesato szybko rozniosła się szeroko, a on sam, nie musząc wydawać pieniędzy na jedzenie, jedwab ani opał, szybko stał się bardzo bogaty, tak że wołano na niego nie inaczej, jak tylko „Mój pan

od worka ryżu”.

[1] *Shamisen* – 3-strunowy instrument przypominający gitarę (przyp. tłum.).

10. Demon z bramy Rashōmon

Dawno, dawno temu w Kioto krążyła mrożąca krew w żyłach opowieść o strasliwym demonie nawiedzającym bramę Rashōmon o zmierzchu i łapiącego przechodzących przez nią ludzi. Tych, którzy w jej okolicach zaginęli, nikt już więcej nie widział, więc wieść głośiła, że demon nie tylko ich zabijał, ale także pożerał. Wszyscy w mieście i okolicach lękali się tego miejsca i nikt nie śmiał się do niego zbliżyć po zachodzie słońca.

W owym czasie w stolicy mieszkał pewien generał imieniem Raikō, który wślawił się wieloma walecznymi czynami. Niedawno jego cały kraj o nim mówił po tym, jak wyprawił się na górę Oe, gdzie mieszkała banda demonów *oni* wraz ze swoim hersztem i pożerała uprowadzonych mieszkańców Kioto. Wojownik stawiał im czoła i zabiwszy wszystkie, przyniósł cesarzowi głowę ich przywódcy [\[1\]](#).

Temu dzielnemu generałowi towarzyszyło zawsze grono wiernych samurajów. Szczególnie pięciu się tutaj wyróżniało. Pewnego wieczoru owa piątka siedziała sobie razem przy kolacji, pijąc sake, zjadając się wszelkiego rodzaju rybami – surowymi, duszonymi i pieczonymi – i wznosząc kolejne toasty za czyjeś zdrowie i dokonania. Jeden z wojowników, nazwiskiem Hōjō, rzekł do pozostałych:

– Słyszeliście tę plotkę, że co wieczór po zachodzie słońca w bramie Rashōmon pojawia się demon *oni* i łapie przechodzących przez nią ludzi?

Na to inny wojownik, zwany Watanabe no Tsuna, tak mu odpowiedział:

– Nie opowiadaj bzdur! Przecież nasz generał zabił wszystkie *oni* na górze Oe! To nie może być prawda, bo nawet jeśli jakiś demon uciekłby z tej rzezi, z pewnością nie odważyłby się pojawić w stolicy, wiedząc, że nasz dzielny Raikō zaraz by się z nim rozprawił, jak tylko by się o nim dowiedział!

– A więc nie wierzysz mi? Uważasz, że mówię nieprawdę?

– Nie, nie chciałem zarzucać ci kłamstwa – odparł Watanabe. – Ale to z pewnością tylko plotka rozpowszechniona przez jakąś staruszkę, w którą nie warto wierzyć.

– Zatem najlepszym sposobem na sprawdzenie prawdziwości moich słów jest pójść tam i przekonać się na własne oczy, czy jest tam jakiś demon – rzekł Hōjō.

Na to Watanabe, który nie mógł znieść myśli, że jego towarzysz mógłby uznać go za tchórza, zawołał szybko:

– Oczywiście, zaraz się tam udam i sprawdzę to!

W mig przyszykował się do drogi – przypasał miecz, nałożył zbroję oraz okazały hełm. Gdy już był gotów, zwrócił się do towarzyszy:

– Dajcie mi coś, dzięki czemu udowodnię, że byłem na miejscu.

Na to jeden z wojowników wyciągnął zwój papieru oraz pudełko z tuszem i pędzlami, po czym wszyscy po kolei zapisali na arkuszu swoje imiona.

– Wezmę to i zawieszę na bramie Rashōmon, byście jutro rano mogli pójść tam i przekonać się, że nie stchórzyłem – rzekł Watanabe. – Do tego czasu z pewnością złapię już tego demona albo nawet dwa!

To powiedziawszy, wsiadł na konia i odjechał dziarsko.

Była bardzo ciemna noc. Drogi nie oświetlał ani księżyc, ani gwiazdy. Na domiar złego przyszła burza i deszcz lał jak z cebra, a wiatr wył jak stado górskich wilków. Zwykły człowiek zadrżałby ze strachu i zawrócił, by szukać schronienia pod jakimś dachem, lecz Watanabe był śmiałym wojownikiem, a że tu szło o jego honor i dane słowo, cwałował przez noc, podczas gdy jego towarzysze nadsłuchiwali przez jakiś czas cichnącego w oddali tętentu kopyt, po czym zasunęli okiennice i zebrali się wokół paleniska, zastanawiając się, co teraz się zdarzy – i czy ich dzielny druh napotka owego niesławnego straszliwego *oni*.

Wreszcie Watanabe dotarł do bramy Rashōmon, lecz choć starał się przeniknąć wzorkiem ciemności, nie dostrzegął ani śladu obecności demona.

– Jest tak, jak myślałem – rzekł do siebie Watanabe. – Z całą pewnością nie grasuje tu żaden *oni*. To tylko bajanie jakichś babć. Przytwierdzę zatem ten papier do bramy, by pozostali mogli się jutro przekonać, że tu byłem, po czym wrócę do domu i będę się śmiał z nich do rozpuku.

Przybił arkusz z nazwiskami towarzyszy do bramy, po czym zawrócił konia, by udać się w drogę powrotną. Ledwie jednak to uczynił, zdał sobie sprawę z tego, że nie jest sam, że ktoś czai się za jego plecami. W tej samej chwili jakiś głos zawołał, by się zatrzymał, a czyjeś łapy chwyciły go za hełm.

– Kim jesteś? – spytał Watanabe odważnie, po czym wyciągnął ramię i starał się wymacać ramię intruza, by przekonać się, kto lub co go trzyma. Wreszcie udało mu się dotknąć czegoś, co najwyraźniej było kończyną, lecz było całe pokryte sierścią, a grubością przypominało pień drzewa! Watanabe zrozumiał, że ma do czynienia z *oni*, więc wyciągnął miecz i ciął z całej siły.

Rozległ się ryk bólu i oto demon skoczył wprost naprzeciw wojownika.

Ten otworzył szeroko oczy ze zdumienia, bowiem jego przeciwnik był wyższy niż brama Rashōmon, a jego oczy błyszczały jak lustro w świetle słońca. Paszczę miał szeroko otwartą, a z każdym oddechem dobywały się z niej płomienie.

Oni zamierzał nastraszyć wojownika, ale Watanabe nawet nie drgnął. Zaatakował demona z impetem, po czym na długi czas starli się w równej walce. Wreszcie potwór, zrozumiawszy, że nie zdoła ani przstraszyć, ani pokonać Watanabe, a za to może sam odnieść porażkę, zerwał się do ucieczki. Wojownik jednak, zdeterminowany, by nie dać wrogowi uciec, spiął konia i popędził za demonem.

Tymczasem mimo iż cwałował z całych sił, *oni* był szybszy i ku swemu rozczarowaniu wojownik nie zdołał go dogonić i wkrótce stracił go z oczu.

Zawrócił więc do bramy, u podnóża której stoczył przed chwilą walkę, po czym zsiadł z konia. Jakież było jego zdziwienie, kiedy trafił stopą na coś miękkiego! Nachylił się, by sprawdzić, co to takiego i okazało się, że to było wielkie ramię demona. Najwyraźniej w czasie zacieklej bitwy musiał mu je odrąbać. Ucieszył się ogromnie z takiego trofeum, bowiem to był najlepszy dowód jego nocnej przygody. Podniósł więc je i zabrał do domu jako pamiątkę swojego zwycięstwa.

Po powrocie pokazał swoim towarzyszom ramię *oni*, a ci zgodnie okrzyknęli go bohaterem, po czym wyprawili na jego cześć huczny bankiet. Wkrótce jego wyczyn znalazł się na ustach wszystkich mieszkańców Kioto, a ludzie ściągali ze wszystkich stron, by zobaczyć łapę potwora.

Watanabe począł się martwić, jak zabezpieczyć swoje trofeum, bo zdawał sobie sprawę z tego, że potwór, którego ramię trzymał w domu, wciąż żyje. Był pewien, że prędzej czy później, gdy tylko demon wyliże się z ran, będzie próbował odzyskać swoją własność. Wojownik zamówił więc skrzynię z najtwardszego drewna, dodatkowo wzmocnioną żelazem. Tam umieścił łapę, po czym założył wieko i oznajmił, że nikomu więcej nie będzie jej pokazywać. Skrzynię postawił w swoim pokoju i osobiście jej pilnował, nigdy nie spuszczać z niej wzroku.

Pewnej nocy ktoś zastukał do jego bramy, prosząc o wpuszczenie. Służący poszedł sprawdzić, kto to taki i zobaczył staruszkę, z wyglądu bardzo pocziwą. Na pytanie o to,

kim jest, odparła z uśmiechem, że była niańką pana tego domu, gdy był

jeszcze pacholęciem. Następnie poprosiła, by pozwolono jej zobaczyć się z jej dawnym podopiecznym.

Służący zostawił kobiecinę pod drzwiami i udał się do swojego pana, by powiedzieć mu o tej niespodziewanej wizycie. Watanabe pomyślał, że to dziwne, by jego stara niania nachodziła go w środku nocy, ale na wspomnienie kobiety, która była dla niego jak matka i której nie widział już od dawna, spłynęły na niego ciepłe uczucia i nakazał służącemu wprowadzić ją do środka.

Staruszkę zaprowadzono do pokoju przyjęć, gdzie już czekał na nią Watanabe, a po wymienieniu zwyczajowych pokłonów i powitań, zwróciła się do niego:

– Mój panie, wieści o odwadze, jaką się wykazałeś, staczając pojedynek z demonem przy bramie Rashōmon, rozeszły się tak szeroko, że dotarły nawet do uszu twojej starej niani. Czy to prawda, co mówią, że odrąbałeś nawet łapę temu potworowi? Jeśli tak, to zaiste czyn twój godny jest pochwały!

– Właściwie to jestem rozczarowany – odparł skromnie Watanabe. – Chciałem złapać tego demona, a nie tylko odciąć mu rękę!

Na to staruszka odpowiedziała:

– Dumą mnie napawa, że mój pan jest tak dzielny, iż śmiał demonowi zabrać jego łapę. Nic nie może się równać z twoim męstwem. Nim umrę, chciałabym zobaczyć to trofeum – dodała proszącym tonem.

– Nie, przykro mi – odparł Watanabe. – Nie mogę spełnić twego życzenia.

– Dlaczegoż to? – spytała staruszka.

– Ponieważ *oni* to mściwe potwory i jeśli otworzę tę skrzynię, demon może pojawić się znienacka i ukraść ramię. Właśnie po to kazałem zrobić skrzynię o solidnym wieku, by trzymać w niej bezpiecznie moją zdobycz. Nigdy nie pokazuję jej nikomu, choćby nie wiem co.

– To bardzo słuszne przedsięwzięcie – pochwaliła wojownika kobieta. – Ale ja jestem tylko twoją starą nianią, więc chyba mi nie odmówisz? Dopiero co usłyszałam o twoim wyczynie i nie mogąc wytrzymać do rana, od razu przybyłam do ciebie prosić cię, byś mi ją pokazał.

Watanabe był bardzo zakłopotany prośbą staruszki, ale nie ustępował. Na to kobieta spytała:

– Chyba nie podejrzewasz, że jestem szpiegiem nasłanym przez demona?

– Nie, oczywiście, że nie mam cię za szpiega, przecież jesteś moją dawną

niańką – odpowiedział Watanabe.

– Więc z pewnością nie możesz dłużej odmawiać pokazania mi tej łapy – skwitowała staruszka. – Bo przecież to jest moje największe marzenie – choć raz w życiu zobaczyć rękę *oni*!

Wojownik nie był w stanie dłużej się opierać, więc poddał się i rzekł:

– Zatem pokażę ci łapę tego demona, skoro tak bardzo tego pragniesz. Chodź za mną! – to powiedziawszy, zaprowadził ją do swojego pokoju. Gdy znaleźli się na miejscu, Watanabe zasunął starannie drzwi i podszedłszy do skrzyni, która stała w rogu, uniósł ciężkie wieko. Następnie zaprosił staruszkę, by podeszła bliżej i zajrzała do środka, nigdy bowiem nie wyciągał swojego trofeum ze skrzyni.

– Jaka ona jest? Mogę jej się przyjrzeć? – spytała niania z radosnym wyrazem twarzy. Przysuwała się coraz bliżej i bliżej, jakby z obawą, aż stanęła wprost nad skrzynią. Wtedy nagle capnęła łapę i zawołała potężnym głosem, od którego zadrżał cały pokój:

– Nareszcie! Odzyskałam swoją rękę!! – i w tej samej chwili zmieniła się w ogromnego, przerażającego demona spod bramy Rashōmon.



*Demon pod postacią staruszki ucieka ze swoją łapą.
Drzeworyt Tsukioki Yoshitoshiego (1889 r.)*

Watanabe odskoczył z wrażenia. Zaskoczony, zamarł na chwilę, lecz poznając dawnego przeciwnika, zaraz chciał dokończyć przerwany pojedynek. Chwył miecz, błyskawicznie wyciągnął go z pochwy i rzucił się na *oni* z zamiarem ukatrupienia go.

Wojownik był tak szybki, że potwór zdawał się nie mieć szans ucieczki. Skoczył jednak w górę, ku powale, i przebiwszy się przez dach, znikł wśród chmur i mgieł.

W ten oto sposób demon uszedł ze swoją łapą. Watanabe zgrzytał zębami ze złości, ale nic już nie mógł zrobić. Czekał cierpliwie na kolejną okazję, by rozprawić się z *oni* – ten jednak tak bardzo przestraszył się siły i odwagi wojownika, że już nigdy nie powrócił do Kioto. Dzięki temu mieszkańcy

stolicy znów mogli bez obaw wychodzić nocą z domów, a dzielne czyny Watanabe nigdy nie odeszły w zapomnienie.

[1] Legenda opisana jest w tomie Yei Ozaki pt. *Wojownicy dawnej Japonii i inne opowiadania*, Wydawnictwo Kirin, Bydgoszcz 2013.

11. Demon z Adachigahary

Dawno, dawno temu w japońskiej prowincji Mutsu znajdowała się wielka równina zwana Adachigahara. Miejsce to, jak wieść głosi, było nawiedzane przez demona żywiącego się ludzkim mięsem, a przyjmującego postać staruszki. Od czasu do czasu w okolicach tych znikali ludzie i słuch po nich wszelki ginął, a wieczorami starsze kobiety, zebrane wokół palenisk, podobnie jak młode dziewczyny, rano płuczące w studni ryż na posiłki dla całej rodziny, szeptem powtarzały sobie straszne pogłoski o tym, jak to zaginionych demon wabił do swojej chatki i pożerał – nie jadał bowiem nic innego poza ludzkim mięsem. Nikt nigdy nie ważył się zbliżyć do nawiedzonego miejsca po zachodzie słońca, a kto mógł, unikał go także za dnia, podróżnych zaś ostrzegano, by je omijali z daleka.

Pewnego dnia, gdy słońce właśnie zachodziło, na równinę dotarł pewien mnich. Był zapóźnionym podróżnym, a jego szaty wskazywały, że był buddyjskim pątnikiem, wędrującym od świątyni do świątyni, by wymodlić jakieś szczególne błogosławieństwo lub przebaczenie win. Najwyraźniej zgubił się, a ponieważ było już późno, nie spotkał też na swojej drodze nikogo, kto mógłby wskazać mu drogę lub ostrzec go przed niebezpieczeństwem.

Szedł cały dzień, więc teraz był już zmęczony i głodny, a że była późna jesień i wieczorami panował przenikliwy chłód, z niecierpliwością wypatrywał jakiegoś miejsca, gdzie mógłby się zatrzymać na nocleg. Wyglądało jednak na to, że zabłądził pośrodku wielkiej równiny i na próżno wypatrywał jakichkolwiek śladów ludzkich siedzib.

Wreszcie, po kilku godzinach błąkania się, w oddali ujrzał kępę drzew, a między nimi – migoczące, wątle światło. Na ten widok wykrzyknął z radością:

– Och, z pewnością znajdę tam jakąś chatę, gdzie mógłbym przenocować!

Nie spuszczać wzroku ze światła, zmusił zmęczone, obolałe stopy do ostatniego wysiłku i resztą sił powłókł się w jego stronę. Wkrótce jego oczom ukazała się mała, nędznie wyglądająca chatka. Kiedy podszedł bliżej, zauważył, że jest bliska ruiny, bambusowe ogrodzenie jest uszkodzone, a przez szpary przedzierają chwasty i trawa. Papierowe ścianki, które

w Japonii służą jako drzwi i okna, miały mnóstwo dziur, a słupy podtrzymujące słomiany dach były pokrzywione ze starości, tak że dziw brał, iż chatka jeszcze stała. Drzwi były otwarte, a w blasku starej lampy siedziała stara kobieta i skrzętnie przędła.

Mnich zawołał do niej zza bambusowego ogrodzenia:

– Dobry wieczór, *obaa-san* [1]! Jestem wędrowcem, wybacz mi, ale zgubiłem się i nie wiem co robić, bo nigdzie nie mogę znaleźć miejsca na nocleg. Błagam cię, bądź tak dobra i pozwól mi spędzić noc pod twoim dachem.

Na dźwięk jego głosu staruszka przerwała pracę, wstała i zbliżyła się do gościa.

– Współczuję ci. To rzeczywiście trudna sytuacja, zgubić drogę na takim odludziu w środku nocy. Niestety, nie mogę cię przenocować, bo w mojej nędznej chatce nie mam łóżka, którego mogłabym ci użyczyć ani nic innego, co mogłabym zaproponować gościowi.

– Och, to nie ma znaczenia! – odparł mnich. – Potrzebuję jedynie kawałka dachu nad głową i jeśli będziesz tak dobra i pozwolisz mi położyć się na podłodze w kuchni, będę ci dozgonnie wdzięczny. Jestem zbyt zmęczony, by móc iść dalej, więc mam nadzieję, że mi nie odmówisz, bo w przeciwnym razie zmuszony będę spać na zimnie, w szczerym polu.

W ten sposób przekonał staruszkę, by pozwoliła mu przenocować. Choć początkowo się wzbraniała, w końcu rzekła:

– Dobrze więc, możesz zostać. Nie mogę cię odpowiednio ugościć, ale wejdź, a ja rozpalę ogień, bo noc jest bardzo zimna.

Pątnik z radością przyjął zaproszenie, zdjął sandały i wszedł do chatki. Staruszka w tym czasie przyniosła szczapy na opał i rozpałała ogień, po czym gestem zachęciła gościa, by siadł bliżej i się ogrzał.

– Musisz być głodny po długiej podróży – odezwała się. – Pozwól, że przyrządzę dla ciebie kolację.

To powiedziawszy, udała się do kuchni, by ugotować nieco ryżu.

Kiedy mnich skończył jeść, staruszka usiadła naprzeciwko przy ognisku i rozmawiali jeszcze długo. Mnich uznał, że miał wielkie szczęście, iż trafił na taką miłą, gościnną kobietę. Wreszcie, gdy ostatnia szczapa się dopaliła i ogień zgasł, stopniowo znów ogarnął go chłód, tak samo jak wtedy, gdy dopiero co przybył do chatki.

– Widzę, że ci zimno – rzekła staruszka. – Pójdę więc i nazbieram chrustu, bo

właśnie się skończył. Zostań tutaj i przypilnuj obejścia, kiedy mnie nie będzie.

– Nie, nie ma mowy! – odparł mnich. – Ja pójdę. Jesteś starszą osobą, nie mogę ci pozwolić wychodzić na ziąb i błakać się w ciemnościach, by nabierać dla mnie opału.

Staruszka tylko potrząsnęła głową i powiedziała:

– Zaczekaj tu spokojnie, bo jesteś moim gościem – po czym wyszła, lecz po chwili wróciła i dodała:

– Siedź tutaj i się nie ruszaj. Cokolwiek by się nie działo, nie zbliżaj się do pokoju w głębi chaty ani nie zaglądać do niego. Ostrzegam cię!

– Skoro mówisz, że mam się do niego nie zbliżać, to oczywiście tego nie zrobię – zapewnił mnich, nieco zaskoczony tym żądaniem. Na to uspokojona staruszka znów wyszła, a mężczyzna został sam.

Ogień już dawno zgasł, więc jedynym źródłem światła w chatce była ledwie tląca się lampa. Wtedy dopiero mnich zdał sobie sprawę z tego, że chyba znalazł się w dziwnym miejscu, a przestroga staruszki, by nie zaglądać do pokoju w głębi tylko wzmogła jego ciekawość – i lęk zarazem. Cóż takiego mogło się w nim znajdować, że nie chciała, by to zobaczył? Przez jakiś czas, mając w pamięci obietnicę, jaką złożył staruszce, siedział bez ruchu, ale w końcu nie był w stanie oprzeć się pokusie, by zajrzeć do zakazanego pomieszczenia.

Wstał i zaczął powoli skradać się w stronę tajemniczego pokoju. Przyszło mu jednak do głowy, że staruszka się bardzo na niego rozgniewa, jeśli jej nie posłucha, więc wrócił na swoje miejsce przy palenisku.

Minuta mijała za minutą, a staruszka nie wracała. Mnicha stopniowo ogarniał strach i zastanawiał się, jaki potworny sekret może skrywać pokój za jego plecami. Musiał się tego dowiedzieć.

– Nie będzie wiedziała, że zajrzałem, chyba że sam jej powiem. Rzucę tylko okiem nim wróci – rzekł do siebie.

Z tymi słowami wstał i dyskretnie podkradł się do zakazanego miejsca. Trzęsącymi się dłońmi odepchnął na bok przesuwane drzwi i zajrzał do środka. To, co tam ujrzął, zmroziło mu krew w żyłach. Pokój pełen był ludzkich kości, a ściany i podłoga zbryzgane były krwią. W jednym kącie aż do sufitu rósł stos czaszek, w drugim – kości ramion, w kolejnym – nóg. Od przyprawiającego o mdłości odoru można było zemdleć. Mnich rzucił się w tył z przerażeniem i przez chwilę leżał, zmartwiały z grozy. Dygotał na

całym ciele, a zęby szczękały mu głośno. Ledwie był w stanie odpełznąć od tego koszmarnego miejsca.

– To straszne! – zawołał. – W jakież okropne miejsce trafiłem w czasie mej pielgrzymki! Pomóż mi, Buddo, albo już po mnie. Czy to możliwe, że ta miła staruszka jest w rzeczywistości *onibabą*, demonem żywiącym się ludzkim mięsem?! Kiedy wróci, ukaze się w swej prawdziwej postaci i zeżre mnie na jeden kęs!

Na tę myśl wróciły mu siły i capnąwszy za swój kapelusz i kij pielgrzyma, wypadł z domu tak szybko, jak tylko mógł. Biegł po omacku, byle jak najdalej od siedliska demona. Nie uszedł daleko, gdy posłyszał za sobą kroki i głos:

– Stój! Stój!

Biegł dalej, podwajając prędkość i udając, że nie słyszy. Tymczasem odgłos stąpania za jego plecami stawał się bliższy i bliższy, aż w końcu rozpoznał głos staruszki, który brzmiał coraz donośniej w miarę, jak go doganiała.

– Stój! Stój, ty przebrzydły człowiecze! Po coś zaglądał do zakazanej izby?!

Mnich zapomniał już, jak bardzo był zmęczony. Biegł najszybciej jak potrafił; szybciej niż kiedykolwiek dotąd. Strach dodał mu sił, bo wiedział, że jeśli *onibaba* go dogoni, stanie się jej kolejną ofiarą. Żarliwie powtarzał na głos modlitwę:

– *Namu Amida Butsu! Namu Amida Butsu* [2]!

Tymczasem starucha za nim zmieniała się w demona, którym była w istocie: jej długie włosy powiewały na wietrze, a twarz wykrzywiał potworny grymas. W łapie trzymała wielki, zakrwawiony nóż i wciąż skrzeczała:

– Stój, stój!

Wreszcie, gdy mnich poczuł, że nie da rady dłużej biec, nastał świt i demon rozpułynał się wraz z mrokiem nocy. Mężczyzna był już bezpieczny. Teraz zrozumiał, że spotkał demona z Adachigahary, o którym słyszał nieraz legendy – lecz w żadną nie wierzył. Uznał, że swe ocalenie musi zawdzięczać opiece Buddy, do którego zanosił modlitwy o pomoc, wyjął więc swój różaniec i skłaniając głowę w kierunku wschodzącego słońca, z całego serca odmówił dziękczynną modlitwę. Następnie udał się dalej z pielgrzymką, wielce szczęśliwy, że udało mu się z życiem ująć z nawiedzanej równiny.

[1] *Obaa-san* – jap. Babciu! (przyp. tłum.).

[2] *Namu Amida Butsu* – dosł. chwała Buddzie Amidzie, buddyjska inkantacja o uniwersalnym zastosowaniu.

12. Jak pewien staruszek pozbył się narośli

Wiele, wiele lat temu żył sobie poczciwy staruszek, który miał na prawym policzku narośl wielkości piłki. Była ona tak duża, że bardzo go szpeciła i przez wiele lat starał się jej za wszelką cenę pozbyć, nie szczędząc czasu ani pieniędzy. Próbował wszystkiego, co tylko przyszło mu do głowy. Radził się licznych lekarzy z bliska i z daleka, zażywał rozmaite lekarstwa, smarował się maściami – bezskutecznie. Narośl tylko rosła i rosła, aż stała się niemal tak wielka, jak jego twarz. Porzucił więc nadzieję, że kiedykolwiek uda mu się jej pozbyć i pogodził się z myślą, że pozostanie na jego twarzy do końca życia.

Pewnego dnia skończyło mu się drewno w kuchni, a że jego żona pilnie potrzebowała opału, wziął topór i udał się do lasu rosnącego na wzgórzu nieopodal jego domu. Był piękny jesienny dzień i staruszek cieszył się świeżym powietrzem, nie spiesząc się zbytnio z powrotem. Popołudnie minęło mu szybko na rąbaniu drewna, aż w końcu zebrał pokaźny stos, w sam raz do zapakowania sobie na plecy i zanieśienia żonie. Kiedy dzień miał się już ku końcowi, ruszył wreszcie w stronę domu.

Nie uszedł daleko prowadzącym w dół wąwozem, kiedy nagle niebo zaciągnęło się chmurami i spadł ulewny deszcz. Rozglądał się za jakimś schronieniem, ale wkoło nie było nawet chatki wypalacza węgla drzewnego. Wreszcie wypatrzył wielką dziurę w wydrążonym pniu drzewa. Znajdowała się ona tuż nad ziemią, więc bez trudu wślizgnął się do środka i rozsiadł się, żywiąc nadzieję, że to tylko przelotne oberwanie chmury i że wkrótce niebo się rozpuści.

Jednak ku jego rozczarowaniu zamiast się przejaśnić, padało wciąż mocniej i mocniej, aż w końcu rozpętała się prawdziwa burza z piorunami. Grzmoty przetaczały się po niebie z takim hukiem, a niebo tak często rozświeślały błyskawice, że staruszek ledwo wierzył, iż jeszcze żyje – był jednak przekonany, że lada chwila wyzionie ducha ze strachu. Wreszcie jednak niebo rozchmurzyło się i całą okolicę rozświectliły promienie zachodzącego słońca. Staruszek podniósł się na duchu patrząc na przepiękny zmierzch i już miał wysunąć się ze swej osobliwej kryjówki, kiedy nagle dobiegł go odgłos kroków. Zrazu pomyślał, że to widocznie ktoś z jego przyjaciół szuka go

i ucieszył się na myśl o jakimś wesołym towarzyszu w drodze powrotnej. Gdy jednak wyjrzał z dziupli, ku swemu zaskoczeniu ujrzał setkę demonów *oni* zmierzających w jego stronę. Im dłużej na nie patrzył, tym większe było jego zdumienie. Niektóre stwory wyglądały jak olbrzymy, inne miały oczy nieproporcjonalnie wielkie w stosunku do reszty ciała albo nedorzecznie długie nosy, a jeszcze inne szczyrzyły paszcze od ucha do ucha, wszystkim zaś z głów wyrastały rogi.

Staruszek był tak zaskoczony tym widokiem, że stracił równowagę i wypadł z dziupli na zewnątrz. Na szczęście żaden demon go nie zauważył, bo szczelina znajdowała się tuż nad ziemią. Wstał więc pospiesznie i wślizgnął się z powrotem do swojej kryjówki.

Kiedy w niej siedział i zastanawiał się, jak ma teraz wrócić do domu, doszły go dźwięki skocznej muzyki; niektóre demony zaczęły też śpiewać.

– Co te stwory mogą robić? – rzekł do siebie staruszek. – Wyjrzę, to na pewno coś wesołego.

Zerknął na zewnątrz i dostrzegł, że tuż pod drzewem, w którym znalazł schronienie, opierając się o nie plecami, rozsiadł się naczelny demon, a pozostałe *oni* siedzą wokół i piją lub tańczą. Na ziemi rozłożono rozmaite jedło i napitki, a demony bawią się hucznie. Ich dziwaczne figle rozbawiły staruszka tak bardzo, że roześmiał się w głos.

– Jakie to zabawne! – rzekł sobie. – Jestem starym człowiekiem, a mimo to nigdy nie widziałem nic równie komicznego.

Był tak zaciekawiony i podekscytowany tym widowiskiem, że zapomniał się i wylazł całkiem ze swojej kryjówki, stając z boku i przyglądając się.

Tymczasem herszt demonów pociągał co rusz z wielkiej czarki sake, obserwując tańczące *oni*. Wreszcie sapnął z dezaprobatą:

– Wasz taniec jest taki nudny! Znużyło mnie oglądanie waszych płaśów. Czy naprawdę nikt z was nie potrafi zatańczyć lepiej?

Staruszek, który od najmłodszych lat uwielbiał taniec i był w tym całkiem niezły, pomyślał, że z pewnością poradziłby sobie lepiej, niż te demony.

„Czy powinienem zatańczyć przed tymi stworami i pokazać im, co potrafią ludzie? To może być niebezpieczne, bo jak im się nie spodoba, mogą mnie zabić!” – pomyślał.

Jego zamiłowanie do tańca było jednak silniejsze niż strach i już po chwili, nie mogąc dłużej wytrzymać, wystąpił naprzód i zaczął tańczyć przed zebranymi potworami. Zdając sobie sprawę z tego, że zapewne jego życie

zależy od tego, czy uda mu się zadowolić ich gust, włożył w swój popis całe serce.

Demony były w pierwszej chwili zaskoczone widokiem człowieka, który bez lęku dołącza do ich harców, ale zaraz zdumienie ustąpiło podziwowi.

– To niebywałe! – zawołał rogaty herszt. – Nigdy w życiu nie widziałem tak zdolnego tancerza! On się rusza wspaniale!

Kiedy staruszek skończył, demon zwrócił się do niego:

– Dziękuję ci za rozrywkę, jakiej nam dostarczyłeś swoim tańcem. Wyświadcz nam teraz przyjemność i napij się z nami wina – to rzekłszy, podał mu największą czarę.

Staruszek podziękował mu skromnie:

– Nie spodziewałem się takiej łaskowości ze strony Waszej Wielmożności. Obawiam się, że tylko zakłóciłem waszą wspaniałą uroczystość moim nieudolnym występem.

– Ależ skąd! – zaproponował demon. – Musisz nas częściej odwiedzać i zabawiać nas swoim tańcem. To sama przyjemność podziwiać twój talent.

Staruszek podziękował mu znów i obiecał, że kiedyś jeszcze zatańczy przed rogatą sforą.

– Przyjdiesz zatem jutro, starcze? – nalegał herszt.

– Naturalnie – zapewnił mężczyzna.

– Musisz zostawić nam coś w zastaw! – rzekł demon.

– Dobrze – zgodził się staruszek.

– Co najlepiej nadawałoby się na zastaw? – zadumał się herszt, rozglądając się wokół. Na to podpełzł do niego jeden z jego poddanych *oni* i szepnął mu na ucho:

– Najlepiej wybrać coś, co jest dla niego najcenniejsze. Zauważyłem, że ma na prawym policzku wielką narośl. Śmiertelnicy uważają takie coś za cenny skarb. Jeśli Wasza Wielmożność zatrzyma jego narośl, z pewnością przyjdzie jutro do nas, byle tylko ją odzyskać.

– Jesteś sprytny! – pochwalił demona herszt, kiwając z aprobatą swoim rogatym łbem. Wyciągnął włochate łapsko zakończone szponiastą dłonią i zabrał staruszkowi z policzka narośl. Ta, choć trudno w to uwierzyć, pod jego dotykiem odpadła ze skóry jak dojrzała śliwka. W następnej chwili cała wesoła gromadka potworów rozplynęła się w powietrzu.

Staruszek był tak oszołomiony tym, co się zdarzyło, że przez jakiś czas nie wiedział, gdzie jest. Kiedy doszło do niego, co mu się przytrafiło i przekonał

się, że naprawdę narośl, która tyle lat go szpeciła, znikła bezboleśnie, nie posiadał się ze szczęścia. Przez chwilę macał jeszcze uważnie policzek, żeby się upewnić, czy nie pozostawiła jakiejś blizny, ale jego skóra była tak samo gładka, jak po drugiej stronie twarzy.

Słońce już dawno zaszło i na niebie świecił srebrzysty sierp księżycyca w nowiu. Mężczyzna zdał sobie sprawę z tego, że jest już bardzo późno, więc pognał co sił w nogach do domu. Przez całą drogę sprawdzał, czy to nie był tylko sen i czy naprawdę narośl znikła z jego policzka. Był tak uszczęśliwiony, że nie był w stanie iść spokojnie – na przemian biegł i tańczył, aż dotarł do domu.

Żona wyczekiwała go z niepokojem, zastanawiając się, co też mogło go zatrzymać na tak długo. Opowiedział jej wszystko, co go spotkało od chwili, gdy wyruszył z domu. Gdy pokazał jej swoją zdrową, wolną od narośli twarz, ucieszyła się tak samo jak on, bo w młodości była bardzo dumna z urody swego męża i przykrością patrzyła, jak rosnące znamię coraz bardziej go szpeci.

Tymczasem najbliższym sąsiadem poczciwej starej pary był pewien przebiegły i chciwy mężczyzna. On także od lat męczył się z podobną naroślą na lewym policzku i podobnie jak staruszek, na próżno szukał sposobu, by się jej pozbyć.

Służący jeszcze tego samego dnia doniósł mu, że jego sąsiad uwolnił się od swojej narośli, więc zaprosił go zaraz do siebie i począł wypytywać o to, jak to się stało. Staruszek powtórzył mu całą historię, opisując także miejsce, w którym znalazł schronienie przed deszczem. Poradził mu też, by również udał się tam następnego dnia o zachodzie słońca.

Zawistny sąsiad nie omieszkał tak uczynić. Ruszył nazajutrz do lasu na polowanie, a gdy nadeszła odpowiednia pora, odszukał drzewo z wielką dziuplą, które opisał staruszek, ukrył się w niej i czekał na zapadnięcie zmroku.

Dokładnie tak, jak poprzednio, gdy tylko zaczęło się ściemniać, pojawiła się horda demonów, by świętować pod drzewem. Po jakimś czasie herszt rozejrzał się wkoło i rzekł:

– Czy to już nie czas, by pojawił się nasz staruszek, jak nam obiecał? Czemu jeszcze go nie ma?

Na to chciwy sąsiad wyskoczył ze swojej kryjówki i uklękawszy przed hersztem *oni*, rzekł:

– Czekalem na te słowa!

– A, to ty! – zawołał demon. – Dziękuję, że przyszedłeś. Zatańcz teraz dla nas!

Mężczyzna stanął na środku i wyciągnąwszy wachlarz, rozpoczął swój pokaz. Nigdy jednak nie uczył się tańca, nie znał więc wszystkich niezbędnych gestów i rozmaitych pozycji. Sądził, że cokolwiek zrobi, demony będą zadowolone, więc podskakiwał tylko to tu, to tam, machał rękami i tupał nogami, starając się naśladować tańce, które wcześniej widywał.

Demony były jednak bardzo rozczarowane jego wystąpieniem i szeptały między sobą:

– Dziś tańczy fatalnie!

Wreszcie herszt *oni* zwrócił się do mężczyzny:

– Twój dzisiejszy pokaz jest znacznie gorszy niż ten wczorajszy. Nie chcemy już cię więcej oglądać. Oddamy ci zatem twój zastaw, a ty zmykaj stąd natychmiast!

To powiedziawszy, wyjął zza pazuchy narośl, którą poprzedniego dnia zabrał staruszkowi, i cisnął nią wprost na prawy policzek człowieka przed sobą. Ta natychmiast przylgnęła do jego skóry tak ściśle, jakby zawsze z niej wyrastała i wszelkie próby oderwania jej stamtąd spełzły na niczym. Przebiegły sąsiad zamiast pozbyć się narośli z lewego policzka, jak planował, ku swej rozpaczycy odkrył, że zyskał nową narośl, po drugiej stronie. Przykładał dłonie to do jednego, to do drugiego policzka, by się upewnić, czy to nie jest tylko jakiś koszmarny sen. Niestety! Teraz miał narośle po obu stronach. Demony tymczasem zniknęły i nie pozostało mu nic innego, jak tylko wrócić do domu. Doprawdy stanowił żaloszny widok, bo teraz jego twarz, zniekształcona w dwóch miejscach, przypominała tykwę!

13. Baśń o człowieku, który nie chciał umrzeć

Dawno, dawno temu żył sobie pewien człowiek imieniem Sentarō. Jego imię oznacza „Bogacz” i choć wcale nie był zamożny, nie można też było powiedzieć, by był biedny. Odziedziczył po ojcu mały majątek i utrzymywał się z niego, używając życia i nawet nie myśląc o tym, by znaleźć sobie jakieś poważne zajęcie – aż do czasu, kiedy skończył trzydzieści dwa lata.

Pewnego dnia, bez szczególnego powodu, zaczął myśleć o rozmaitych chorobach i śmierci. Myśl, że sam mógłby podupaść na zdrowiu lub umrzeć, bardzo go przygnębiła.

– Chciałbym przeżyć co najmniej pięćset lub sześćset lat, i to bez żadnych chorób – rzekł do siebie. – Przeciętne życie człowieka trwa zbyt krótko!

Począł się odtąd zastanawiać, czy gdyby zaczął żyć skromnie i prosto, udałoby mu się wydłużyć sobie życie tak, jak tego pragnął.

Słyszał historie o dawnych cesarzach, którzy żyli nawet po tysiąc lat i o księżniczce Yamato, która podobno dożyła pięćsetki. Jej historia była ostatnim odnotowanym przypadkiem tak długiego życia.

Sentarō słyszał też opowieść o chińskim cesarzu imieniem Shin no Shikō [1]. Był on jednym z najpotężniejszych władców w historii Chin; budował ogromne pałace, z jego rozkazu powstał też Wielki Mur – miał wszystko, czego tylko można by sobie zażyczyć na tym świecie. Jednak mimo wszelkiego rodzaju dobrodziejstw i luksusu, jakim się otaczał, a także przepychu panującego na jego dworze, mądrości swoich doradców i chwały, jakiej przysparzały mu jego rządy, był nieszczęśliwy, bo zdawał sobie sprawę z tego, że pewnego dnia umrze i zostawi to wszystko na ziemskim padole.

Czy kładł się spać wieczorem, czy wstawał rano, czy w czasie codziennych obowiązków – myśl o śmierci go nie opuszczała. Po prostu nie potrafił się od niej uwolnić. Ach, gdyby tylko mógł odnaleźć eliksir życia – zaznałby wreszcie spokoju ducha.

Wreszcie cesarz zwołał zebranie wszystkich swoich dworzan i spytał, czy ktokolwiek z nich byłby w stanie zdobyć dla niego eliksir życia, o którym tak wiele słyszał i czytał.

Na to jeden stary dworzanin imieniem Jofuku [2] rzekł, że daleko za morzem

istnieje kraina zwana Hōraizan [3] i że zamieszkują ją pustelnicy znający sekret wody życia, a ktokolwiek się jej napije, będzie żył wiecznie.

Cesarz rozkazał Jofuku niezwłocznie wyruszyć do tej krainy, odnaleźć mnichów i zdobyć dla niego flaszkę magicznego napoju. Dał mu na ten cel jedną ze swoich najlepszych dzonek, wyposażył ją dla niego i wypełnił najrozmaitszymi skarbami oraz drogocennymi kamieniami, by dworzanin mógł je sprezentować mnichom.

Jofuku popłynął na poszukiwania Hōraizan, ale nigdy nie powrócił. Od tej pory krąży legenda, że to góra Fuji jest tą słynną krainą, o której mówił stary dworzanin, a zarazem domem pustelników strzegących tajemnicy eliksiru życia. Jofuku zaś uważany jest za ich bóstwo opiekuńcze.

Przypomniawszy sobie tę historię, Sentarō postanowił udać się na poszukiwania owych pustelników, by – jeśli to możliwe – stać się jednym z nich i w ten sposób zyskać dostęp do źródła wiecznego życia. Przypomniał sobie też, że kiedy był dzieckiem, nieraz słyszał, iż mnisi ci żyją nie tylko na Fuji, ale także we wszystkich wysokich górach.

Opuścił więc rodzinny dom, powierzając go opiece jednego z krewnych, i ruszył w drogę. Przemierzył wszystkie górskie regiony Japonii, wspinając się na najwyższe szczyty jeden po drugim – nigdy jednak nie spotkał żadnego pustelnika.

Wreszcie, po wielodniowej tułaczce w nieznanej sobie okolicy, napotkał myśliwego.

– Czy możesz mi powiedzieć, gdzie mieszkają pustelnicy, którzy posiadają eliksir życia? – spytał go Sentarō.

– Nie – odpowiedział mężczyzna. – Nie wiem, gdzie tacy mnisi mieszkają, ale wiem, że w tej okolicy mieszka znany rozbójnik. Mówi się, że jego horda liczy dwustu chłopów!

Ta dziwna odpowiedź zirytowała Sentarō i stwierdził, że głupotą było tracić czas na poszukiwania mnichów. Postanowił więc natychmiast udać się do świątyni poświęconej Jofuku, którego na południu kraju uznaje się za patrona pustelników.

Dotarł do świątyni i tam modlił się przez siedem dni, zaklinając Jofuku, by wskazał mu drogę do jakiegoś pustelnika, od którego mógłby wreszcie uzyskać to, czego pragnie.

O północy siódmego dnia, gdy Sentarō modlił się na klęcząco w świątyni, nagle wewnętrzne drzwi przybytku rozwarły się szeroko i w świetlistej

chmurze pojawił się przed nim sam Jofuku. Skinął na Sentarō, by podszedł do niego, i tak mu rzekł:

– Twoje życzenie jest bardzo samolubne i niełatwo je spełnić. Sądziś, że mógłbyś zostać pustelnikiem, żeby zyskać eliksir życia. A czy ty wiesz, jak ciężkie jest życie eremity? Wolno mu tylko jeść owoce, jagody i korę sosnową, musi się odciąć od całego świata, by jego serce stało się czyste jak złoto i wolne od jakichkolwiek ziemskich żądz. Gdy przestrzega tych surowych reguł, z czasem przestaje odczuwać głód, chłód czy skwar, a jego ciało staje się tak lekkie, że mógłby ujeżdżać żurawia lub karpia i może chodzić po wodzie nie mocząc nawet stóp. Ty zaś, Sentarō, cenisz sobie wygodne życie. Nie jesteś nawet zwyczajnym, prostym człowiekiem, bo jesteś przy tym nadzwyczaj leniwy i bardziej czuły na ziąb czy skwar niż inni. Nie dałbyś rady chodzić boso albo nosić zimą tylko cienkiej szaty. Sądziś, że starczyłoby ci cierpliwości i wytrzymałości, by pędzić życie pustelnika? W odpowiedzi na twoją prośbę pomogę ci jednak w inny sposób. Wyślę cię do Krainy Wiecznego Życia, gdzie śmierć nie ma wstępu, gdzie ludzie żyją nieskończenie długo!

To powiedziawszy, Jofuku wsunął w dłoń Sentarō małego papierowego żurawia, przykazując mu, by usiadł na jego grzbiecie i w ten sposób dostał się do rzeczonyj krainy.

Sentarō posłuchał go z lekką rezerwą. Żuraw jednak w oka mgnieniu urósł do takich rozmiarów, że z łatwością można było go dosiąść. Rozłożył skrzydła, wzbił się w powietrze i poleciał ponad górami, w stronę morza.

Początkowo Sentarō był przerażony, ale z wolna przyzwyczaił się do uczucia swobodnego latania w powietrzu. Zmierzali wciąż dalej i dalej, tysiące kilometrów od lądu. Ptak ani razu nie przystanął, by odpocząć lub się pożywić – będąc papierową figurką, zapewne nie potrzebował pokarmu. Co dziwne jednak, Sentarō także nie czuł głodu.

Po kilku dniach dotarli do jakiejś wyspy. Żuraw frunął jeszcze jakiś czas w głąb lądu, aż wreszcie zniżył i lot przysiadł na ziemi. Ledwie Sentarō dotknął stopą piasku, ptak samoistnie złożył się, skurczył i wleciał mu do kieszeni.

Mężczyzna począł rozglądać się wkoło, ciekaw, jak też może wyglądać Kraina Wiecznego Życia. Wpierw obszedł dookoła całą wyspę, a potem zwiedził miasto. Wszystko było tu rzecz jasna dziwne i bardzo różne od tego, co znał w swoim kraju. Ziemia zdawała się żyzna, a ludzie bogaci,

postanowił więc zatrzymać się tu i poszukać zakwaterowania w jakiejś gospodzie.

Właściciel przybytku był miłym człowiekiem i gdy Sentarō powiedział mu, że jest przybyszem z obcych stron i zamierza tu zamieszkać, obiecał pomóc mu załatwić u burmistrza wszystko, co było w związku z tym konieczne. Znalazł nawet dla swojego gościa dom i w ten sposób Sentarō spełnił swoje marzenie, stając się mieszkańcem Krainy Wiecznego Życia.

Tubylcy nie pamiętali, by kiedykolwiek ktoś w ich kraju umarł i nie wiedzieli, co to są choroby. Dawno, dawno temu przybyli tu mnisi z Indii i Chin i opowiadali im o pięknej krainie zwanej Rajem, gdzie serca ludzi wypełnia szczęście, błogość i zaspokojenie, lecz jedyna droga do niej prowadzi przez śmierć. Opowieść ta była w Krainie Wiecznego Życia przekazywana od wieków z pokolenia na pokolenie. Nikt jednak nie wiedział dokładnie, czym jest śmierć – poza tym, że wiodła ona do Raju.

W związku z tym, przeciwnie do Sentarō i innych zwykłych ludzi, zamiast bać się śmierci, wszyscy: i bogaci, i biedni, tęsknili za nią jak za czymś dobrym i pożądanym. Byli bardzo zmęczeni swoimi długim, długim życiem i pragnęli udać się do szczęśliwej krainy, o której wieki temu opowiadali im mnisi.

Im dłużej Sentarō rozmawiał z mieszkańcami wyspy, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że z jego punktu widzenia wszystko jest tu wywrócone do góry nogami. On chciał uniknąć śmierci i przybył do Krainy Wiecznego Życia z wielką ulgą i radością tylko po to, by odkryć, że jej mieszkańcy, którzy nie znają śmierci, traktują ją jak błogosławieństwo.

To, co do tej pory uważał za truciznę, ludzie tutaj jedli jak łakocie, wyrzucając wszystko, co on sam uznawał za jedzenie. Ilekroć do krainy przybywali zagraniczni kupcy, bogaci ludzie spieszyli do nich, by kupić od nich trucizny. Połykali je na miejscu, mając nadzieję, że wreszcie uda im się umrzeć i pójść do Raju.

To jednak, co wszędzie indziej było śmiertelną toksyną, w tej krainie zupełnie nie działało i ludzie, którzy go zażywali, szybko odkrywali, że ich zdrowie poprawiło się, zamiast się pogorszyć.

Na próżno próbowali sobie wyobrazić, jak może wyglądać śmierć. Bogacze oddaliby wszystkie pieniądze i wszystkie skarby, byle tylko skrócić swoje życie choćby o dwieście czy trzysta lat. Wieczne życie zdawało się im męczące i bardzo przygnębiające.

Najchętniej kupowanym w sklepach zielarskich towarem był środek, którego zażywanie przez sto lat miało sprawić, iż włosy lekko posiwieją, a żołądek zazna pewnego dyskomfortu.

Sentarō z zaskoczeniem odkrył, że w restauracjach w ramach frykasów podawano trującą rybę *fugu*, a domokrażcy sprzedawali sosy z kantarydy [4]. Nikt jednak nie zachorował po zjedzeniu żadnej z tych okropności, zaś jedyną dolegliwością, na jaką czasem zapadali tubylcy, było przeziębienie.

Z kolei Sentarō był zachwycony tą krainą. Uważał, że nigdy nie znudzi się długim życiem i szukanie śmierci uznawał za bluźnierstwo. Był zatem jedynym szczęśliwym człowiekiem na wyspie, a jego wyłącznym życzeniem było mieszkać tu zawsze i cieszyć się życiem. Założył własny interes i nie przeszło mu nawet przez myśl, by zatęsknić za domem.

Jednak w miarę, jak lata mijały, szczęście przestało mu dopisywać. Poniósł spore straty w interesach, wszczął też konflikty z paroma sąsiadami, a wszystko to stopniowo odebrało mu radość życia.

Czas mknął dla niego jak strzała, bo od rana do nocy pracował w pocie czoła. W ten monotonny sposób minęło mu trzysta lat, aż w końcu począł czuć się zmęczony życiem w tym kraju i zaczął z nostalgią wspominać swoją ojczyznę i rodzinny dom. Ile by czasu nie spędził w Krainie Wiecznego Życia, każdy kolejny dzień był dla niego taki sam jak poprzedni, czy więc nie było czymś niedorzecznym zostawać tu na zawsze?

Sentarō zapragnął wydostać się z Krainy Wiecznego Życia i wspomniał na Jofuku, który pomógł mu wcześniej, gdy życzył sobie uciec od śmierci. Pomodlił się więc znów do niego, prosząc go, by pozwolił mu wrócić do siebie.

Ledwie to zrobił, papierowy żuraw, który przez cały ten czas siedział w jego kieszeni, wyskoczył z niej. Sentarō z radością odkrył, że mimo upływu lat nie był uszkodzony. Tak jak poprzednio, ptak urósł w oczach, aż stał się wystarczająco duży, by można było na niego wsiąść. Mężczyzna zaraz wskoczył na jego grzbiet, a ptak rozpostarł skrzydła i uleciał w niebo, kierując się w stronę Japonii.

Taka jest już niestałość ludzkiej natury, że gdy tylko Sentarō spojrział wstecz, pożałował tego, co zostawił. Na próżno starał się zawrócić ptaka – ten wytrwale frunął dalej i dalej, tysiące kilometrów ponad powierzchnią morza.

Wtedy nadeszła burza i papier, z którego był wykonany magiczny żuraw, zamókł, zgniótł się i wpadł do morza, a Sentarō razem z nim. Przerażony na

myśl, że może utonąć, począł wzywać głośno Jofuku, by go ratował. Rozejrzał się wkoło, ale nigdzie nie było widać żadnego statku ani łodzi. Opił się też słonej wody, co tylko pogorszyło jego stan. Kiedy walczył z całych sił, by utrzymać się na powierzchni, zobaczył nagle sunącego w jego stronę olbrzymiego rekina. Wkrótce zwierz znalazł się tuż obok i rozwarł swoją ogromną paszczę z zamiarem pożarcia go. Sentarō sparaliżował strach i poczuł, że jego koniec jest blisko, zawołał więc z całych sił Jofuku, by przybył mu z pomocą.

W tej samej chwili ocknął się, obudzony własnym krzykiem i odkrył, że zasnął w czasie modlitwy i że wciąż klęczy w świątyni, a wszystkie jego niezwykle i straszliwe przygody były jedynie snem. Cały był zlany zimnym potem ze strachu i wciąż jeszcze oszołomiony niedawnym koszmarem.

Wtedy nagle pojawiła się przed nim jasność, a pośrodku niej zobaczył posłańca, trzymającego w ręce księgę. Sentarō usłyszał też jego głos:

– Posłał mnie do ciebie Jofuku, który w odpowiedzi na twoje modlitwy pozwolił ci zobaczyć we śnie Krainę Wiecznego Życia. Znużyłeś się jednak mieszkaniem w niej i błagałeś, by ci pozwolił wrócić do swojego kraju i tam umrzeć. Jofuku, chcąc cię wypróbować, strącił cię do morza i nasłał na ciebie rekina, by cię pożarł. Twoje pragnienie śmierci okazało się fałszywe, bo kiedy ta była blisko, począłeś w głoś wołać o pomoc. Na próżno także pragniesz zostać pustelnikiem lub odnaleźć eliksir życia. To nie dla takich jak ty; twoje życie nie jest wystarczająco skromne. Najlepiej będzie, jeśli wrócisz do rodzinnego domu i tam zaczniesz wieść pracowite i poczciwe życie. Nie zaniedbuj pamięci przodków, dbaj o przyszłość potomków. To sprawi, że twoje życie będzie dobre i szczęśliwe, lecz porzuć próżne mrzonki o wiecznym życiu, bo nikt nie jest w stanie tego osiągnąć, a jak się przekonałeś, samolubne życzenia nigdy nie przynoszą szczęścia. W tej księdze znajdziesz wiele wskazówek, jak żyć w sposób, o którym mówiłem. Weź je sobie do serca, a one cię poprowadzą.

To powiedziawszy, postać znikła, a Sentarō dobrze sobie zapamiętał to doświadczenie. Z księgą w dłoni wrócił do domu i porzuciwszy czcze zachcianki, starał się odtąd wieść dobre i pożyteczne życie, zgodnie ze wskazówkami zawartymi w księdze.

-
- [1] Chodzi o Qin Shi Huanga, pierwszego cesarza Chin. Żył w latach 259–210 p.n.e. (przyp. tłum.).
- [2] Chiń. Xu Fu (przyp. tłum.).
- [3] Hōraizan to inaczej Hōrai-san, czyli góra Hōrai – ta sama, o której była mowa w baśni o zbieraczu bambusa (przyp. tłum.).
- [4] Chrząszcz wydzielający drażniącą, a w większych ilościach także trującą substancję (przyp. tłum.).

14. Baśń o staruszkach, który ożywił uschnięte drzewa

Dawno, dawno temu była sobie para staruszków, którzy utrzymywali się z uprawy niewielkiego poletka. Ich życie było spokojne i pogodne i tylko jedna rzecz ich smuciła – że nie mieli dzieci. Ich jedynym podopiecznym był pies o imieniu Shiro i to na niego przelali całe swoje uczucia rodzicielskie. Kochali go tak bardzo, że odmawiali sobie najsmaczniejszych kąsków, by dać je pupilowi. Shiro był typowym japońskim psem, podobnym do wilka, a jego imię, oznaczające „biały”, wzięło się od koloru jego sierści.

Ulubioną porą dnia staruszków i ich psiaka był wieczór, kiedy mężczyzna wracał z pracy w polu i zjadłszy skromną kolację składającą się z ryżu i warzyw, zabierał resztki jedzenia na niewielką werandę otaczającą dom, gdzie już czekał na niego Shiro, w nadziei na małe co nieco. Staruszek wołał do niego: „*Chin, chin!*”, co znaczy „Służyć!” – a pies posłusznie siadał i unosił w górę łapki, za co dostawał od swojego pana smakołyki.

Tuż obok staruszków mieszkała inna para, byli to jednak ludzie źli i zachłanni, którzy z całego serca nienawidzili swoich sąsiadów i ich psa. Ilekroć Shiro zdarzyło się zajrzeć do ich kuchni, kopali go lub rzucali w niego czymś, czasem nawet go raniąc.

Pewnego dnia Shiro od dłuższego czasu czekał na polu za domem swojego pana. Staruszek pomyślał, że może to ptaki wydzióbują mu ziarna, więc pospieszył sprawdzić, co się dzieje. Ledwie pies ujrzał swojego pana, podbiegł do niego merdając ogonem i chwyciwszy w zęby skraj jego kimona, pociągnął go pod wielkie drzewo *enoki*. Tam począł zawzięcie kopać, skamląc z radości. Staruszek, nie mogąc pojąć, co to wszystko znaczy, przyglądał mu się ze zdziwieniem. Shiro jednak nie przestawał czekać i ryć ziemię z całych sił.

Wtedy staruszkowi przyszło do głowy, że może coś jest zakopane pod drzewem i pies to wyczuł. Pobiegł więc do domu, przyniósł łopatę i począł także kopać. Jakież było jego zdumienie, gdy po pewnym czasie natrafił na stos starych, cennych monet, a im głębiej kopał, tym więcej ich znajdował. Mężczyzna był tak zaabsorbowany pracą, że nie zauważył skrzywionej miny sąsiada, który w tym czasie podglądał go zza bambusowego płotu.

Wreszcie staruszek wydobył już wszystkie monety, które utworzyły na ziemi świecący kopczyk. Shiro był z siebie bardzo dumny i patrzył na swojego pana z miną, jakby chciał powiedzieć: „Widzisz, choć jestem tylko psem, potrafię odpłacić za dobroć, którą mi okazujesz!”

Staruszek zawołał żonę i razem zanieśli skarb do domu. W ten oto sposób w ciągu jednego dnia z biedaków zmienili się w bogaczy. Ich wdzięczność względem wiernego psa nie miała teraz granic, kochali go i rozpieszczali jeszcze bardziej niż dotąd – o ile to w ogóle było możliwe.

Tymczasem niegodziwy sąsiad, zwabiony szczekaniem Shiro, stał się cichym i zawistnym świadkiem tego, jak staruszek znalazł skarb. Zapragnął także zdobyć bogactwa, więc kilka dni później zjawił się u niego i wśród licznych ceregieli poprosił o pożyczenie mu Shiro na jakiś czas.

Staruszek pomyślał, że to dziwne życzenie, bo wiedział aż nadto dobrze, iż jego sąsiad nie tylko nie lubił jego pupila, ale wręcz nigdy nie przepuścił okazji, by go uderzyć lub w inny sposób dręczyć, ilekroć tylko ten znalazł się w jego pobliżu. Mężczyzna był jednak zbyt poczciwy i dobroduszny, by odmówić prośbie sąsiada, zgodził się więc użyczyć mu psa – pod warunkiem, że ten będzie o niego dbał.

Nikczemny człowiek wrócił do domu ze złowieszczym uśmiechem na twarzy i opowiedział żonie, jak udało mu się zrealizować swoje chytre zamiary. Następnie chwycił za łopatę i popędził na własne pole, zmuszając opierającego się Shiro, by poszedł z nim. Gdy tylko dotarli do stóp drzewa *enoki*, zwrócił się do psa z groźbą w głosie:

– Skoro pod drzewem twojego pana były złote monety, pod moim także muszą być. Znajdź je dla mnie! Gdzie one są? Gdzie? Gdzie?!

I capnąwszy psa za kark, przycisnął jego głowę do ziemi, tak że Shiro zaczął skrobać łapami, żeby się uwolnić. Gdy mężczyzna to zobaczył, zaraz uznał, że to właśnie w tym miejscu muszą być zakopane złote monety i że pies wyczuł ich zapach, tak jak poprzednio. Odepchnął więc Shiro i począł kopać zawzięcie – na próżno. W miarę jednak jak kopał, rozchodził się coraz wyraźniejszy smród, aż w końcu oczom mężczyzny ukazała się góra łajna.

Można sobie wyobrazić obrzydzenie niegodziwego sąsiada, które szybko ustąpiło złości. Widział, jak staruszkowi się poszczęściło i miał nadzieję, że i jemu dopisze fortuna, dlatego pożyczył od niego psa. Teraz jednak, gdy już myślał, że znalazł to, na co liczył, okazało się, że nagrodą za jego trud

kopania przez cały poranek była góra nieczystości. Zamiast jednak winić siebie i swoją chciwość za to niepowodzenie, zrzucił wszystko na biednego psa. Chwycił znów łopatę i z całej siły uderzył nią Shiro, zabijając go na miejscu. Wrzucił jego ciało do dziury, którą wykopał w nadziei znalezienia skarbu, po czym zasypał ją ziemią i wrócił do domu, nie mówiąc nikomu, nawet swojej żonie, co zrobił.

Gdy przez kilka dni Shiro nie wracał, jego pan zaczął się martwić. Mijały kolejne dni i poczciwy staruszek czekał na niego na próżno. Poszedł wreszcie do sąsiada, prosząc go o oddanie psa. Ten bez wahania i cienia skruchy odparł, że zabił psa za jego nieodpowiednie zachowanie. Słyszając te straszne wieści, staruszek zapłakał gorzko. Był zszokowany tą okropną wiadomością, ale jednocześnie był zbyt dobrotliwy i łagodny, by czynić wyrzuty sąsiadowi. Dowiedziawszy się, że Shiro jest pochowany pod drzewem *enoki* rosnącym na jego polu, poprosił tylko, by mógł zabrać je do siebie na pamiątkę biednego psa.

Nawet tak chciwy człowiek jak ten nie mógł odmówić owej prostej prośbie, zgodził się więc bez wahania. Staruszek ściął drzewo i zaniósł je do domu, a z jego pnia wyciosał mózdzierz. Jego żona umieściła w nim ryż i zaczęła ucierać go z zamiarem przygotowania dań pogrzebowych ku pamięci wiernego psa.

Wtedy zdarzyła się niezwykła rzecz: ledwie kobieta zabrała się za ucieranie ziarna na ryżowe ciastka ofiarne, ciasto zaczęło stopniowo rosnąć, aż zrobiło się go pięciokrotnie więcej, niż powinno, a ciastka same urabiały się z niego i wypadały z mózdzierza, jakby przygotowywała je czyjaś niewidzialna ręka. Kiedy staruszkowie to zobaczyli, zrozumieli, że to nagroda dla nich od Shiro za ich oddanie. Posmakowali ciastek i odkryli, że są lepsze niż cokolwiek, co w życiu jedli. Od tej pory już nie musieli więcej martwić się o jedzenie, bo mózdzierz nieustannie dostarczał im nowych ciastek.

Chciwy sąsiad, usłyszawszy, że staruszkom znów się poszczęściło, poczuł jeszcze większą zazdrość niż wcześniej. Ponownie odwiedził więc poczciwca i poprosił o pożyczenie na parę dni mózdzierza, mówiąc, że on także oplakuje śmierć Shiro i chciałby dla niego przygotować ciastka wotywno.

Staruszek nie miał wcale zamiaru pożyczać przedmiotu okrutnemu sąsiadowi, ale był zbyt poczciwy, by odmówić. Tak oto zawistnik zabrał do domu mózdzierz, nie mając wcale zamiaru go oddawać.

Minęło kilka dni i mężczyzna na próżno wyczekiwał zwrotu. Udał się wreszcie do sąsiada i poprosił go, by był tak miły i oddał mu móździerz, jeśli już skończył go używać. Zastał go siedzącego przed wielkim ogniem rozpalonym na drewnianych polanach. Na ziemi leżały szczapy, które przypominały kawałki móździerza. Na pytanie staruszka jego sąsiad odpowiedział hardo:

– Przyszedłeś po swój móździerz? Rozbiłem go na kawałki i właśnie palę nim w piecu, bo gdy próbowałem w nim ucierać ryż, dobywał się z niego tylko jakiś okropny smród!

Na to staruszek rzekł:

– Bardzo mi przykro z tego powodu. Szkoda, że nie poprosiłeś mnie o ciastka, skoro ich potrzebowałeś. Dałbym ci tyle, ile tylko byś potrzebował. Proszę, pozwól mi teraz chociaż zabrać popiół pozostały po moim móździerzu, abym mógł go zachować na pamiątkę po Shiro.

Sąsiad zgodził się i staruszek zaniósł do domu kosz pełen popiołu. Niedługo potem przypadkowo rozsypał nieco w pobliżu drzew rosnących w jego ogrodzie, a wówczas zdarzyła się niezwykła rzecz: choć była już późna jesień i wszystkie drzewa zdążyły zgubić liście, ledwie popiół dotknął ich gałęzi, wszystkie wiśnie, śliwy i inne drzewa okryły się kwieciem, tak że w jednej chwili ogród staruszka zmienił się w wiosenną scenerię. Radość mężczyzny nie miała granic i starannie zabezpieczył resztę popiołu.

Wieść o staruszku i jego niezwykłym ogrodzie rozeszła się po całym kraju i nieustannie przybywali do niego z bliska i daleka ludzie, chcąc oglądać ten wspaniały widok.

Pewnego dnia ktoś zapukał do drzwi poczciwej pary. Staruszek wyszedł na ganek i z zaskoczeniem odkrył, że stoi tam samuraj. Nieznajomy wyjaśnił mu, że jest poddanym pewnego *daimyō* i że jedno z jego ulubionych drzew wiśniowych w jego ogrodzie uschło i choć robił co w jego mocy, by je przywrócić do życia, nic nie pomagało. Samuraj bardzo martwił się widząc, jak jego pan posmutniał na myśl, że stracił swoje ukochane drzewo. Wówczas usłyszał o staruszku, który potrafi ożywiać drzewa, a *daimyō* natychmiast wysłał go, by sprowadził mężczyznę do siebie.

– Będę więc zobowiązany, jeśli udasz się teraz ze mną – dodał samuraj.

Poczciwy staruszek był bardzo zaskoczony, ale posłusznie udał się z wojownikiem do pałacu jego pana. *Daimyō*, który wyczekiwał go

niecierpliwie, z miejsca go zapytał:

– Czy to ty jesteś tym staruszką, który potrafi ożywić uschnięte drzewo, i to bez względu na porę roku?

Mężczyzna pokłonił się głęboko i odrzekł:

– Tak, to ja.

Na to *daimyō* rozkazał:

– Musisz zatem sprawić, by drzewa wiśniowe w moim ogrodzie znów zakwitły. Będę cię obserwował!

Udali się do ogrodu, a z nimi wszyscy poddani *daimyō* i damy dworu, niosące miecz swojego pana. Staruszek zatknął sobie kimono za pas, żeby mu nie przeszkadzało, za co przeprosił zebranych, chwycił garnuszek z popiołem, który przyniósł z domu, a następnie wspiął się na uschnięte drzewo. Dotarł do miejsca, gdzie wypuszczało ono dwa wielkie konary, rozsiadł się na nich i począł rozrzucać popiół na lewo i prawo.



*Staruszek ożywia uschnięte wiśnie.
Drzeworyt Ogaty Gekkō (1897 r.)*

Efekt zaskoczył wszystkich – oto uschnięte drzewo w jednej chwili okryło się kwiatami. *Daimyō* był tak uradowany, że zdawał się stracić rozum. Zerwał się na równe nogi, wyciągnął wachlarz i zawołał na staruszkę, by zszedł z drzewa. Osobiście podał mu czarkę wypełnioną najlepszym sake, obsypał go srebrem, złotem i drogocennymi przedmiotami. Przykazał też, by od tej pory tytułowano mężczyznę *Hana-saka-jiji*, czyli „Staruszek, który ożywia uschnięte drzewa”, po czym odesłał go do domu z wszelkimi honorami. Tymczasem zazdrosny sąsiad, gdy tylko usłyszał o szczęściu staruszki, nie mógł spać z zazdrości. Przypomniał sobie, jak się zawiódł na próbie

znalezienia złotych monet, a potem na robieniu magicznych ciastek – uznał jednak, że tym razem, jeśli zrobi to, co staruszek, po prostu musi mu się udać, bo jedyne, co powinien zrobić, to obsypać drzewa popiołem. To wydawało się znacznie prostsze niż poprzednie zadania.

Zebrał więc popiół, który pozostał jeszcze w palenisku po zwęgleniu cudownego móździerza. Następnie udał się w podróż w nadziei, że spotka jakiegoś dostojnika, który zechce go nająć. Po drodze wołał na całe gardło:

– Oto nadchodzi potężny człowiek, który sprawia, że zakwitają drzewa! Oto nadchodzi mężczyzna, który ożywia uschłe rośliny!

Usłyszał jego wołanie sam *daimyō* i pomyślał:

„To pewnie Hana-saka-jiji. Nie mam dziś nic do roboty, niech przyjdzie i znów zabawi mnie swoją sztuką”.

Posłał więc swoich służących, by sprowadzili do niego mężczyznę. Można sobie wyobrazić, jak ten ucieszył się na wieść, że taki wielki pan chce go widzieć. *Daimyō* przyjrzał mu się i odkrył, że to nie jest ten sam człowiek, co poprzednio. Zapytał go więc:

– To ciebie nazwałem Hana-saka-jiji?

Na to mężczyzna skłamał:

– Tak, mój panie!

– To dziwne – rzekł *daimyō*. – Myślałem, że jest tylko jeden Hana-saka-jiji na świecie. Może jesteś jego uczniem?

– Ja jestem prawdziwym Hana-saka-jiji – zaprzeczył się mężczyzna. – Ten, który był u ciebie wcześniej, to był mój uczeń.

– A zatem masz z pewnością jeszcze większą moc niż tamten. Pokaż więc, co potrafisz!

Zawistny sąsiad udał się wraz z *daimyō* i jego świtą do ogrodu i zbliżywszy się do uschniętego drzewa, obsypał je garścią popiołu, który przyniósł z domu.

Drzewo jednak nie zakwitło, ba! nie pojawił się ani jeden pączek. Uznawszy, że widocznie użył za mało popiołu, mężczyzna począł garściami dobywać go z mieszka i sypać go na drzewo – bezskutecznie. Wreszcie, przy którejś próbie, zawiął wiatr i dmuchnął pyłem wprost w oczy *daimyō*. Dostojnik rozzłościł się i kazał swoim poddanym wtrącić fałszywego Hana-saka-jiji do lochu, skąd nie wyszedł do końca życia – i tak oto wreszcie dopadła go kara za jego niegodziwość.

Pocziwy staruszek zaś, mając złote monety, które wykopał dla niego Shiro,

a do tego jeszcze bogactwa, które otrzymał od *daimyō*, stał się zamożnym i wpływowym człowiekiem i żył odtąd długo i szczęśliwie, kochany i szanowany przez wszystkich wkoło.

15. Wróbelek z odciętym języczkiem

Dawno, dawno temu żyła sobie w Japonii para staruszków. Mężczyzna był poczciwy i pracowity, lecz jego żona była zwyczajną jędzą, która za sprawą swego ciętego języka rujnowała szczęście ich domostwa. Od rana do wieczora nieustannie na coś narzekała. Staruszek już dawno przestał na nią zwracać uwagę. Większość dnia spędzał poza domem, pracując w polu, a że nie mieli dzieci, wolny czas poświęcał swojemu oswojonemu wróbelkowi. Kochał go tak bardzo, jakby ptaszek był jego własnym dzieckiem.

Kiedy wracał wieczorem po całym dniu ciężkiej pracy na roli, jego jedyną radością było pieszczenie wróbelka, rozmawianie z nim i uczenie go sztuczek, które ptaszek w lot zapamiętywał. Otwierał mu też klatkę i pozwalał latać po pokoju, bawiąc się z nim. Gdy nadchodziła pora kolacji, zawsze zachowywał ze swojej porcji jakieś smakołyki, którymi następnie karmił swojego przyjaciela.

Pewnego dnia staruszek udał się do lasu, żeby narąbać drwa na opał, a jego żona w tym czasie zabrała się za pranie. Dzień wcześniej przygotowała sobie w misce mączkę ryżową na krochmal, ale teraz, gdy chciała go użyć, odkryła, że miska jest pusta. Kiedy jeszcze zastanawiała się, kto mógł ukraść mączkę, podleciał do niej oswojony wróbelek staruszka i skłoniwszy przed nią nisko swoją opierzoną główkę (co było jedną ze sztuczek, jakich nauczył go mężczyzna), zaćwierkał:

– To ja zjadłem mączkę. Myślałem, że to jedzenie dla mnie i wydziobałem wszystko do ostatniej okruszynki. Jeśli popełniłem błąd, przepraszam z całego serca, ćwir, ćwir!

Widać więc, że wróbelek był prawdomównym stworzonkiem i staruszka powinna była mu wybaczyć, skoro tak pokornie przeprosił. Tak się jednak nie stało.

Kobieta nigdy nie lubiła wróbla i często kłóciła się z mężem o to, że trzyma w domu tego brudnego ptaka i tylko przysparza jej więcej pracy. Teraz nie tylko z zachwytem odkryła okazję do narzekania na faktyczne przewinienie jego ulubieńca. Zbeształa ptaszka i przeklęła go za jego złe zachowanie. Nieusatysfakcjonowana użyciem przykrych słów, w przyпіływie gniewu capnęła wróbelka – który przez cały czas trwał przed nią w pokłonie,

z rozłożonymi skrzydełkami, by okazać jej, że naprawdę jest mu przykro – i chwyciwszy za nożyce, odcięła nieszczęsnemu ptaszкови języczek.

– Pewnie tym języczkiem wyjadłeś mój krochmal! Zobaczmy teraz, jak sobie poradzisz bez niego! – i z tymi okrutnymi słowami wyrzuciła wróbelka precz, nie dbając o to, co się z nim dalej stanie ani o to, jakich ogromnych cierpień mu przysporzyła.

Następnie wróciła do domu i gderając cały czas, przygotowała sobie nową mączkę ryżową. Nakrochmaliła nią swoje ubrania i powiesiła je, by wyschły na słońcu.

Wieczorem, gdy staruszek wracał do domu, jak zwykle cieszył się na myśl, że za chwilę dotrze do bramy, gdzie na spotkanie wyleci mu jego ulubieniec, ćwierkając radośnie i strosząc piórka, by wreszcie usiąść mu na ramieniu. Jednak ku jego rozczarowaniu tego dnia wróbelka nigdzie nie było widać. Przyspieszył kroku, gorączkowo zzuł sandały i wszedł na werandę, lecz ptaszka wciąż nie było. Zaraz domyślił się, że to najpewniej jego jędzowata żona zamknęła wróbla w klatce. Zawołał ją więc i spytał niespokojnie:

– Gdzie jest *Suzume-san* (Pan Wróbelek)?

Kobieta udała wpięrk, że nie ma z jego zniknięciem nic wspólnego:

– Twój wróbel? Nie mam pojęcia. Teraz do mnie dotarło, że nie widziałam go całe popołudnie. Nie zdziwiłabym się, gdyby się okazało, że to niewdzięczne ptaszysko uciekło i zostawiło cię po tym wszystkim, jak go rozpieszczęłaś.

Staruszek jednak nie dał się tak łatwo zbyć i nie przestawał wciąż na nowo wypytywać ją o to, co się stało z jego ulubieńcem i upierać się, że z pewnością wie coś na ten temat. W końcu więc wyznała wszystko i oznajmiła mu wprost, że wróbelek wyjadł całą mączkę ryżową, którą przygotowała sobie na krochmal i że choć przyznał się do winy, ze złości odcięła mu język i wyrzuciła z domu, zakazując mu kiedykolwiek się w nim znów pojawiać. Pokazała nawet mężowi odcięty języczek, mówiąc:

– Oto język, który mu odcięłam. Co za przebrzydłe ptaszysko, jak śmiało wydziobać mi całą mączkę!

– Jak mogłaś być taka okrutna? Jak mogłaś być taka okrutna? – powtarzał tylko wciąż staruszek. Był zbyt poczciwy, by ukarać żonę, choć był zdruzgotany tym, co się przydarzyło jego nieszczęsnemu pupilowi.

– Cóż za straszne nieszczęście spotkało mojego biednego *Suzume-san*! –

rzekł do siebie. – Nie będzie mógł już więcej ćwierkać, a takie bezceremonialne odcięcie mu języczka z pewnością przysporzyło mu wiele cierpień! Czy nic nie mogę zrobić?

Staruszek wylał wiele łez, podczas gdy jego podła żona już dawno położyła się spać. Wciąż ocierał oczy rękawem swej bawełnianej szaty, gdy nagle przyszła mu do głowy myśl, że skoro tylko przyjdzie świt, wyruszy na poszukiwanie wróbelka. Dopiero to zdołało go pocieszyć i wreszcie zasnął.

Następnego dnia wstał o brzasku, zjadł pospiesznie śniadanie i wyruszył w drogę. Tułał się po wzgórzach i lasach, zatrzymując się przy każdej kępcie bambusa i wołając:

– Gdzież, ach gdzież jest mój wróbelek z odciętym języczkiem? Gdzie on może być?

Szedł dalej i dalej bez wytchnienia, nie zatrzymując się nawet na popołudniowy posiłek i gdy słońce już dawno minęło zenit, zsuwając się z wolna ku zachodowi, znalazł się w pobliżu wielkiego bambusowego gaju. Bambusowe lasy są ulubioną kryjówką wróbli i właśnie tutaj, na samym skraju zagajnika, mężczyzna ujrzał czekającego na niego pupila. Ze szczęścia nie chciał wierzyć własnym oczom i podbiegł szybko do ptaszka, by się z nim przywitać. Ten skłonił się przed nim i wykonał szereg sztuczek, których jego pan go nauczył, by okazać mu swoją radość z ponownego spotkania. Co dziwne, wróbelek jak dawniej posiadał dar mowy. Staruszek wyznał mu, jak bardzo było mu przykro z powodu tego, co go spotkało i wyraził zdziwienie, że mimo braku języka ptaszek dalej był w stanie mówić. Na to wróbelek otworzył dzióbek i pokazał mu, że w miejsce odciętego języczka odrósł mu nowy, po czym zapewnił przyjaciela, że nie ma potrzeby zamartwiać się przeszłością, tym bardziej, że jak widać, już wrócił do zdrowia.

W czasie tej rozmowy staruszek zorientował się, że jego ulubieniec nie jest zwykłym ptaszkiem, lecz musi być bóstwem przebywającym w zwierzęcej postaci. Trudno opisać, jak bardzo cieszył się, widząc, że jego ukochany wróbelek miewa się dobrze. Z miejsca zapomniał o wszystkich kłopotach, o swoim zmęczeniu i cieszył się tym, że odnalazł przyjaciela, i to nie schorowanego i cierpiącego, jak się spodziewał, lecz wesołego i w pełni sił, jakby brutalne potraktowanie go przez złą kobietę w ogóle nie miało miejsca. No i poza tym – ptaszek okazał się nadprzyrodzonym stworzeniem.

Tymczasem wróbelek poprosił mężczyznę, by udał się za nim i zaprowadził

go wprost do pięknego domu ukrytego w głębi bambusowego gaju. Staruszek zdziwił się bardzo na widok tego wspaniałego miejsca. Dom wykonany był z najbielszego drewna, podłogi pokrywały kremowej barwy maty, a poduszki, które wskazał mu wróbelek, by na nich usiadł, uszyte były z najlepszej jakości jedwabiu i krepy. W każdym pokoju *tokonomy* [1] zdobiły piękne naczynia i lakowane pudełka.

Wróbelek posadził gościa na honorowym miejscu, po czym skromnie zajął miejsce w pewnym oddaleniu. Kłaniając się raz po raz, po wielokroć dziękował staruszkowi za jego długoletnią opiekę. Następnie zwołał całą swoją rodzinę i przedstawił ją gościowi. Córki wróbelka, odziane w piękne krepowe szaty o dawnym kroju, wniosły na antycznych tackach najrozmaitsze przekąski, aż staruszek pomyślał, że to wszystko musi być tylko snem. Dziewczęta zabawiały gościa swoim tańcem, zwanym *suzume-odori*, czyli dosłownie „tańcem wróbla”.

Nigdy w życiu staruszek nie bawił się tak dobrze. Czas płynął mu szybko w tym pięknym miejscu, obsługiwany i zabawiany przez swych niezwykłych gospodarzy, i ani się obejrzał, jak nastąpiła noc. Pogłębiające się ciemności przypomniały mu, że przed nim jeszcze długa droga do domu. Podziękował z całego serca wróbelkowi za wystawne przyjęcie i błagał go, by puścił w niepamięć wszystko to, co wycierpiał ze strony jego okrutnej żony. Dodał, że bardzo go uspokoiło i uszczęśliwiło to, że jego dawny podopieczny mieszka teraz w takim pięknym domu i że niczego mu w życiu nie brakuje. To właśnie niepokój o to, jak sobie radzi i co się z nim stało, przywiódł go w to miejsce i teraz, gdy jest pewien, że jego ulubieniec jest bezpieczny, wróci do siebie z lekkim sercem. Jeśli zaś czegokolwiek będzie od niego potrzebował, niech pośle po niego, a staruszek zaraz się zjawi.

Wróbelek prosił mężczyznę, żeby został z nim i odpoczął choć przez parę dni dla odmiany, lecz staruszek odparł, że musi już wracać do żony (która zapewne będzie się na niego gniewać, że nie zjawił się o zwykłej porze) i do pracy, więc bez względu na to, jak bardzo chciałby przedłużyć swój pobyt w domu wróbelka, po prostu nie może tego uczynić. Obiecał jednak, że skoro wie już, gdzie mieszka jego dawny pupil, będzie go odwiedzał w każdej wolnej chwili.

Gdy wróbelek pojął, że nie przekona staruszka, skinął na swoich służących, a ci zaraz przynieśli mu dwa pudełka: jedno duże i jedno małe. Położyli je

przed staruszkiem, a wróbelek poprosił go, by wybrał któreś w prezencie.

Staruszek nie mógł odmówić grzecznej prośbie wróbelka, więc wziął mniejsze pudełko ze słowami:

– Jestem zbyt stary i słaby, by nosić duże, ciężkie pudła. Skoro więc jesteś tak miły, że pozwalasz mi wybrać, wolałbym wziąć mniejsze, bo będzie mi je łatwiej nieść.

Następnie wróble pomogły mu zarzucić pakunek na plecy i odprowadziły go do bramy, kłaniając mu się raz po raz na pożegnanie i zachęcając, by ich odwiedzał ilekroć będzie mógł. W ten oto sposób staruszek i jego wróbelek rozstali się w pogodnych nastrojach. Przez całe spotkanie ptaszek nie okazał cienia żalu za podłe traktowanie, jakiego doświadczył ze strony żony mężczyzny – było mu jedynie żal, że biedak musi całe życie znosić taką sekutnicę.

Gdy staruszek dotarł do domu, zastał swoją żonę w jeszcze gorszym humorze niż zwykle, bo była już późna noc i musiała na niego długo czekać.

– Gdzie byłeś tyle czasu?! – wrzasnęła na niego od progu. – Dlaczego wracasz tak późno?

Staruszek miał zamiar udobruchać ją, pokazując jej przyniesione podarki od wróbelka, więc opowiedział jej wszystko, co mu się przytrafiło i w jak cudowny sposób zabawiano go w domu jego ulubieńca.

– Zobaczmy teraz, co jest w pudełku – rzekł mężczyzna, nie dając żonie dojść do głosu. – Pomóż mi je otworzyć – po czym oboje usiedli, by podważyć wieczko.

Ku ich zdumieniu pakuneczek był wypełniony aż po brzegi złotymi i srebrnymi monetami oraz innymi drogocennościami. Maty w ich skromnej chatce aż zalśniły od blasku skarbów, które wyciągali ze środka i kładli obok lub podawali sobie. Staruszek był wielce uradowany widząc, jaki stał się nagle bogaty. Zawartość prezentu od wróbelka przeszła jego najśmielsze oczekiwania. Teraz mógł przestać wreszcie ciężko pracować i dożyć końca swoich dni w pokoju i dobrobycie. Rzekł do siebie po cichu: „Dziękuję ci, mój dobry mały wróbelku!”.

Kobieta jednak, gdy otrząsnęła się z pierwszego zaskoczenia i radości na widok złota i srebra, nie była w stanie opanować chciwości. Poczęła więc łącać męża, że nie wybrał większego pudełka, gdyż w swej prostolinijności wyznał jej, iż podczas gdy oferowano mu dwa pudełka, wybrał mniejsze

z nich.

– Ty głupi staruchu! – zawołała. – Dlaczego nie wziąłeś większego? Pomyśl tylko, ile straciliśmy! Mogliśmy mieć dwa razy tyle złota i srebra. Ty naprawdę jesteś niespełna rozumu!

I wyładowawszy na mężczyźnie złość, poszła spać. Staruszek pożałował, że wspomniał o większym pudełku, ale było już za późno. Pazerna kobieta, nieusatisfakcjonowana ze szczęścia, jakie ich spotkało – na które bynajmniej nie zasłużyła – postanowiła jak najszybciej zdobyć więcej skarbów.

Następnego ranka wypytała szczegółowo męża o drogę do domu wróbelka. Mężczyzna domyślił się, co zamierza zrobić i próbował ją od tego odwieść, lecz na próżno – w ogóle nie chciała go słuchać. Nie widziała też nic niestosownego w tym, by nawiedzać ptaszka po tym, jak w okrutny sposób odcięła mu język. Zachłanność kompletnie ją zaślepiła i wymazała z pamięci całą własną winę. Przez myśl jej nie przeszło, że wróble mogą być na nią złe – a faktycznie były – i że mogą zechcieć ją ukarać.

Odkąd wróbelek wrócił do domu w żalnym stanie, płacząc i krwawiąc z dzióbka, cała jego rodzina i znajomi o niczym innym nie rozmawiali, jak tylko o okrucieństwie kobiety.

– Jak ona mogła? – pytały się nawzajem. – Jak można było tak surowo ukarać za tak drobne przewinienie, jak omyłkowe wydziobanie garstki ryżu?

I choć wszystkie pokochały staruszkę, który mimo trudnego życia był taki miły, dobry i cierpliwy, jego żonę znienawidziły z całego serca i postanowiły, że gdy tylko nadarzy się okazja, ukarzą ją tak, jak sobie na to zasłużyła. I nie musiały długo czekać.

Po kilkugodzinnym marszu staruszka wreszcie natrafiła na bambusowy gaj, który przyciśnięty do muru mężczyzna dokładnie jej opisał. Stała na jego skraju i zawołała:

– Gdzież, ach gdzież jest mój wróbelek z odciętym języczkiem? Gdzie on może być?

Wreszcie dostrzegła ukryte za bambusowym listowiem zarysy domu. Pospieszyła w jego stronę i głośno załomotała do drzwi.

Kiedy służący donieśli wróbelkowi, że jego dawna pani stoi przed drzwiami i chce się z nim widzieć, był zaskoczony tą niespodziewaną wizytą – szczególnie po ostatnich wypadkach i zastanawiał się, czy to nie jest zbyt ni tuptet z jej strony, przychodzić tu teraz. Wróbelek był jednak uprzejmym ptaszkiem, wyfrunął więc staruszce na powitanie, mając w pamięci fakt, że

niegdyś była jego panią.

Kobieta nie miała zamiaru strzepić sobie języka na powitania i bez cienia skruchy przeszła do sedna:

– Daruj sobie próby zabawienia mnie, tak jak zabawiałeś mojego starego. Przyszłam po pudełko, które on w swojej bezmyślności zostawił. Zaraz sobie stąd pójdę, tylko daj mi no to większe pudełko – tylko po nie przyszłam.

Wróbelek zgodził się skwapliwie i nakazał służącym przynieść większy pakunek. Staruszka chciwie go capnęła, zarzuciła sobie na plecy i nie zadawszy sobie nawet trudu, by podziękować, ruszyła prędko z powrotem. Zamierzała biec ile sił w nogach, by jak najszybciej dotrzeć do domu i otworzyć pudełko – ono jednak było tak ciężkie, że nie tylko nie mogła biec, ale nawet szybko iść. Musiała wręcz przystawać co chwilę, by odsapnąć. W końcu była już tak zniecierpliwiona dłużącą się jej drogą, że pragnienie zajrzenia do środka stało się nie do odparcia. Spodziewała się bowiem, że podobnie jak małe pudełko, które dostał jej mąż, z pewnością i to pełne jest złota, srebra i drogocennych kamieni. Wreszcie samolubna i chciwa kobieta postawiła swój pakunek na ziemi i z wolna go otworzyła, pragnąc napawać się wreszcie widokiem bogactwa. To jednak, co ujrzała w środku, przeraziło ją tak, że niemal postradała zmysły. Gdy tylko uniosła wieczko, ze środka wyskoczyła chmara odrażających i straszliwych demonów, które otoczyły ją, jakby z zamiarem zabicia jej. Nawet w najgorszych koszmarach nie widziała tak przerażających stworów jak te, które kryły się w jej upragnionym pudełku. Jeden z demonów, z wielkim okiem pośrodku czoła, wysunął się naprzód i wlepił w nią ślepie; inne, z przepastnymi paszczami, wyglądały, jakby miały ją zaraz pożreć; długi wąż owinał się wokół jej ciała, sycząc groźnie, a wkoło skakała i rechotała olbrzymia ropucha.



*Zachłanna staruszka i pudło z demonami.
Drzeworyt Tsukioki Yoshitoshiego (ca. 1890 r.)*

Staruszka nigdy jeszcze tak bardzo się nie bała, więc rzuciła się czym prędzej do ucieczki, ciesząc się, że uszła z życiem. Gdy dotarła do domu, padła na ziemię i zalewając się łzami, opowiedziała mężowi o tym, co jej się przytrafiło i jak o mało nie padła ofiarą demonów. Już zaczęła winić za wszystko wróbla, kiedy staruszek przerwał jej i rzekł:

– Nie wiń ptaszka. Spotkało cię to, na co sobie swoją podłością zasłużyłaś. Mam tylko nadzieję, że to będzie dla ciebie nauczka.

Staruszka nic na to nie odpowiedziała, ale od tego dnia zmieniła się nie do poznania, stopniowo z jędzy zmieniając się w dobrą kobietę, tak że własny mąż z trudem ją poznawał. Dzięki temu resztę swych dni spędzili razem szczęśliwi, wolni od trosk i niedostatków, żyjąc rozsądnie ze skarbu, który

dostali od swego przyjaciela, wróbelka z odciętym języczkiem.

[1] *Tokonoma* – wnęka w japońskim domu, w której eksponuje się dekoracyjne zwoje, ikebanę i inne piękne przedmioty.

16. Rolnik i jenot

Dawno, dawno temu żył sobie stary rolnik z żoną. Mieszkali w górach, z dala od innych siedzib ludzkich. Ich jedynym sąsiadem był złośliwy jenot, który co noc biegał po polu staruszków i psuł im warzywa i ryż, które tak pieczołowicie pielęgnowali. Zwierz w końcu stał się tak bezwzględny w niesieniu szkód i wyrządził tyle zniszczeń w gospodarstwie, że dobrotliwy z natury rolnik nie mógł dłużej tego znieść i postanowił położyć temu kres. Siedział więc dzień w dzień i noc w noc na czatach z wielką pałką w rękę, mając nadzieję w końcu złapać jenota – lecz na próżno. Wtedy zastawił na szkodnika pułapkę.

Trud i cierpliwość mężczyzny opłaciły, bowiem pewnego dnia podczas codziennego obchodu znalazł zwierza uwiecznionego w wykopanym wcześniej przez siebie dole. Staruszek był zachwycony, że w końcu udało mu się schwytać szkodnika i związawszy go liną, zaniósł do domu. Tam rzekł do żony:

– W końcu dorwałem tego niedobrego jenota. Popilnuj go, kiedy mnie nie będzie, bo jak tylko wrócę z pracy, zamierzam zrobić z niego zupę.

To powiedziawszy, zawiesił jenota na krokwi w spiżarni i wyszedł pracować w polu. Ten przeraził się nie na żarty, bo wcale nie podobała mu się perspektywa ugotowania go na zupę, i to jeszcze tego samego dnia. Myślał więc i myślał długo nad tym, jak by tu uciec. Nie szło mu to jednak zbyt dobrze w tej niewygodnej pozycji – powieszono go bowiem głową w dół. Nieopodal, tuż przy wejściu do spiżarni, wyglądając na zielone pola i drzewa rozświetlone słońcem, stała żona rolnika i ucierała jęczmień. Wyglądała na starą i zmęczoną kobietę. Jej twarz usiana była licznymi zmarszczkami, a jej skóra była brązowa jak sierść dzikiego zwierza. Co chwila przerywała pracę, by otrzeć pot spływający jej po twarzy.

– Droga pani – zwrócił się do niej przebiegły jenot. – Musisz być wyczerpana taką ciężką pracą, i to w twoim wieku. Może pozwolisz, bym ci pomógł? Moje łapy są silne, z łatwością odciążę cię chociaż na chwilę!

– Dziękuję ci za miłą propozycję – odpowiedziała staruszka. – Ale nie mogę ci powierzyć mojej pracy, bo nie wolno mi cię rozwiązywać. Jeśli byś mi uciekł, mój mąż strasznie by się na mnie rozzłościł.

Jenot, jako że jest jednym z najchytrzejszych zwierząt na świecie, odrzekł jej na to smutnym i łagodnym tonem:

– Twoje słowa są takie przykre. Możesz mnie rozwiązać, bo przyrzekam, że nie będę próbował uciekać. Jeśli boisz się męża, możesz związać mnie z powrotem nim wróci, gdy tylko skończę ubijać dla ciebie ten jęczmień. Jestem taki zmęczony i obolały od wiszenia w tej pozycji! Jeśli tylko opuścisz mnie na parę chwil, będę ci ogromnie wdzięczny!

Staruszka miała dobre serce i była prostą kobietą, nie umiała więc o nikim źle myśleć. Tym bardziej nie spodziewała się, że jenot może ją okłamywać tylko po to, by mieć okazję czmychnąć. Poza tym gdy tylko odwróciła się i spojrzała na niego, zrobiło się jej żal zwierzaka. Wyglądał doprawdy żałośnie, zwisając za tylne łapki z sufitu, związany liną tak ciasno, że węzły wrzynały mu się w skórę. W dobroci serca uwierzyła więc w obietnicę oszusta, rozwiązała go i opuściła na ziemię. Przekazała mu następnie drewniany tłuczek i poprosiła, by wyręczył ją przez chwilę, podczas gdy ona sama nieco odsapnie. Jenot chwycił tłuczek, ale zamiast zabrać się do pracy, skoczył na kobietę i ogłuszył ją ciężkim narzędziem. Następnie zabił ją i pociąwszy na kawałki, ugotował z niej zupę, sam zaś przybrał jej postać i czekał na powrót jej męża.

Mężczyzna pracował w polu cały dzień, ciesząc się na myśl, że od dziś nikt nie będzie niszczył jego plonów. Gdy słońce chyliło się już ku zachodowi, ruszył z powrotem do domu. Był bardzo zmęczony, ale myśl o gorącej zupie z jenota dodawała mu sił. Nawet nie przyszło mu do głowy, że zwierz mógł uwolnić się i zemścić na jego nieszczęsnej żonie. Jenot tymczasem, gdy tylko zobaczył zbliżającego się rolnika, wyszedł na próg pod postacią staruszki i powitał go słowami:

– Nareszcie jesteś. Przygotowałam jenocią zupę i czekam na ciebie już od dawna.

Staruszek pospiesznie zzuł słomiane sandały i zasiadł przed malutką tacką zastawioną miskami. Poczciwiec nawet nie przypuszczał, że nie usługuje mu żona, tylko jenot we własnej osobie, i zaraz poprosił o zupę. Na to zwierzak nagle powrócił do dawnej postaci i zawołał:

– Ty żonożerco! Spójrz tylko na te kości w kuchni! – po czym śmiejąc się głośno i szyderczo, wybiegł z chatki i pomknął do swej nory wysoko na wzgórzu.

Staruszek został sam. Nie mógł uwierzyć w to, co właśnie widział i słyszał.

Gdy zrozumiał, co się stało, był tak przerażony, że stracił przytomność. Ocknął się dopiero po jakimś czasie i zaraz wybuchnął płaczem. Szlochał gorzko, kołysząc ciałem w przód i w tył w bezsilnym żalu. To było zbyt okrutne, że kiedy on pracował spokojnie w polu, gratulując sobie pozbycia się szkodnika i nie domyślając się, co się może dziać w domu, jego stara, wierna żona została zabita i ugotowana przez jenota. Cóż za straszna myśl, że o mało nie zjadł dania, które okrutny zwierz przyrządził z jej ciała!

– Och, ja nieszczęsny! – zawodził w głos staruszek.

Tymczasem nieopodal jego chatki, na tej samej górze mieszkał dobroduszny, leciwy królik. Usłyszał żalony płacz mężczyzny i zaraz udał się do niego sprawdzić, co się stało i czy w czymkolwiek mógłby pomóc sąsiadowi. Staruszek opowiedział mu całą historię; gdy królik ją usłyszał, rozżłościł się na niegodziwego, podstępного jenota.

– Zostaw to mnie! – oznajmił mężczyźnie. – Pomszczę śmierć twojej żony.

Rolnik wreszcie się uspokoił i ocierając łzy, podziękował mu za jego dobroć i za to, że przyszedł dopomóc mu w potrzebie.

Królik, widząc, że zdołał nieco pocieszyć staruszkę, wrócił do swojej norki, by przemyśleć, w jaki sposób ukarać szubrawca.

Następnego dnia dopisywała pogoda, więc wybrał się na poszukiwania jenota. Nie znalazł go w lesie ani na wzgórzu, ani też na polach, udał się zatem do jego nory, gdzie złoczyńca ukrywał się, odkąd uciekł z chaty staruszkę, bowiem obawiał się jego gniewu. Królik zawołał do niego:

– Dlaczego siedzisz w norze w taki piękny dzień? Chodź, przejdziemy się razem naścinać trawy na wzgórzach!

Na to jenot, niewątpiący w to, że królik jest jego przyjacielem, zgodził się z ochotą. Rad był udać się gdzieś z dala od chaty staruszkę, bez obawy, że go spotka. Królik wyprowadził go daleko, wiele kilometrów od ich nor, na wzgórze, gdzie rosła wysoka, gęsta i smaczna trawa. Zabrali się obaj do pracy, ścinając tyle źdźbeł, ile tylko mogli zanieść do domów, by przechować je w spiżarni jako zapasy na zimę. Kiedy naścinali tyle trawy, ile chcieli, powiązali ją w snopki i ruszyli w drogę powrotną do domu, każdy ze swoim pakunkiem na plecach. Tym razem to jenot prowadził.

Kiedy uszli już nieco drogi, królik wyciągnął krzesiwo i zakrzeszał iskry nad grzbietem jenota. Wiązka trawy, którą miał na plecach, zaraz zajęła się ogniem. Jenot, który usłyszał pstryk krzesiwa, spytał towarzysza:

– Co to był za dźwięk, to „pstryk, pstryk”?

– Och, nic takiego – odparł królik. – Powiedziałem do siebie „Pstryk, pstryk!”, bo ten szczyt nazywa się Pstrykającą Górą.

Ogień szybko rozprzestrzenił się na snopku jenota. Ten, słysząc trzask palącej się trawy, zapytał ponownie:

– A co to za trzask?

– Teraz mijamy Trzaskającą Górę – odpowiedział królik.

Tymczasem wiązka na grzbiecie jenota spłonęła już niemal całkowicie i przypaliła mu sierść na plecach. Dopiero teraz, czując swąd spalenizny, zorientował się, co się stało. Krzycząc z bólu, pognął ile sił w łapach do swojej nory. Królik pokicał za nim i znalazł go wijącego się w łóżku i jęczącego żałośnie.

– Ależ miałeś pecha! – rzekł do niego. – Nie mam pojęcia, jak to się mogło stać! Przyniosę ci lekarstwo, które szybko wyleczy ci grzbiet.

To powiedziawszy, wyszedł z nory, uśmiechając się do siebie na myśl, że prawdziwa kara ma dopiero na jenota spaść. Miał nadzieję, że zwierz umrze od ran, bowiem nie było kary zbyt surowej za zamordowanie nieszczęsnej, bezbronnej staruszki, która mu zaufała. Udał się do siebie i przygotował maść z ostrej papryki.

Zaniósł ją jenotowi i zanim nałożył mu ją na grzbiet, ostrzegł go, że będzie go piekło, ale ma to znieść cierpliwie, bo to cudowny lek na wszelkie oparzenia, zgorzele i rany. Jenot podziękował mu i błagał, by posmarował go jak najszybciej. Żadne słowa nie opiszą jednak katuszy, jakie go spotkały, gdy tylko królik nałożył mu maść z papryki na otwarte rany. Tarzał się po ziemi, wyjąc potępieńczo. Królik zaś patrząc na niego czuł, że staruszka jest już częściowo pomszczona.

Jenot został w łóżku jeszcze przez miesiąc, ale w końcu, mimo morderczej kuracji, jaką mu królik zaaplikował, jego rany stopniowo się zagoiły i w końcu wydobrzał całkowicie. Gdy królik zauważył, że niegodziwiec zdrowieje, wymyślił kolejny plan, jak sprowadzić na niego śmierć. Odwiedził go więc znów pewnego dnia, by pogratulować mu powrotu do zdrowia. W trakcie rozmowy wspomniał, że wybiera się na ryby i począł rozwodzić się nad tym, jakie to miłe zajęcie, kiedy pogoda dopisuje, a morze jest spokojne.

Jenot słuchał z zainteresowaniem opowiadania sąsiada o tym, co ten dotąd porabiał i szybko zapomniał o wszystkich cierpieniach i długiej chorobie. Pomyślał, że dobrze by mu zrobiło, gdyby także udał się na ryby. Zaraz więc

poprosił królika, by ten zabrał go ze sobą następnym razem, gdy będzie szedł nad morze. Królik tylko na to czekał, zgodził się zatem z ochotą.

Wyszędłszy od jenota, przygotował dwie łodzie: jedną drewnianą, a drugą glinianą. Gdy były gotowe, stanął nad nimi i podziwiając swoje dzieło pomyślał, że cały trud, jaki włożył w ich wykonanie, odpłaciłoby mu, gdyby tym razem jego plan się powiódł i jenot zginął.

Kiedy nadszedł odpowiedni dzień, zaprosił jenota na ryby. Dla siebie zatrzymał drewnianą łódź, a sąsiadowi wskazał glinianą. Jenot nie miał pojęcia o pływaniu po wodzie, więc ucieszył się, że dostał taką ładną, nową łódź. Pomyślał nawet, iż to miłe ze strony królika, że mu ją odstąpił. Wsiedli każdy do swojej i wyruszyli.

Gdy już oddalili się nieco od brzegu, królik zaproponował, by się pościgali w łodziach i przekonali się, kto jest szybszy. Jenot zgodził się i obaj zabrali się z całych sił za wiosłowanie. Nagle, w środku wyścigu, jenot zauważył, że jego łódź się rozpada, bo woda zaczęła rozmiękczać glinę, z której była wykonana. Przerażony zawołał do królika, by go ratował, ten jednak odparł:

– To jest kara za zamordowanie staruszki i od początku moim zamiarem było doprowadzić cię do śmierci. Cieszę się teraz, że wreszcie dopadła cię kara za wszystkie twoje złe uczynki i topisz się, próżno wołając pomocy.

Następnie uniósł wiosło i począł walić nim z całej siły jenota, aż ten poszedł na dno wraz ze swoją glinianą łodzią i nikt już go więcej nie zobaczył.

W ten oto sposób królik dotrzymał słowa danego staruszkowi. Powiosłował z powrotem do brzegu, wyciągnął łódź na piasek i pognał opowiedzieć rolnikowi, w jaki sposób zginął jego wróg, jenot.

Staruszek dziękował mu ze łzami w oczach. Wyznał, że dotąd nocami nie mógł spać, a za dnia nie zaznawał spokoju, myśląc o tym, że śmierć jego żony pozostaje niepomszczona. Od tej pory jednak będzie mógł spać i jeść jak dawniej. Błagał też królika, by zamieszkał razem z nim. Ten zgodził się i odtąd staruszek i jego poczciwy sąsiad żyli razem jak para najlepszych przyjaciół aż do końca swoich dni.

17. Roztropna małpa i dzik

Dawno, dawno temu w prowincji Shinshin w Japonii żył sobie kuglarz, który zarabiał na życie wędrując tu i tam ze swoją małpą, pokazującą ku uciesze gawiedzi różne sztuczki.

Pewnego wieczoru mężczyzna wrócił do domu w bardzo złym humorze i kazał żonie nazajutrz skoro świt posłać po rzeźnika.

Kobieta była bardzo zaskoczona żądaniem męża, więc spytała:

– Dlaczego mam posłać po rzeźnika?

– Nie ma sensu dłużej włościć się z tą małpą, jest już za stara i wciąż zapomina sztuczki. Biję ją kijem ile wlezie, a ona dalej tańczy nie tak jak trzeba. Muszę jak najszybciej sprzedać ją rzeźnikowi, póki jeszcze cokolwiek mogę za nią dostać. Nic innego nie przychodzi mi do głowy.

Kobiecie zrobiło się żal nieszczęsnego zwierzęcia i zaklinała męża, żeby darował mu życie – na próżno. Mężczyzna już postanowił sprzedać ją rzeźnikowi i nic nie mogło odwieść go od tej decyzji.

Tymczasem małpa, która siedziała w pokoju obok, słyszała każde słowo tej rozmowy. Zrozumiała, że ma zostać zabita i rzekła do siebie:

– Cóż za barbarzyńca z mojego pana! Służyłam mu wiernie latami, a on zamiast pozwolić mi dożyć w spokoju ostatnich dni, zamierza oddać mnie rzeźnikowi, żeby mnie porąbał, a moje biedne członki wrzucił do garnka, by je ugotować i zjeść? Biada mi! Co mam teraz począć? Ach! Mam myśl! W lesie nieopodal mieszka dzik, którego rozum wszyscy chwala. Może jeśli udam się do niego i opowiem mu, w jakich jestem tarapatkach, udzieli mi jakiejś rady. Spróbuję zatem.

Nie było czasu do stracenia. Małpa wymknęła się z domu i ile sił w łapach pobiegła do lasu szukać dzika. Zastała zwierza w domu i z miejsca zaczęła opowiadać mu o swojej niedoli.

– Dobry panie dziku, słyszałam o twojej niezwykłej mądrości. Mam wielki problem i tylko ty możesz mi pomóc. Zestarzałam się na służbie u mego pana i za to, że już nie potrafię dla niego zatańczyć tak, jak by sobie tego życzył, postanowił sprzedać mnie rzeźnikowi. Co mam robić? Wiem, że jesteś bardzo sprytny!

Dzika mile połehtały te pochlebstwa i postanowił pomóc małpie. Zastanowił

się przez chwilę, po czym spytał:

– Czy twój pan nie ma przypadkiem dziecka?

– O, tak! – odparła małpa. – Ma małego synka.

– A czy dobrze mi się wydaje, że co rano kładą go obok progu, kiedy twoja pani wykonuje swoje obowiązki? Jeśli tak, udam się do twojego domu z skoro świt i jak tylko będę miał okazję, pochwycę dziecko i z nim ucieknę.

– I co wtedy? – spytała małpa.

– Kiedy jeszcze matka będzie w szoku i nim wraz z mężem wymyślą, co zrobić, pobiegiesz za mną, uratujesz dziecko i odniesiesz je całe i zdrowe rodzicom. Zobaczysz, że gdy przyjdzie po ciebie rzeźnik, nie będą mieli serca cię sprzedać.

Małpa po wielokroć podziękowała dzikowi i wróciła do domu. Nie spała całą noc, jak można sobie wyobrazić, trwożąc się jutrem. Jej życie zależało od tego, czy plan dzika powiedzie się, czy nie. Wstała jako pierwsza z domowników i z niecierpliwością wyczekiwała tego, co się miało wydarzyć. Wydawało jej się, że trwało to całą wieczność, nim żona jego pana poczęła krzątać się po domu i otwierać okiennice, by wpuścić nieco światła do środka. Potem wszystko nastąpiło tak, jak to zaplanował dzik. Kobieta położyła dziecko jak zwykle w przedsionku, a sama zabrała się za sprzątanie domu i przygotowywanie śniadania.

Dziecko gaworzyło wesoło w porannym słońcu, raczkując po matach w pogoni za plamami światła i cienia. Nagle od strony werandy rozległ się wielki rumor i głośny płacz dziecka. Matka zaraz wybiegła z kuchni – w samą porę, by ujrzeć uciekającego przez bramę dzika, ściskającego w paszczy jej synka. Wyrzuciła w górę ręce z głośnym okrzykiem rozpacz i rzuciła się do sypialni, gdzie jej mąż spał jeszcze w najlepsze.

Usiadł z wolna i przetarł oczy, po czym spytał żonę opryskliwie, o co robi tyle hałasu. Nim uświadomił sobie, co się stało i oboje wypadli za bramę, dzik był już daleko, ale zobaczyli też swoją małpę, pędzącą w ślad za porywaczem ile sił w łapach.

Odważne zachowanie roztropnej małpy bardzo ich poruszyło, a gdy przyniosła im z powrotem dziecko, całe i zdrowe, ich wdzięczność względem wiernego zwierzęcia nie miała granic.

– Patrz! – zawołała żona. – To jest zwierzę, które masz zamiar oddać na śmierć... Gdyby nie ona, stracilibyśmy na zawsze nasze dziecko!

– Masz rację, żono, ten jeden raz w życiu – odparł mąż, niosąc dziecko

w ramionach do domu. – Kiedy przyjdzie rzeźnik, możesz go odesłać, a teraz podaj nam wszystkim zacne śniadanie. Małpie też.

Kiedy przyszedł rzeźnik, został odesłany z poleceniem, by na kolację dostarczył mięso dzika. Małpa dożyła końca swych dni w spokoju rozpieszczana, a jej pan nigdy więcej nie podniósł na nią ręki.

18. Małpa i meduza

Dawno, dawno temu morzami i oceanami rządził wspaniały król. Nazywano go Ryūjin i był królem-smokiem. Był potężnym władcą, bo słuchały go wszystkie morskie stworzenia, czy to duże, czy małe, a do tego posiadał dwa Klejnoty Pływów. Pierwszy, zwany Klejnotem Przyływu, rzucony w morze powodował tworzenie fal wysokich niczym góry, które wdzierały się głęboko w ląd, podczas gdy drugi, Klejnot Odpływu, powodował cofanie się wody.

Pałac Ryūjina znajdował się na dnie morza i był tak piękny, że nawet w snach nie widywało się podobnego. Jego ściany były zrobione z koralowców, dach z nefrytu i chryzoprazu, a podłogi z macicy perłowej. Choć kraina, którą władał smoczy król, była niezmierna, a autorytetu władcy nikt nie śmiał podważać, Ryūjin nie był szczęśliwy, bo rządził nią sam. W końcu stwierdził, że gdyby się ożenił, stałby się nie tylko szczęśliwszy, ale też potężniejszy. Postanowił więc znaleźć sobie żonę. Wezwał do siebie wszystkich poddanych i wybrałszy spośród nich kilkoro na swoich posłów, nakazał im szukać we wszystkich morzach i oceanach jakiejś młodej smoczej księżniczki, która nadawałaby się dla niego na żonę.

Po jakimś czasie wrócili do pałacu ze śliczną młodą smoczą. Jej łuski migotały zielenią jak skrzydła letniego chrabąszcza, jej oczy rzucały ogniste błyski, a odziana była w wyszukane szaty, przystrojone najróżniejszymi klejnotami morza.

Król od pierwszego wejrzenia zapalał do niej miłością i wkrótce odbyła się huczna ceremonia zaślubin. Wszystkie morskie stworzenia, od wielkich wielorybów po małe krewetki, napływały ławicami, by pogratulować nowożeńcom oraz życzyć im długiego i szczęśliwego życia. Podmorskie królestwo jeszcze nigdy nie było świadkiem takich tłumów ani tak radosnych uroczystości. Pochód tragarzy, którzy nieśli posag panny młodej i jej osobiste przedmioty do jej nowego domu, zdawał się rozciągać od jednego krańca oceanu do drugiego. Każda z ryb dzierżyła fosforyzującą latarnię i odziana była w odświętne szaty, połyskujące na błękitno, różowo i srebrno. Fale, które tego wieczoru unosiły się i opadały, wydawały się toczącymi się masami białego i zielonego ognia, bo fosfor tego dnia świecił ze zdwojoną mocą, by odpowiednio uczcić tę doniosłą uroczystość.

Od tej pory smoczy król i jego małżonka żyli razem szczęśliwie. Kochali się z całego serca, a Ryūjin z rozkoszą dzień w dzień odkrywał przed żoną wszelkie cuda i skarby swego koralowego pałacu, jej zaś nigdy nie męczyło przechadzanie się z nim po przestronnych salach i ogrodach. Życie zdawało im się nieustającym pięknym, letnim dniem.

W ten sposób minęły im beztrąsko dwa miesiące, kiedy nagle smocza królowa zachorowała i musiała pozostać w łóżku. Król był bardzo zatroskany, widząc swoją najdroższą małżonkę złożoną cierpieniem i zaraz posłał po rybiego lekarza, by dał jej jakieś lekarstwo. Poleciał służącym dbać o smoczycę z najwyższą troską i usługiwać jej z oddaniem, lecz mimo zaaplikowanego leku i najlepszej opieki, jaką została otoczona, młoda królowa nie wykazywała żadnych oznak poprawy, wręcz przeciwnie – z dnia na dzień słabła.

Wówczas król znów wezwał do siebie medyka i począł wyrzucać mu, że jego kuracja okazała się nieskuteczna. Lekarz, widząc gniew Ryūjina, począł się usprawiedliwiać, mówiąc, iż choć zna lek, który pomógłby królowej, w morzu niepodobna go znaleźć.

– Chcesz powiedzieć, że tu nie ma odpowiedniego lekarstwa? – naciskał król.

– Dokładnie tak! – odparł medyk.

– Czego więc potrzebujesz, by uleczyć królową? – spytał Ryūjin.

– Musiałbym dostać wątrobę żywej małpy! – padła odpowiedź.

– Wątroba żywej małpy! To rzeczywiście trudne do zdobycia – przyznał król.

– Gdyby tylko udało się ją znaleźć, Jej Wysokość wnet odzyskałaby zdrowie!

– zapewnił medyk.

– Dobrze, zatem postanowione. Musimy ją zdobyć w ten czy inny sposób.

Ale gdzie szukać małpy? – zastanawiał się smok.

Na to lekarz powiedział królowi, że daleko na południu znajduje się Wyspa Małp, na której aż roi się od tych stworzeń.

– Gdyby tylko dało się złapać jedno z nich! – zawołał.

– Jak ktokolwiek z moich poddanych miałby złapać małpę? – zatroskał się król. – One żyją na suchym lądzie, a my w wodzie, poza nią zaś jesteśmy kompletnie bezsilni. Co mamy robić?!

– To był i mój problem – odrzekł medyk. – Ale wśród twoich niezliczonych poddanych z pewnością znajdzie się ktoś, kto jest w stanie wyjść na brzeg w tym konkretnym celu!

– Coś na pewno trzeba zdziałać! – postanowił król i wezwał do siebie

ochmistrza, by skonsultować z nim ten problem.

Ochmistrz zastanowił się przez chwilę, po czym nagle, jakby właśnie wpadł mu do głowy pomysł, rzekł pogodnie:

– Wiem, co musimy zrobić! Wezwijmy *kurage* (meduzę). Wprawdzie jest tak brzydka, że przykro na nią patrzeć, ale szcyci się tym, że jest w stanie chodzić po lądzie, przebierając parzydełkami jak zółw. Poślijmy ją na Wyspę Małą, by nam jedną złapała.

Wezwano więc meduzę i wyjaśniono jej, czego król od niej oczekuje. Ta, słysząc szczegóły niespodziewanej misji, którą jej powierzono, zakłopotała się i odrzekła, że nigdy nie była na Wyspie Małej i nie ma żadnego doświadczenia w łapaniu tych zwierząt, więc nie jest pewna, czy uda jej się jakąś schwytać.

– Cóż, jeśli będziesz polegać na swojej sile czy zwinności, nigdy żadnej nie złapiesz – skwitował ochmistrz. – Jedyńm sposobem jest ją przechytrzyć.

– Jak mam przechytrzyć małpę? Nie wiem, jak się za to zabrać – odparła skonsternowana meduza.

– Musisz zrobić tak: kiedy dotrzesz na Wyspę Małą i jakąś spotkasz, postaraj się z nią zaprzyjaźnić – poradził jej ochmistrz. – Powiedz jej, że jesteś poddaną smoczego króla i że zapraszasz ją, by cię odwiedziła i zobaczyła na własne oczy pałac Ryūjina. Opisz jej najlepiej jak potrafisz jego przepych i wszelkie podmorskie cuda, by wzbudzić jej ciekawość i sprawić, by sama chciała je zobaczyć.

– Ale jak ja mam tu sprowadzić tę małpę? Chyba wiesz, że małpy nie potrafią pływać? – wciąż opierała się meduza.

– Musisz przewieźć ją na swoim grzbiecie. Wykorzystaj do czegoś ten twój parasol! – zirytował się ochmistrz.

– A czy nie będzie dla mnie za ciężka? – pisnęła znowu *kurage*.

– To bez znaczenia, przecież pracujesz dla smoczego króla! – odparł sucho ochmistrz.

– Zatem zrobię, co w mojej mocy – odpowiedziała meduza i opuściwszy pałac, popłynęła w stronę Wyspy Małej. Spieszyła się jak mogła, więc już po paru godzinach dotarła do celu i w dogodnym miejscu wyszła na ląd. Rozejrzała się wkoło i ujrzała nieopodal wielką sosnę z opadającymi gałęziami, a na jednej z nich dostrzegła to, czego szukała – małpę.

„Mam szczęście!” – pomyślała meduza. – „Teraz muszę się jej jakoś przypodchlebić, by namówić ją na wizytę w pałacu, a moje zadanie będzie

wykonane!”

Podpełzła więc z wolna do sosny. W owych dawnych czasach meduzy miały twardą skorupkę na grzbiecie i cztery odnóża, na których potrafiły się poruszać, nieco przypominając przy tym żółwie. Kiedy dotarła do drzewa, zawołała:

– Jak się miewasz, małpo? Piękny mamy dzisiaj dzień, nieprawdaż?

– Tak, jest rzeczywiście ładny – odpowiedziała z gałęzi małpa. – Nigdy wcześniej cię tu nie widziałam. Jak się nazywasz i skąd jesteś?

– Jestem *kurage*, czyli meduza. Należę do świty smoczego króla. Wiele słyszałam o twojej pięknej wyspie, więc postanowiłam ją odwiedzić i zobaczyć ją na własne oczy – odpowiedziała meduza.

– Cieszę się – rzekła na to małpa.

– A skoro już o tym mowa... – ciągnęła *kurage*. – Czy widziałaś kiedyś pałac Króla Mórz, gdzie ja mieszkam?

– Wiele o nim słyszałam, ale nigdy go nie widziałam! – odparła małpa.

– Więc koniecznie musisz go kiedyś odwiedzić! To wielka strata nie zobaczyć go choć raz w życiu. Pałac jest tak wspaniały, że słowami nie da się tego opisać... Dla mnie to najpiękniejsze miejsce na świecie – zapewniała meduza.

– Naprawdę jest aż taki cudowny? – spytała małpa ze zdumieniem.

Na to meduza, dostrzegając swoją szansę, poczęła opisywać jak najlepiej umiała piękno i przepych pałacu Króla Mórz i wszystkie cuda otaczającego go ogrodu, jak drzewa z białego, różowego i czerwonego koralu czy zwisające z konarów owoce, przypominające najwspanialsze klejnoty. Ciekawość małpy rosła i słuchając z zapartym tchem, krok po kroku pomału zeszła z drzewa, by nie uronić ani jednego słowa z tej intrygującej relacji.

„Mam ją!” – pomyślała meduza, lecz na głos rzekła:

– Muszę już wracać, droga małpo. Skoro nigdy nie widziałaś pałacu smoczego króla, może chciałabyś skorzystać z tej wyjątkowej okazji i udać się do niego wraz ze mną? Będę ci służyć za przewodnika i oprowadzę cię po podmorskim królestwie, które tobie, jako zwierzęciu lądowemu, wyda się tym wspanialsze.

– Bardzo bym chciała! – rzekła małpa. – Ale jak miałabym się tam dostać? Nie umiem pływać, jak może zdajesz sobie sprawę.

– To żaden problem, mogę cię przewieźć na grzbiecie.

– Nie chciałabym ci robić kłopotu... – zawahała się małpa.

– To dla mnie drobiazg. Może nie wyglądam, ale jestem bardzo silna, więc nie musisz się o nic martwić – odparła meduza i posadziwszy sobie małą na grzbiecie, ruszyła w stronę morza. – Nie wierć się tylko, żebyś nie wpadła mi do morza. Jestem odpowiedzialna za to, by dostarczyć cię żywą do pałacu króla!

– Proszę, nie tak szybko, bo na pewno spadnę! – zawołała z obawą mała. Ale meduza płynęła pewnie, gładko pokonując fale.

Gdy były już mniej więcej w połowie drogi, meduza – która niewiele wiedziała o organach wewnętrznych innych zwierząt – zaczęła martwić się, czy jej mała ma na pewno ze sobą swoją wątrobę.

– Droga mała, masz może ze sobą swoją wątrobę? – spytała więc ostrożnie. Mała była bardzo zaskoczona tym pytaniem i chciała wiedzieć, po co meduzie ta informacja.

– To bardzo ważne – odparła niemądra meduza. – Więc jak tylko sobie o tym przypomniałam, spytałam, czy masz ją przy sobie.

– Dlaczego moja wątroba jest dla ciebie taka ważna? – zapytała mała, wciąż nic nie rozumiejąc.

– Och, dowiesz się za jakiś czas – odrzekła wymijająco meduza, ale mała była coraz bardziej podejrzliwa i nalegała na odpowiedź, odwołując się do sumienia towarzyszki i tłumacząc jej, że bardzo ją niepokoi to pytanie. W końcu meduza, widząc autentyczny lęk mały, zlitowała się nad nią i wyznała jej wszystko. Opowiedziała jej o nagłej chorobie smoczey królowej, o lekarzu, który stwierdził, iż jedynym lekiem, który mógłby ją uratować, jest wątroba żywej mały i o tym, jak Ryūjin posłał ją, by jakąś zdobyła.

– Zrobiłam jak mi kazano i wkrótce dotrzemy do pałacu, gdzie medyk zabierze ci wątrobę, przykro mi – rzekła na koniec.

Biedna mała przeraziła się tym, co usłyszała. Była też zła na meduzę, że ją oszukała. Drżała teraz na myśl o tym, co ją czeka. Była jednak przy tym sprytnym zwierzęciem i uznała, że najlepiej będzie, jeśli nie okaże strachu i na spokojnie zastanowi się, jak by tu uniknąć przykrego losu.

„Ten medyk chce mi rozplatać brzuch i wyciągnąć wątrobę! Dlaczego mam teraz zginąć?!” – pomyślała. W tej samej chwili przyszedł jej do głowy pewien plan. Zwróciła się pogodnie do meduzy:

– Jaka szkoda, moja droga *kurage*, że nie powiedziałaś mi o tym, nim opuściliśmy wyspę!

– Przecież gdybym ci wyjawiała powód, dla którego chciałam, byś mi

towarzyszyła, na pewno byś mi odmówiła – odrzekła meduza.

– Ależ skąd! – odparła małpa. – Małpy z łatwością mogą odstąpić komuś jedną czy dwie wątroby, a już na pewno jeśli wymaga tego zdrowie samej smoczey królowej. Gdybym tylko wiedziała, że będzie ci potrzebna! Zaraz dałabym ci jedną, bo mam kilka. Ale niestety, nie powiedziałaś od razu, więc wszystkie zostały na drzewie.

– Zostawiłaś swoją wątrobę na wyspie? – spytała zdumiona meduza.

– Tak – przytaknęła sprytna małpa. – Za dnia zwykle wieszam ją na gałęzi, bo przeszkadza mi, kiedy skaczę z drzewa na drzewo. Kiedy dzisiaj słuchałam twojej fascynującej opowieści, zapomniałam o niej i zostawiłam ją wiszącą na sośnie. Gdybyś tylko wspomniała o tym wcześniej, przypomniałabym sobie o niej i wzięłabym ją ze sobą.

Meduza była bardzo rozczarowana tym, co usłyszała, bowiem uwierzyła w każde słowo małpy. A ta bez swojej wątroby była dla niej bezużyteczna. Zatrzymała się więc i wyznała to swojej towarzyszce.

– No cóż, jeszcze nie wszystko stracone – pocieszyła ją małpa. – Bardzo mi przykro z powodu twoich problemów. Jeśli jednak odwieziesz mnie z powrotem tam, skąd mnie zabrałaś, bez problemu dostaniesz swoją wątrobę.

Meduzie nie bardzo podobał się pomysł pokonywania znów takiego szmatu drogi, ale małpa zapewniła ją, że jeśli będzie tak miła i wróci z nią na ląd, da jej swoją najlepszą wątrobę. Przekonana tą obietnicą, meduza zawróciła i popłynęła znów na Wyspę Małą.

Ledwie dotarły do brzegu, przebiegła małpa zeskoczyła z jej grzbietu i wspięła się na swoją sosnę. Tam z radości wywinęła kilka razy kozła, po czym zawołała do czekającej na piasku meduzy:

– Dzięki za pomoc! Pozdrów ode mnie smoczego króla!

Meduzę bardzo zdziwiły te słowa, a tym bardziej drwiący ton w głosie małpy.

– Nie powinnaś teraz zejść do mnie ze swoją wątrobą? – spytała więc z niepokojem. Na to małpa odparła, że nie ma zamiaru oddawać nikomu swojej jedynej wątroby.

– Ale... obiecałaś! – zawołała żałośnie meduza.

– Kłamałam, nie masz na co liczyć! – odkrzyknęła jej małpa, po czym zaczęła drwić z niej, mówiąc, że od początku chciała ją przechytrzyć, bo nie miała ochoty zginąć, co z pewnością by się stało, gdyby dotarła do pałacu

Króla Mórz i pozwoliła medykowi wyciąć sobie wątrobę.

– Ale oczywiście jeśli chcesz, możesz tu się do mnie wspiąć i spróbować mi ją sama odebrać – zakończyła cynicznie.

Meduzie nie pozostało nic innego, jak pogodzić się z karą, jaka spotkała ją za jej głupotę, wrócić do pałacu Ryūjina i przyznać się do porażki. Powłokła się więc z powrotem do morza i popłynęła z wolna w stronę domu. Ostatnią rzeczą, jaką słyszała z powierzchni, był szyderczy śmiech małpy.

W tym czasie Ryūjin, doktor, ochmistrz i wszyscy poddani z niecierpliwością wyczekiwali powrotu meduzy. Gdy zobaczyli, że się zbliża, powitali ją okrzykami radości. Zaczęli dziękować jej wylewnie za podjęcie trudu udania się na wyspę i dopytywali, gdzie jest małpa. Dla biednej meduzy nastał sądny dzień. Wydusiła z siebie całą historię o tym, jak udało jej się dowieźć małpę do połowy drogi, po czym wypaplała prawdziwy powód swojej misji i została przez nią oszukana.

Smoczy król wpadł we wściekłość i kazał natychmiast surowo ukarać meduzę. Kara, którą wyznaczył, była sroga: kazał wyrwać jej z ciała wszystkie kości, a to, co zostanie, obić kijami. Biedna meduza, upokorzona i przerażona, błagała o litość, lecz rozkaz króla był nieodwołalny. Jego służący otoczyli ją więc i wyrwawszy jej kości, obili ją na płaską galaretę, po czym wyrzucili za bramy pałacu. W ten oto sposób meduza musiała odpokutować swoje gadulstwo i przyzwyczaić się do poruszania się bez kości.

Z historii tej wynika, że dawniej meduzy miały kości i skorupkę, podobnie jak żółwie, lecz odkąd wykonano rozkaz smoczego króla, wszystkie meduzy są miękkie i pozbawione kości – dokładnie takie, jakimi czasem widuje się je, wyrzucone przez fale na brzeg.

19. Zemsta kraba

Pewnego słonecznego jesiennego dnia, dawno temu w Japonii, nad brzegiem rzeki bawiły się razem małpa i krab. W pewnym momencie krab znalazł ciasteczko ryżowe, a małpa – pestkę persymony. Krab podniósł swoją zdobycz i pokazał ją towarzyszce:

– Patrz, znalazłem coś dobrego!

Na to małpa podniosła swoją pestkę i powiedziała:

– Ja także coś znalazłam. Spójrz!

Jednak małpa, choć uwielbiała owoce persymony, z pestki nie miała żadnego pożytku, bo była twarda jak kamień i niejadalna. Będąc zaś z natury chciwą, pozazdrościła krabowi jego skarbu i zaproponowała wymianę. Oczywiście krab nie widział powodu, żeby zamieniać swoje ciasteczko na twardą pestkę, więc nie chciał przystać na tę propozycję. Na to przebiegła małpa poczęła przekonywać go słowami:

– Jak niemądrze z twojej strony, że nie myślisz o przyszłości! Oczywiście twoje ryżowe ciasteczko jest większe niż moja pestka i można zjeść je od razu, ale jeśli posadzisz ją w ziemi, wkrótce wypuści pędy i w ciągu kilku lat wyrośnie z niej wielkie drzewo, które rok po roku rodzić będzie mnóstwo owoców. Gdybym tylko mogła opisać ci, jak będzie wyglądało, obwieszone tymi żółtymi owocami! Rzecz jasna jeśli mi nie wierzysz, sama je zasadzę, chociaż jestem pewna, iż z czasem pożałujesz, że mnie nie posłuchałeś.

Prostoduszny krab nie mógł się oprzeć sprytnej argumentacji małpy. W końcu poddał się więc i zgodził na wymianę. Zachłanna małpa natychmiast pożarła ciastko i niechętnie oddała krabowi pestkę. Najchętniej zatrzymałaby oba przedmioty, ale bała się rozzłościć kraba, który mógłby ją za to uszczypnąć swoimi ostrymi, nożycopodobnymi szczypcami. Po tym rozstali się i każde udało się do siebie – małpa do lasu, a krab między kamienie nad brzegiem rzeki. Kiedy tylko dotarł do domu, zasadził w ziemi nasionko – dokładnie tak, jak mu powiedziała małpa.

Kiedy nadeszła wiosna, z radością odkrył młodziutki pęd kiełkujący spod ziemi. Co roku stawał się większy, aż w końcu, pewnej wiosny, drzewko obsypało się kwieciami, a jesienią zrodziło wielkie, soczyste owoce, które zwisały między szerokimi, gładkimi, zielonymi liśćmi niczym złote kule,

które dojrzewając, przybierały odcień ciemnopomarańczowy. Krab uwielbiał codziennie wychodzić na słońce i siedzieć pod drzewem, wystawiając oczy na słupki w ten sam sposób, w jaki robią to ślimaki, obserwując, jak jego persymony dojrzewają.

„Ależ będą pyszne!” – myślał sobie.

Wreszcie pewnego dnia uznał, że już wystarczająco dojrzały i bardzo chciał skosztować choć jednego owocu. Próbował wspiąć się na drzewo, licząc na to, że uda mu się dosięgnąć pięknych okazów nad swoją głową – nadaremno, bowiem krabie nóżki nie nadają się do wspinaczki, tylko do biegania po piasku i kamieniach, co zresztą robią bardzo sprawnie. Kiedy zbity z tropu zastanawiał się, co ma teraz zrobić, przypomniał sobie dawną towarzyszkę zabaw, małpę, która jak wiadomo – wspina się po drzewach najlepiej na świecie. Postanowił więc poprosić ją o pomoc.

Pomaszerował po krabiemu po skalistym brzegu rzeki, po ścieżkach, prosto do cienistego lasu, gdzie wreszcie znalazł małpę, która uciniała sobie właśnie popołudniową drzemkę na swojej ulubionej sośnie, z ogonem zawiniętym ciasno wokół gałęzi, by nie spadła z niej we śnie. Obudziła się słysząc swoje imię i z zainteresowaniem wysłuchiwała tego, co krab miał jej do powiedzenia. Kiedy usłyszała, że z pestki, którą dawno temu zamieniła na ciastko ryżowe, wyrosło drzewo i właśnie owocuje, była zachwycona, bo z miejsca uknuła chytry plan, jak zdobyć dla siebie wszystkie persymony.

Zgodziła się pójść z krabem i zerwać dla niego owoc. Kiedy dotarli na miejsce, była zaskoczona tym, jak piękne drzewo wyrosło z nasionka i ile dojrzałych owoców zwisa z jego gałęzi. Szybko wspięła się na nie, poczęła zrywać persymony i zjadać jedną po drugiej tak szybko, jak mogła. Za każdym razem wybierała najładniejsze i najbardziej dojrzałe owoce i zajadała się nimi, aż nie była w stanie już więcej w siebie wcisnąć. Czekającemu na dole biednemu, głodnemu krabowi nie dała ani jednego, a gdy się najadła, na drzewie zostały tylko twarde i niedojrzałe persymony.

Można sobie wyobrazić, jak czuł się nieszczęsny krab, kiedy po tylu latach cierpliwego wyczekiwania, by drzewo wyrosło i obrodziło, teraz patrzył, jak małpa wyjada mu wszystkie dobre owoce. Był tak rozczarowany, że biegał wokół drzewa, przypominając małpie o jej obietnicy. Ta początkowo nie zwracała na niego uwagi, ale w końcu złapała najtwardszą, najbardziej zieloną persymonę, jaką znalazła, i cisnęła nią prosto w głowę kraba.

Niedojrzałe persymony są twarde jak kamień, więc gdy pocisk trafił celu, poważnie zranił biedaka. Małpa zaś poczęła szybko zrywać zielone owoce i miotać nimi w bezbronno kraba, aż ten padł martwy, z ranami na całym ciele. Zaprawdę smutny był to widok – tak okrutnie zabity u stóp drzewa, które sam posadził.

Gdy małpa zorientowała się, że krab nie żyje, uciekła z miejsca zbrodni ile sił w nogach, trzęsąc się ze strachu – tchórzostwo bowiem, obok chciwości, było drugą z jej przywar.

Krab miał syna, który właśnie bawił się z przyjacielem nieopodal miejsca, gdzie wydarzyła się ta tragedia. Kiedy wracał do domu, natknął się na zmasakrowane ciało ojca – jego głowa była zmiażdżona, a pancerz pęknięty w kilku miejscach, wokół zwłok zaś zalegały niedojrzałe persymony, które były przyczyną jego śmierci. Na ten straszny widok biedny mały krabik usiadł na ziemi i zapłakał gorzko.

Rozpaczał przez jakiś czas, ale w końcu stwierdził, że dalszy płacz nic tu nie pomoże. Jego obowiązkiem było teraz pomścić ojca i poprzysiągł sobie, że tego dokona. Rozejrzał się wokół, szukając jakiejś wskazówki, która pomogłaby mu zidentyfikować mordercę. Kiedy uniósł w górę łebek, zauważył, że najlepsze owoce z drzewa zniknęły, a dookoła leży pełno skórek i pestek, a także niedojrzałych persymon, którymi ktoś najwyraźniej rzucał w jego ojca. Pojął wtedy, że to małpa musiała być winowajcą, bo przypomniał sobie historię, którą kiedyś opowiedział mu ojciec o zamianie ryżowego ciasteczka na nasionko persymony. Mały krabik wiedział też, że małpy uwielbiają te owoce najbardziej ze wszystkich i był pewien, że to żądza zdobycia upragnionych przysmaków była przyczyną śmierci jego ojca. Pierwszą myślą płonącego gniewem krabika było pomścić ojca od razu. Zreflektował się jednak, że ten plan nie ma szans powodzenia, bo małpa była starym i przebiegłym zwierzęciem i niełatwo było zyskać nad nią przewagę. Musiał więc jak ona uciec się do swego sprytu, wiedząc zaś, że sam nigdy nie zdoła jej zabić, poprosił o pomoc przyjaciół.

Wpierw zwrócił się do moździerza, dawnego druha ojca, i opowiedział mu, co się stało. Ze łzami w oczach zaklinał go, by pomógł mu pomścić śmierć rodzica. Moździerz bardzo zmartwił się na tę tragiczną nowinę i natychmiast zgodził się wesprzeć krabika. Ostrzegł go przy tym, że musi być ostrożny, bo małpy to silni i sprytni przeciwnicy. Poradził mu także, by zwrócił się w tej kwestii do pozostałych przyjaciół ojca, pszczoły i kasztana. Gdy ci przybyli

na miejsce i usłyszeli szczegóły tragicznej śmierci kraba z rąk podłej i chciwej małpy, chętnie zgodzili się pomóc jego synowi dokonać zemsty. Długo naradzali się wspólnie, w jaki sposób osiągnąć swój cel, aż w końcu rozstali się i krabik udał się wraz z mózdzierzem do domu, by pochować zmarłego.



*Małpa i persymony.
Drzeworyt Ohary Shōsona (1900 r.)*

W tym czasie mała gratulowała sobie sprytu, jak to często czynią niegodziwcy, nim dosięgnie ich sprawiedliwość. Uznała, że zachowała się bardzo przebiegle, okradając przyjaciela z dojrzałych persymon i zabijając go. Mimo to nie mogła pozbyć się obaw o konsekwencje, jeśli jej podły czyn zostanie odkryty. Jeśli kraby odkryją, że to ona zabiła ich pobratymca (choć powtarzała sobie, że to niemożliwe, bo nikt nie widział, jak to zrobiła), z pewnością ją znienawidzą i zapragną się zemścić. Nie wychodziła więc z domu przez kilka dni, jednak po pewnym czasie nuda dała jej się we znaki, tym bardziej, że była przyzwyczajona do nieskrępowanej swobody w leśnych ostępach. Rzekła więc do siebie:

– Nikt nie wie, że to ja zabiłam kraba! Jestem pewna, że staruszek wyzionął ducha jeszcze zanim uciekłam, a przecież martwi prawdy nie wyjawia! Kto zatem pomyśli, że to byłam ja? A skoro nikt nie wie, jaki sens ma zamykanie się w domu i zamartwianie się tym! Co się stało, to się nie odstanie!

Uspokoiwszy się nieco, zakradła się w okolice domu zmarłego i przysunęła się jak najbliżej okna, by podsłuchać, co sąsiedzi mówią na temat śmierci kraba, który – tak się składało – był naczelnikiem ich wioski. Nic jednak nie usłyszała, więc stwierdziła:

– Jakie z nich głupie stworzenia, że nie domyślają się i nie dbają o to, kto zabił ich naczelnika!

Nie zdawała sobie bowiem sprawy, posługując się swoim, jak to zwać, „małym rozumem”, że pozorna beztroska krabów była częścią planu syna zamordowanego naczelnika. Ten umyślnie udawał, że nie wie, kto zabił jego ojca i że uważa, iż jego śmierć była przypadkowa. W ten sposób chciał uspić czujność winowajcy, by tym lepiej przeprowadzić zemstę. Mała tymczasem wróciła do domu uspokojona i zadowolona. Powtarzała sobie, że teraz już nie ma żadnych powodów do obaw.

Tydzień później, gdy siedziała akurat w domu, ku jej zaskoczeniu przybył do niej posłaniec od młodego krabika. Kiedy zastanawiała się, co to może oznaczać, ten skłonił się i rzekł:

– Mój pan wysłał mnie do ciebie, by poinformować cię, iż jego ojciec zabił się spadając z drzewa persymony, kiedy starał się na nią wspiąć po owoce. Jako że minęło siedem dni od tego tragicznego wydarzenia, jest to dzień pierwszej uroczystości żałobnej i mój pan przygotował stosowną ceremonię ku czci zmarłego [1]. Niniejszym zaprasza cię, jako jednego z najlepszych

przyjaciół jego ojca, byś wzięła w niej udział. Ma nadzieję, że wyświadczysz jego domowi ten zaszczyt.

Małpa w głębi serca ucieszyła się, gdy to usłyszała, bo słowa te położyły kres jej obawom o to, że ktoś może ją podejrzewać. Nawet przez myśl jej nie przeszło, że i to było częścią planu krabika. Udała więc zaskoczenie na wieść o śmierci naczelnika krabów i powiedziała:

– Bardzo mi przykro z powodu śmierci waszego naczelnika. Jak wiesz, byliśmy najlepszymi przyjaciółmi. Pamiętam, że kiedyś na plaży wymieniliśmy się naszymi znaleziskami: on dał mi ryżowe ciasteczko, a ja jemu nasionko persymony. I pomyśleć, że właśnie to nasionko stało się przyczyną jego śmierci! Oczywiście z wdzięcznością przyjmuję zaproszenie. To mój obowiązek, by oddać cześć pamięci mojego biednego, starego przyjaciela – to powiedziawszy, dla pozorów wycisnęła z oczu kilka łez.

Posłaniec zaśmiał się na ten widok w duchu, myśląc:

„Ta podła małpa roni teraz fałszywe łzy, ale już wkrótce z jej oczu popłyną prawdziwe!” – na głos jednak podziękował tylko małpie uprzejmie i wrócił do siebie.

Gdy małpa została sama, roześmiała się na głos z naiwności krabika i wciąż niczego nie podejrzewając, już nie mogła się doczekać uczy, która miała wieńczyć uroczystość żałobną. Przebrała się więc szybko i z powagą na pysku udała się do domu kraba. Tam zastała już wszystkich członków rodziny zmarłego oraz jego dalszych krewnych i znajomych, którzy przywitali ją serdecznie. Wymieniwszy kurtuazyjne pokłony i pozdrowienia, poprowadzili ją do głównej sali, gdzie podszedł do niej młody krabik, pełniący rolę naczelnego żałobnika. Małpa złożyła mu kondolencje, gospodarz wyraził podziękowania, po czym usiedli do wystawnej uczy, w czasie której zabawiano małpę jak honorowego gościa.

W końcu przyjęcie dobiegło końca i nadszedł czas na uroczystą ceremonię herbacianą. Krabik osobiście zaprowadził małpę do pawilonu herbacianego, po czym oddalił się i długo nie wracał. Czas mijał i małpa zaczęła się niecierpliwie. W końcu stwierdziła:

– Ceremonia herbaciana to zawsze straszne nudy i dłużyzna. Mam już dość czekania. W czasie uczy wypiałam tyle sake, że teraz chce mi się pić!

To powiedziawszy, podeszła do paleniska, by nalać sobie do czarki nieco wrzątku z wiszącego nad nim czajniczka, kiedy nagle coś z donośnym

trzaskiem wyskoczyło z popiołu i trafiło małą prosto w szyję. To był kasztan, jeden z przyjaciół kraba, który ukrył się w palenisku. Przestraszona mała odskoczyła w tył i rzuciła się do ucieczki. Na to pszczoła, która chowała się dotąd za parawanem, wyleciała zza niego i użądliła ją w policzek. Mała krzyczała z bólu i wściekłości – kark palił ją od oparzenia kasztanem, a twarz puchła od ukąszenia.

Wybiegła przed dom, a tam w bramie ukrył się kamienny móździerz, w towarzystwie paru głązów. Gdy mała przebiegała przez bramę, skoczył jej wprost na głowę. Kamienny móździerz jest ciężkim naczyniem, a do tego spadł na nią z wysokości, więc przygniótł ją tak, że leżała teraz poobijana, zwijając się z bólu i nie mogąc wstać. Wtedy nadszedł krabik i trzymając nad nią swoje wielkie, nożycopodobne szczypce, rzekł:

– Pamiętasz chyba, że jesteś winna śmierci mojego ojca?

– Zatem... jesteś moim... wrogiem? – wysapała z trudem mała.

– Oczywiście – odparł młody krab.

– To... była wina... twojego ojca, nie moja! – wydusiła wciąż nieskruszona mała.

– Masz jeszcze czelność kłamać? Zaraz wydasz swój ostatni dech! – z tymi słowami krabik opuścił szczypce i odciął nimi małej głowę. W ten oto sposób spotkała ją zasłużona kara, a młody krab pomścił śmierć swojego ojca.

[1] W Japonii uroczystości żałobne obchodzone są najczęściej 7., 49. i 100. dnia po śmierci (przyp. tłum.).

20. Pięciobarwne kamienie i chińska cesarzowa Jōka

Dawno, dawno temu w Chinach panowała wielka cesarzowa imieniem Jōka, która przejęła władzę po swoim bracie, cesarzu Fukkim [1]. Była to era gigantów i cesarzowa mierzyła siedem i pół metra, prawie tyle samo, co jej brat. Była wspaniałą kobietą i potężną władczynią. Istnieje ciekawa legenda o tym, jak naprawiła część nieba i jeden z ziemskich filarów podtrzymujących nieboskłon, zniszczonych w czasie buntu wznieconego przez jednego z poddanych cesarza Fukkiego.

Buntownik miał na imię Kokai [2] i miał blisko osiem metrów wzrostu. Jego ciało było w całości pokryte włosami, a jego twarz była czarna jak żelazo. Był czarownikiem, a przy tym miał okrutną naturę. Kiedy zmarł Fukki, Kokai zapalał chęcią przejęcia władzy w Chinach, lecz jego plan zawiódł i na tron wstąpiła siostra cesarza, Jōka. Kokai był wściekły, że udaremniiono mu realizację pragnień, więc wzniecił powstanie. Zaczął od tego, że wezwał Demona Wody, który sprowadził na cały kraj wielką powódź. Żywiół pozbawił biednych ludzi ich domów i gdy cesarzowa Jōka zobaczyła ogrom nieszczęścia, jaki dotknął jej poddanych, domyśliła się, że to sprawka Kokaia i wypowiedziała mu wojnę.

Cesarzowa miała dwóch wiernych poddanych generałów, imieniem Hako i Eiko. Pierwszego z nich mianowała dowódcą przedniej armii. Hako był zachwycony, że wybór cesarzowej padł na niego i rozpoczął przygotowania do bitwy. Wziął najdłuższą włócznię, jaką tylko mógł znaleźć, dosiadł czerwonego konia i już miał wyruszyć, kiedy usłyszał za sobą tętent kopyt i okrzyk:

– Stój, Hako! Ja muszę dowodzić przednią armią!

Hako odwrócił się i zobaczył swego druha Eiko, galopującego na białym koniu i obnażającego wielki miecz. To wzbudziło gniew Hako, który zawołał w odpowiedzi:

– Ty bezczelny łajdaku! Sama cesarzowa rozkazała, bym to ja poprowadził armię do boju. Jak śmiesz mnie powstrzymywać?!

– To ja powinienem ją prowadzić, a ty powinieneś słuchać moich rozkazów! Na tę butną odpowiedź gniew Hako zapłonął żywym ogniem.

– Masz czelność w ten sposób mi odpowiadać?! Masz za swoje! – to powiedziawszy, pchnął włócznią w kierunku Eiko. Ten jednak był szybszy i odskoczywszy błyskawicznie w bok, uniósł miecz i zranił wierzchowca Hako w głowę, zmuszając tym samym generała, by z niego zsiadł.

Hako rzucił się na przeciwnika, a wtedy Eiko w oka mgnieniu zerwał z jego piersi odznakę przywódcy i pocwałował dalej. Wszystko rozegrało się tak szybko, że generał stał oszołomiony, nie wiedząc, co ma uczynić. Tymczasem cesarzowa, która widziała tę scenę, była mimowolnie pod wrażeniem szybkości ambitnego Eiko. Mając za cel bezwzględną pacyfikację wroga, postanowiła w tej sytuacji obu generałów mianować dowódcami swego wojska.

Hako w związku z tym powierzyła lewe skrzydło armii, a Eiko prawe. Za nimi ruszyło sto tysięcy żołnierzy, maszerując wprost na wroga.

Nie minęło wiele czasu, a obaj generałowie dotarli do zamku, gdzie przebywał Kokai. Widząc ich czarownik rzekł do siebie:

– Zdmuchnę tych dwóch biednych chłopców jednym oddechem! – Nie zdawał sobie bowiem sprawy z tego, jak trudna okaże się ta bitwa. Chwycił więc żelazny drąg i dosiadłszy czarnego konia, ruszył jak rozsierzdzony tygrys na swych wrogów.

Gdy Hako i Eiko zobaczyli, że na nich szarżuje, zgodnie postanowili zrobić wszystko, by buntownik nie uszedł z tego starcia z życiem. Zaatakowali go więc z obu stron, jeden włócznią, drugi mieczem. Jednak pokonać potężnego Kokaia nie było tak łatwo. Czarownik zakręcił młynka swoim żelaznym drągiem i w ten sposób się starli, a żaden z nich przez dłuższy czas nie mógł zyskać przewagi nad wrogiem. Wreszcie, chcąc uniknąć ciosu pałką czarownika, Hako spiął konia zbyt gwałtownie. Wierzchowiec potknął się o kamień i przerażony stanął dęba, zrzucając jeźdźca na ziemię.

Wtedy Kokai wyciągnął swój trójgraniasty miecz i już miał zabić powalonego Hako, kiedy dzielny Eiko wbił się na swoim rumaku między nich, wzywając czarownika, by zamiast atakować leżącego, stoczył pojedynek z przeciwnikiem na równej pozycji. Kokai jednak był już zmęczony i wcale nie miał ochoty stawiać czoła nieustraszonemu młodemu wojownikowi, więc zawrócił konia i uciekł z pola bitwy.

W międzyczasie Hako, który był tylko lekko ogłuszony, zdążył wstać i wraz ze swym towarzyszem, jeden konno, drugi pieszo, pogonili za wycofującym się przeciwnikiem. Widząc, że jest ścigany, Kokai zwrócił się w stronę

najbliższego prześladowcy, którym był rzecz jasna jadący wierzchem Eiko, i wyciągnąwszy z kołczana na plecach strzałę, założył ją na łuk i wystrzelił. Czujny Eiko zrobił unik i grot jedynie musnął jego hełm, odbijając się od niego i trafiając w tarczę Hako. Widząc, że obaj wrogowie nawet nie zostali draśnięci i zdając sobie sprawę z tego, iż zostanie dopadnięty nim zdąży wyciągnąć drugą strzałę, czarownik postanowił uciec się do magii. Wyciągnął różdżkę i zaraz nastąpiła wielka powódź, która porwała armię cesarzowej i jej dzielnych generałów, jak strumień lekko niesie opadłe jesienią liście.

Hako i Eiko, zanurzeni po szyje, walczyli z całych sił z prądem, kiedy spostrzegli, że okrutny Kokai zbliża się ku nim, idąc po wodzie ze wzniesionym w górę drągiem. Zrozumieli, że lada moment może ich trafić, lecz mimo to dokładali wszelkich sił, by odpłynąć spoza zasięgu czarownika. Wtedy odkryli nagle, że tuż przed nimi z wody wyrasta coś, co wyglądało na wyspę, na której stał stary człowiek o włosach białych jak śnieg, uśmiechający się do nich. Zawołali do niego, prosząc o pomoc. Staruszek kiwnął głową i zbliżył się do krawędzi wody. Ledwie jego stopy jej dotknęły, kipiela rozstąpiła się, odsłaniając ścieżkę i w ten sposób zaskoczeni wojownicy zostali uratowani.

Tymczasem Kokai dotarł do wyspy, która zdawała się w cudowny sposób wynurzać z toni. Spostrzegłszy, że jego wrogowie ocaleli, wpadł we wściekłość. Ruszył na staruszkę i wyglądało na to, że lada chwila go zabije – ten jednak pozostawał niewzruszony i spokojnie czekał. Kiedy czarownik znalazł się blisko, zaśmiał się tylko wesoło i zmieniając się w pięknego, białego żurawia, machnął skrzydłami i wzniósł się do nieba.

Gdy Hako i Eiko to zobaczyli, domyślili się, że ich wybawca nie był zwykłym człowiekiem – być może był to nawet jakiś bóg pod postacią człowieka. Mieli nadzieję, że wkrótce się tego dowiedzą. Teraz jednak wycofali się, a że dzień miał się ku końcowi i słońce już zachodziło, obie strony postanowiły odłożyć walkę do następnego ranka.

W nocy generałowie naradzali się, co robić i stwierdzili, że walka z czarownikiem Kokaiem, który posiada magiczne moce, jest skazana na porażkę. Zwrócili się więc ze swoim problemem do cesarzowej, a ta, po dłuższym namyśle, postanowiła poprosić o pomoc boga ognia, Shukuyū [3].

Shukuyū mieszkał na biegunie południowym. Było to jedyne miejsce, gdzie mógł przebywać bezpiecznie, bo jego ciało paliło wszystko, z czym tylko

miało kontakt – nie było jednak w stanie spalić tak ogromnej połaci śniegu i lodu. On także był olbrzymem i mierzył dziewięć metrów wzrostu. Jego twarz wyglądała jak wyrzeźbiona z marmuru, a jego włosy i długa broda były białe jak śnieg. Był niezwykle silny i podobnie jak Kokai miał władzę nad wodą, tak Shukuyū miał władzę nad ogniem.

– Shukuyū z pewnością będzie w stanie pokonać Kokaia – stwierdziła cesarzowa Jōka. Posłała więc Eiko na biegun południowy, by błagał boga ognia o podjęcie walki przeciwko czarownikowi i pokonanie go.

Słyszając przekazaną przez posłańca prośbę cesarzowej, Shukuyū uśmiechnął się i rzekł:

– To nie będzie trudne zadanie. Nie kto inny, jak tylko ja uratowałem ciebie i twojego towarzysza, kiedy tonęliście w powodzi sprowadzonej przez Kokaia.

Eiko zdziwił się wielce i z miejsca podziękował mu za ratunek, zaklinając go, by jak najszybciej udał się z nim i pomógł zgładzić podstępного czarownika. Shukuyū zgodził się i udał się wraz z dzielnym generałem do cesarzowej. Ta powitała go serdecznie i osobiście powtórzyła swoją prośbę. Odpowiedź boga była kojąca:

– Nie ma powodu do niepokoju. Z całą pewnością zabiję Kokaia.

Następnie stanął na czele trzydziestotysięcznej armii i mając Hako oraz Eiko za przewodników, pomaszerował w stronę zamku Kokaia. Bóg ognia znał sekret czarownika i kazał żołnierzom zdobyć pewien gatunek krzewu. Gdy już go zebrali w wielkiej ilości, spalili go i każdy wojownik napełnił sobie sakwę uzyskanym popiołem.

Tymczasem Kokai w swej pysze uważał, że Shukuyū nie dorasta mu do pięt i mamrotał do siebie:

– To nic, że jesteś bogiem ognia, wkrótce będzie po tobie.

To powiedziawszy, wymówił zaklęcie i znów nastąpiła powódź, tym razem wysoka jak góry. Shukuyū wcale się tym nie przejął, tylko kazał swoim ludziom rozsypać wkoło popiół, który mieli w zanadrzu. Krzew, z którego go uzyskali, miał tę właściwość, że ledwie popiół z niego dotknął wody, tworzył z nią sztywnie błoto, tak że żołnierzom nie groziło utonięcie.

Czarownik przeraził się widząc, że bóg ognia go przechytrył i dając się ponieść wściekłości, ruszył na wroga. Wyjechał mu naprzeciw Eiko i obaj mężczyźni starli się w boju. Walczyli ze sobą przez dłuższy czas jak równy z równym. Hako, który uważnie śledził ich pojedynek, zauważył jednak

w pewnym momencie, że jego druh zaczyna okazywać zmęczenie i obawiając się o jego życie, zajął jego miejsce. Kokai jednak również był już wyczerpany i nie czując się w stanie walczyć teraz z Hako, rzekł chytrze:

– Jesteś bardzo szlachetny, że walczysz za swojego przyjaciela, ryzykując własnym życiem. Nie mógłbym skrzywdzić takiego dobrego człowieka.

Następnie udał, że się wycofuje i zawrócił konia. Miał zamiar zmylić czujność Hako i obróciwszy się nagle, zaatakować go z zaskoczenia. Shukuyū przejrzał jednak jego zamiary i zawołał:

– Jesteś tchórzem! Mnie nie oszukasz! – po czym dał znak nierozważnemu Hako, by zaatakował wroga. Kokai z kolei zwrócił się z gniewem przeciwko bogowi ognia, ale że już był zmęczony i nie mógł walczyć jak należy, wkrótce otrzymał ranę w ramię. Tym razem więc naprawdę uciekł z pola bitwy.

Podczas gdy dowódcy jednej i drugiej strony walczyli ze sobą, obie armie stały, czekając na rozkaz do ataku. Wreszcie Shukuyū zwrócił się do żołnierzy cesarzowej i nakazał im uderzyć na wojsko wroga. Po tym nastąpiła wielka rzeź, z której podstępny czarownik ledwie uszedł z życiem.

Kokai na próżno starał się wezwać na pomoc Demona Wody, Shukuyū znał bowiem skuteczne przeciwzakęcie. Czarownik zrozumiał, że przegrał tę bitwę. Zamroczony z bólu, jako że rana coraz bardziej dawała mu się we znaki, a przy tym oszalały ze strachu i bezsilnego gniewu, ze schyloną głową pomknął w stronę góry Shū [\[4\]](#), uderzył w nią i zginął na miejscu.

Tak skończył podły czarownik Kokai, ale to nie oznaczało kresu kłopotów cesarstwa. Siła, z jaką uderzył w skały, była tak wielka, że góra rozpadła się, a spod ziemi dobył się ogień. Jeden z filarów podtrzymujących nieboskłon został uszkodzony, tak że kraniec nieba opadł i dotykał teraz ziemi.

Shukuyū zabrał ciało Kokaia, by pokazać je cesarzowej, która bardzo ucieszyła się widząc, że jej wróg został pokonany, a jej armia zwyciężyła. Z miejsca obsypała boga wszelkimi podarunkami i honorami.

Ogień jednak wciąż buchał z uszkodzonej góry, niszcząc wioski, paląc pola uprawne, wypełniając koryta rzek lawą i stanowiąc poważne zagrożenie dla nieszczęsnych, pozbawionych domów ludzi. Cesarzowa więc, ledwie nagrodziła odpowiednio Shukuyū, czym prędzej opuściła stolicę i udała się na miejsce katastrofy. Tam spostrzegła, że zarówno niebo, jak i ziemia doznały uszkodzeń, a okolicę spowijał taki mrok, że musiała zapalić lampę, by zbadać ogrom wyrządzonych zniszczeń.

Ustaliwszy powód tego stanu, zabrała się za naprawę. Wezwała do siebie poddanych, nakazując im znaleźć pięć kamieni, każdy o innej barwie: niebieski, żółty, czerwony, biały i czarny. Gdy już je dostała, ugotowała je w wielkim kotle wraz z czymś w rodzaju porcelany, otrzymując piękną masę, za pomocą której zamierzała naprawić niebo.

Przywołała do siebie w tym celu chmury, zwykle żeglujące wysoko nad jej głową, dosiadła je, po czym poszybowała na nich w górę, dzierżąc w dłoniach naczynie z masą otrzymaną z pięciobarwnych kamieni. Wkrótce dotarła do uszkodzonej części nieba, nałożyła na nią przygotowaną maź i naprawiła sklepienie. Następnie zajęła się uszkodzonym filarem niebios i zreperowała go, używając nóg olbrzymiego zółwia. Gdy skończyła, wsiadła znów na chmurę i wróciła na ziemię, licząc, że wszystko będzie już jak trzeba. Jednak wkoło wciąż panowały ciemności; za dnia nie świeciło słońce, a księżyc nie rozświetlał nocy.

Zakłopotana tym stanem rzeczy, Jōka zwołała zebranie najmądrzejszych ludzi z całego cesarstwa i poprosiła ich o radę, co począć w tej sytuacji. Dwaj mędrcy rzekli jej:

– Ostatnie wypadki uszkodziły drogi w niebie, przez co Słońce i Księżyc musiały pozostać w swoich domach. Ze względu na stan dróg ani jedno, ani drugie nie mogło odbywać swoich codziennych wędrówek. Nie wiedzą one jeszcze, że Wasza Wysokość naprawiła szkody, udamy się więc do nich i poinformujemy je, że drogi są już przejezdne.

Cesarzowa przystała na ich plan i nakazała im natychmiast udać się w drogę. Nie było to jednak łatwe, bo pałace Słońca i Księżyca były położone setki tysięcy kilometrów na wschód od ziemi. Gdyby mędrcy mieli podróżować pieszo, nigdy nie dotarliby na miejsce, bo umarliby ze starości jeszcze w drodze. Jōka jednak umiała posługiwać się magią. Podarowała swoim posłom dwa piękne latające powozy, które potrafiły poruszać się z prędkością tysiąca kilometrów na minutę. Wyruszyli więc w dobrych nastrojach i po wielu dniach podniebnej podróży dotarli wreszcie do krainy, gdzie szczęśliwie żyły razem Słońce i Księżyc.

Posłom udzielono posłuchania u dwojga Bóstw Światła, w czasie którego spytali, dlaczego przez tak wiele dni ukrywały się z dala od świata. Czy nie wiedziały, że czyniąc tak, pogrążyły całą ziemię w ciemnościach, a ludzi pozostawili na pastwę niekończącej się, nieprzeniknionej nocy? Na to Słońce i Księżyc odpowiedziały:

– Zapewne wiecie, że góra Shū nagle trysnęła ogniem i uszkodziła poważnie drogi w niebie. Ja, Słońce, nie mogłem odbywać mojej codziennej wędrówki po takich drogach... Z pewnością Księżyc także nie mógł nigdzie podróżować nocą! Zostaliśmy więc u siebie na jakiś czas.

Na to mędrcy pokłonili im się do ziemi i oznajmili:

– Nasza cesarzowa Jūka już naprawiła drogi za pomocą cudownej masy z pięciobarwnych kamieni, więc zapewniamy Wasze Wysokości, że możecie już nimi podróżować równie bezpiecznie, co przed tą katastrofą.

Słońce i Księżyc jednak nie okazały entuzjazmu, mówiąc, że słyszały też, iż jeden z filarów podtrzymujących niebo pękł i że obawiają się, czy nie będzie to dla nich zbyt niebezpieczne poruszać się po firmamencie, nawet jeśli drogi są już naprawione.

– O to także nie musicie się już martwić – odpowiedzieli posłowie. – Nasza cesarzowa naprawiła go za pomocą żółwiowych nóg i jest tak samo mocny, jak wcześniej.

Na te słowa wreszcie oba Bóstwa Światła rozpogodziły się i wyszły na zewnątrz, by sprawdzić stan dróg. Okazało się, że wysłannicy cesarzowej mówili prawdę, więc niezwłocznie znów zaczęły darzyć świat swoim światłem. Ludzie odetchnęli z ulgą, a pod dalszymi rządami mądrej cesarzowej w Chinach jeszcze długo panowały pokój i dobrobyt.

[1] Fukki (chiń. Fuxi) to w mitologii chińskiej jeden z tzw. „Trzech Czcigodnych” (chiń. Sānhuáng wǔdě, jap. San Kōgotei), pierwszych władców Chin. Jōka to japońskie czytanie imienia Nüwa (przyp. tłum.).

[2] Chiń. Gonggong (przyp. tłum.).

[3] Chiń. Zhurong (przyp. tłum.).

[4] Chiń. Buzhou (przyp. tłum.).

21. Shinansha, czyli powóz wskazujący południe

Kompas, ze swoją igłą zawsze wskazującą kierunek północny, jest przedmiotem całkiem powszednim i nikt w dzisiejszych czasach nie uważa go za obiekt godny uwagi. Kiedy jednak go wynaleziono, z pewnością postrzegano go w kategoriach cudu.

Dawno temu w Chinach wynaleziono jeszcze bardziej zadziwiający przedmiot, zwany *shinansha* [1]. Miał on postać powozu z figurką człowieka, która zawsze wskazywała południe. Bez względu na to, gdzie się go umieściło, laleczka zawsze obracała się i wskazywała ten sam kierunek.

Ten osobliwy przyrząd został wynaleziony przez Kōteia [2], jednego z trzech chińskich cesarzy ery mitycznej. Kōtei był synem cesarza Yuhi. Nim przyszedł na świat, jego matka miała wizję, w której przepowiedziano jej, że jej syn zostanie wielkim człowiekiem.

Pewnego letniego wieczoru poszła pospacerować po łące, by napawać się chłodną bryzą odchodzącego dnia i widokiem rozświetlonego gwiazdami nieba nad sobą. Kiedy spoglądała na Gwiazdę Północy, wydarzyło się coś niespotykanego: nagle trysnęły z niej na wszystkie strony barwne promienie. Niedługo po tym Kōtei przyszedł na świat.

Kiedy dorósł, objął tron po swoim ojcu, cesarzu Yuhim. Wczesne lata jego panowania były burzliwe, a to za sprawą buntownika Shiyū [3], który sam chciał zostać królem i w tym celu stoczył wiele bitew. Shiyū był przebiegłym czarownikiem; miał głowę z żelaza i nikt nie był w stanie go pokonać.

Wreszcie Kōtei postanowił wypowiedzieć wojnę buntownikowi i poprowadził przeciwko niemu swoją armię. Siły miały się spotkać na równinie zwanej Takuroku. Cesarz śmiało zaatakował wroga, lecz czarownik sprowadził na pole bitwy gęstą mgłę i podczas gdy armia władcy błędziła po omacku, próbując znaleźć właściwą drogę, Shiyū wycofał swoich ludzi, śmiejąc się w kułak z przechytrzonego cesarza.

Bez względu na to, jak silni i odważni byli ludzie władcy, buntownik z pomocą magii zawsze znajdował sposób, by im się wymknąć.

Kōtei wrócił do pałacu, zastanawiając się, co ma zrobić, żeby pokonać czarnoksiężnika, bowiem bynajmniej nie miał zamiaru się poddawać.

Wreszcie, po długim czasie, skonstruował mechanizm, który wieńczyła figurka człowieka, zawsze wskazująca południe – w tamtych czasach nie znano jeszcze kompasu. Z tym wynalazkiem, który niezawodnie pokazywał drogę, nie musiał dłużej obawiać się gęstej mgły, sprowadzanej na jego ludzi przez czarnoksiężnika.

Ponownie wypowiedział więc wojnę Shiyū. Umieścił *shinanshę* na przedzie armii, by wskazywała jej drogę na pole bitwy.

Starcie zaczęło się w najlepszy sposób. Siły buntownika cofały się pod naporem wojsk cesarskich, kiedy Shiyū po raz kolejny uciekł się do magii i wypowiadając na głos kilka dziwnych słów, zaraz sprowadził na pole bitwy gęstą mgłę.

Tym razem jednak wojownicy cesarza nic sobie z niej nie robili i ani jeden nie pomylił drogi. Posługując się *shinanshą*, Kōtei był w stanie bezbłędnie wyznaczyć właściwy kierunek i poprowadzić swoją armię do celu. Ściągał siły buntownika bezlitośnie, aż zepchnął je nad brzeg wielkiej rzeki. Okazało się, że wskutek powodzi jej wody tak wezbrały, iż niepodobnym było się przez nią przeprawić. Tymczasem Shiyū dzięki magii szybko przeniósł się wraz ze swoimi ludźmi na drugi brzeg i tam skryli się w fortecy.

Kiedy Kōtei trafił na tę przeszkodę nie do przezwyciężenia, szalał ze złości, bo już niemal miał wroga w garści, kiedy zatrzymała go rzeka. Nie mógł zrobić nic, ponieważ w tamtych czasach nie istniały promy, więc rozkazał postawić sobie namiot w najdogodniejszym miejscu nieopodal brzegu, by czekać na rozwój wypadków.

Pewnego dnia wyszedł z namiotu i po krótkim spacerze natrafił na staw. Usiadł na brzegu i zatopił się w rozmyślaniach. Była jesień i drzewa wkoło gubiły liście, które unosiły się tu i tam na powierzchni wody. Obserwując je, Kōtei dostrzegł pająka, który starał się dostać na jeden z pływających nieopodal liści. W końcu mu się udało i już wkrótce popłynął na nim na drugą stronę stawu.

Sprytny cesarz pomyślał, że i on mógłby spróbować zrobić coś, co przeniosłoby go wraz z jego ludźmi na drugi brzeg rzeki w taki sam sposób, w jaki liść przewiózł pająka. Zabrał się do pracy i nie spoczął, póki nie wynalazł pierwszej łodzi. Kiedy mu się to udało, zebrał swoich ludzi i kazał im zrobić więcej takich samych czółen. Wkrótce mieli ich wystarczająco dużo, by przewieźć całą armię.

Teraz Kōtei bez przeszkód przeprawił się ze swymi ludźmi przez rzekę,

zaatakował kryjówkę Shiyū, odniósł nad nim ostateczne zwycięstwo i tym samym położył kres wojnie, która od tak dawna nękała jego lud.

Mądry i dobry cesarz bez wytchnienia dbał o pokój i dobrobyt całego kraju. Poddani go kochali, bo pod jego rządami zaznali wreszcie długich lat bez trosk. Sam władca spędzał wiele czasu pracując nad kolejnymi wynalazkami, które przysłużyłyby się jego ludziom i poza łodzią oraz *shinanshō* skonstruował ich jeszcze sporo.

Kōtei rządził przez około sto lat, kiedy pewnego dnia, gdy patrzył w niebo, nagle cały firmament poczerwieniał i pojawił się na nim jakiś świecący jak złoto punkt, z zawrotną prędkością przybliżający się ku ziemi. Już po chwili cesarz dostrzegł, że to ogromny smok, który przyfrunął do niego i skłonił się przed nim. Cesarzowa i dworzanie tak się przestraszyli na ten widok, że rzucili się z krzykiem do ucieczki. Tylko cesarz pozostał na miejscu; uśmiechnął się i kazał im się zatrzymać.

– Nie obawiajcie się – rzekł do nich. – To wysłannik z nieba. Mój ziemski czas dobiegł końca!

To powiedziawszy, wsiadł na grzbiet smoka i począł wznosić się na nim do nieba. Gdy cesarzowa i poddani zobaczyli to, zawołali za nim:

– Czekał na nas! Chcemy iść z tobą! – po czym podbiegli do smoka, złapali go za brodę i starali się wdrapać na niego. Nie było jednak szans, aby tylu ludzi mogło jednocześnie dosiąść smoka. Kilkoro z nich zawisło na jego wąsach, ale tylko wyrwali mu je i wraz z nimi spadli na ziemię.

Tymczasem cesarzowa wraz z kilkoma dworzanami usadowiła się wygodnie na grzbiecie smoka. Zwierz wzbił się w niebo tak wysoko, że już po chwili pozostawieni w tyle zawiedzeni mieszkańcy pałacu stracili ich z oczu.

Po jakimś czasie na pałacowy dziedziniec spadł z nieba łuk ze strzałą. Słudzy rozpoznali w nim własność cesarza Kōteia, zabrali go do skarbcza i przechowywali odtąd jak najświętszą relikwię.

[1] Chiń. *zhǐnán chē* (przyp. tłum.).

[2] Kōtei to japońskie czytanie imienia Huángdì, czyli Żółtego Cesarza, który według legend panował w Chinach w latach 2697–2597 p.n.e. (przyp. tłum.).

[3] Chiń. Chiyou (przyp. tłum.).

22. Zwierciadło z Matsuyamy

Dawno, dawno temu w Matsuyamie w prowincji Echigo, która nawet obecnie stanowi słabo dostępną część Japonii, żyło sobie pewne małżeństwo. W chwili, kiedy ta opowieść się zaczyna, byli już razem od kilku lat, a los obdarował ich córeczką. Była radością i dumą ich życia i to w niej pokładali wszystkie swoje nadzieje na pogodne dni starości.

W ich pamięci złotymi zgłoskami zapisane były najpiękniejsze chwile dorastania ich dziecka: pierwsza wizyta w świątyni trzydziestego dnia życia dziewczynki, którą otuloną wystawnym kimonem dumna matka poleciła opiece rodzinnych bóstw; jej pierwsze święto lalek [1], kiedy rodzice sprezentowali jej zestaw figurek i miniaturowych akcesoriów, których przybywało z każdym kolejnym rokiem, a wreszcie bodaj najważniejsza uroczystość ze wszystkich, jej trzecie urodziny, kiedy wokół jej smukłej talii po raz pierwszy zawiązano szkarłatno-złote obi, symbol porzucenia okresu dziecięcego i wkroczenia w wiek dziewczęcy. Gdy skończyła siedem lat, umiała już rozmawiać ze swoimi rodzicami i usługiwać im w sposób, który wielce radował ich serca i zdawało się im, że nic więcej już im los na tym świecie dać nie może. W całej Japonii nie było bowiem szczęśliwszej rodziny.

Pewnego dnia w domu zapanowało niemałe zamieszanie, bo ojca dziewczynki nagle wezwano w interesach do stolicy. W dzisiejszych czasach, gdy istnieje kolej i inne szybkie sposoby przemieszczania się, trudno sobie wyobrazić, co oznaczała podróż z Matsuyamy do Kioto. Drogi były wtedy trudne i zwykli ludzie przemierzali je pieszo, bez względu na to, czy musieli pokonać sto, czy kilkaset kilometrów. Wybrać się do stolicy było wówczas tak trudnym wyzwaniem, jak dziś dla Japończyków udać się do Europy.

Żona zamartwiała się więc, pomagając mężowi przygotować się do długiej podróży, wiedząc o tym, jak trudne zadanie go czeka. Najchętniej udałaby się wraz z nim, lecz droga była za długa dla kobiety z dzieckiem, a poza tym jej obowiązkiem było roztaczać pieczę nad domem pod nieobecność męża.

Wreszcie wszystko było gotowe i mężczyzna stanął w progu, a przy nim jego żona i córka.

– Nie martw się, wkrótce będę z powrotem – powiedział do kobiety. – Dbaj

o wszystko, gdy mnie nie będzie, a szczególnie o naszą córeczkę.

– Nam nic nie grozi, ale ty musisz dbać o siebie i wrócić do nas tak szybko, jak tylko możliwe – odpowiedziała żona, a łzy płynęły jej z oczu nieprzerwanym strumieniem. Tylko dziewczynka się uśmiechała, bo nie знаła jeszcze bólu rozstania i nie wiedziała, że podróż do stolicy nie jest tym samym, co wycieczki do sąsiedniej wioski, które jej ojciec często odbywał. Podbiegła do niego i chwyciła go za skraj długiego rękawa, by jeszcze coś mu powiedzieć.

– Ojczy, będę bardzo grzeczna, kiedy cię nie będzie, więc przywieź mi, proszę, jakiś prezent!

Mężczyzna odwrócił się jeszcze, by po raz ostatni spojrzeć na szlochającą żonę i uśmiechniętą, podekscytowaną córeczkę i miał wrażenie, że coś siłą trzyma go w miejscu – tak trudno było mu się z nimi pożegnać, bo nigdy dotąd się nie rozstawali. Wiedział jednak, że musi jechać, jako że z rozkazami nie było żadnej dyskusji. Zdusił więc w sobie smutek i niepokój i odwróciwszy się plecami do rodziny, przeszedł szybko przez ogród i przekroczył bramę. Jego żona, porwawszy dziecko w ramiona, pobiegła za nim, by odprowadzić go wzrokiem, gdy oddalał się drogą wiodącą między sosnami, aż jego sylwetka znikła w oddali.

– Twój ojciec wyjechał, więc teraz my musimy zająć się wszystkim, póki nie wróci – zwróciła się do dziewczynki i razem zawróciły do domu.

– Będę bardzo grzeczna – odparła córka, kiwając głową. – A kiedy ojciec wróci, powiedz mu, proszę, jak się sprawowałam, to może da mi jakiś prezent.

– Ojciec z pewnością przywiezie ci coś, co ci się spodoba. Wiesz, poprosiłam go, aby kupił ci lalkę. Myśl więc o nim codziennie i módl się za jego bezpieczny powrót.

– Dobrze, już nie mogę się doczekać, jak wróci! – zawołała dziewczynka i klasnęła w dłonie, a jej twarz rozjaśniła się na tę radosną myśl. Matka patrzyła na jej twarzyczkę i czuła, że jej serce przepełnia się miłością.

W czasie długich, samotnych dni pod nieobecność męża kobieta odganiała ponure myśli, oddając się przygotowaniom zimowej odzieży dla całej trójki. Wyciągnęła prosty, drewniany kołowrotek i zaczęła prząść i tkać. W przerwach w pracy wskazywała dziewczynce różne zabawy i uczyła ją czytać dawne rodzime historie. W ten sposób czas minął im szybko

i w końcu mężczyzna wrócił do domu.

Był tak zmieniony, że ktoś, kto nie znał go dobrze, z trudem by go poznał. Podróżował dzień za dniem, w słońce i niepogodę, przez calutki miesiąc, więc jego skóra była spalona na brąz – jednak żona i córka rozpoznały go natychmiast i wybiegły mu na spotkanie, uczepiając się jego rękawów jedna z jednej, druga z drugiej strony. Cieszyli się, że widzą się nawzajem w dobrym zdrowiu. Zdawała się upłynąć cała wieczność, nim z pomocą kobiet zszuł słomiane sandały i odłożył na bok wielki, spiczasty kapelusz, po czym usiadł pośrodku pokoju dziennego w rodzinnym domu, który wcześniej bez niego wydawał się pusty.

Gdy tylko usiedli na białych matach, otworzył bambusowy kosz, który służył mu w podróży, po czym wyciągnął z niego piękną lalkę i lakowane pudełko pełne ciastek.

– Proszę – zwrócił się do córki. – Oto twój prezent. To nagroda za to, że tak troskliwie opiekowałaś się swoją matką i domem pod moja nieobecność.

– Dziękuję – odrzekła dziewczynka i ukłoniła się aż do ziemi, po czym wyciągnęła ręce, by chwycić lalkę i pudełko, szeroko rozkładając paluszki, tak że jej dłonie przypominały teraz małe, klonowe listki. Oba przedmioty pochodziły ze stolicy, co oznaczało, że były piękniejsze niż wszystko, co do tej pory widziała. Nie da się słowami opisać, jak była nimi zachwycona – wydawało się, że zaraz rozplynie się z radości i od tej chwili patrzyła już tylko na nie.

Tymczasem mężczyzna znów zanurzył dłoń we wnętrzu kosza i tym razem wyciągnął z niego kwadratowe, drewniane pudełko, starannie przewiązane czerwono-białą wstążką. Podał je żonie, mówiąc:

– A to dla ciebie.

Kobieta wzięła od niego pudełko i otworzywszy je ostrożnie, wyciągnęła z niego metalowy, okrągły przedmiot z rączką. Z jednej strony był on jasny i błyszczący jak kryształ, zaś z drugiej pokrywały go rzeźbienia przedstawiające sosny i żurawie, tak doskonale oddane, że wyglądały jak żywe. Nigdy w życiu nie widziała czegoś podobnego, bo urodziła się i wychowała na prowincji. Spojrzała na połyskliwą taflę i z zaskoczeniem ujrzała w niej swoją twarz, więc wykrzyknęła:

– Ktoś na mnie patrzy z tego przedmiotu! Co to jest?!

Na to mąż zaśmiał się i odparł:

– Przecież to twoja własna twarz! Ten przedmiot nazywa się zwierciadło

i ktokolwiek spojrzy w nie, widzi w nim swoje odbicie. Chociaż w naszej okolicy jest to rzecz nieznaną, w stolicy używa się ich od stuleci. Tam lustro uważa się za nieodzowny atrybut każdej kobiety. Jest nawet takie powiedzenie: „Jak miecz odzwierciedla duszę samuraja, tak lustro odzwierciedla duszę kobiety”, a tradycja głosi, że zwierciadło kobiety oddaje stan jej serca. Jeśli dba o to, by zawsze było czyste i piękne, znaczy to, że i jej serce jest dobre. To także jedno z insygniów cesarskich. Dbaj więc o to zwierciadło i używaj go ostrożnie.

Kobieta wysłuchiwała tego wszystkiego, ciesząc się, że dowiedziała się tylu nowych rzeczy. Tym bardziej cieszyła się teraz z tego cennego podarunku, który świadczył o tym, że mąż myślał o niej w czasie swej podróży.

– Skoro lustro odzwierciedla moją duszę, będę dbać o nie jak o najcenniejszy skarb i nie będę używać go lekkomyślnie! – to powiedziawszy, uniosła zwierciadło do czoła na znak wielkiego szacunku i wdzięczności, po czym zamknęła je na powrót w pudle i odłożyła na bok.

Dostrzegłszy, że jej mąż jest wyczerpany po podróży, przygotowała zaraz dla niego wieszak, usługując mu przy tym jak najlepiej umiała. Wszyscy tak bardzo cieszyli się, że rodzina znów jest w komplecie, iż mieli wrażenie, że wcześniej nie znali, co to szczęście. Tego wieczoru ojciec jeszcze długo opowiadał o swojej podróży i wszystkim, co widział w stolicy.

Od tych wydarzeń upłynął jakiś czas i małżeństwo ku swej największej radości oglądało, jak ich nadzieje się ziszczają, gdy ich córka z dziecka stopniowo przemieniła się w piękną, szesnastoletnią dziewczynę. Dbali o nią z nieustającą miłością i troską, jak o bezcenny klejnot w dłoni dumnego posiadacza, a ich trud okazał się odpłacony w dwójnasób. Dla matki była pociechą, gdy krzątała się pilnie po gospodarstwie, oddając się pracom domowym, dla ojca zaś dumą, bo z dnia na dzień coraz bardziej przypominała swoją matkę w dniu, kiedy ją poślubił.

Niestety, nic na tym świecie nie trwa wiecznie. Nawet księżyc nie pozostaje stale w swym idealnym kształcie, lecz z biegiem czasu traci okrągłą linię, podobnie jak wszystkie kwiaty kiedyś więdną. W końcu więc pasmo nieustającego szczęścia przerwało nieszczęście. Pewnego dnia dobra i łagodna matka dziewczynki zachorowała.

Początkowo jej mąż i córka myśleli, że to tylko przeziębienie, i to niezbyt poważne. Dni jednak mijały, a stan kobiety nie tylko się nie poprawiał, ale

wręcz się pogarszał. Lekarze rozkładali ręce i mimo ich wysiłków chora z dnia na dzień słabła. Ojciec i córka załamywali ręce z rozpaczą, a dziewczyna dzień i noc nie opuszczała matki. Mimo wszystkich jej starań stało się jednak jasne, że kobieta umiera.

Pewnego dnia, gdy dziewczyna czuwała jak zwykle przy łóżku matki, starając się ukryć za promiennym uśmiechem ból, który trawił jej serce, kobieta uniosła się nieco z posłania i ująwszy córkę za rękę, z wielką miłością spojrzała jej głęboko w oczy. Ciężko oddychając, wydusiła z siebie słowa:

– Moja córeczko, wiem, że już nie ma dla mnie ratunku. Obiecuj, że kiedy umrę, zaopiekujesz się swoim drogim ojcem i postarasz się być dobrą i sumienną młodą kobietą.

– Och, matko, nie mów takich rzeczy! – wykrztusiła dziewczyna przez łzy. – Musisz tylko szybko wydobrzeć... To będzie dla nas największym szczęściem, dla ojca i dla mnie!

– To dla mnie wielkie pocieszenie w moich ostatnich dniach wiedzieć, jak bardzo pragniecie, bym wróciła do zdrowia, tak się już jednak nie stanie. Nie rób takiej smutnej miny, taka jest widocznie moja karma, bym odeszła właśnie teraz. Wiedząc o tym, jestem pogodzona z losem. A teraz chciałabym dać ci coś, byś pamiętała o mnie, gdy mnie już tu nie będzie.

To powiedziawszy, wyciągnęła rękę i sięgnęła za poduszkę po kwadratowe, drewniane pudełko, przewiązane jedwabnym sznurem zakończonym z frędzlami. Rozwiązała go bardzo ostrożnie, po czym wyjęła ze środka zwierciadło, które mąż podarował jej wiele lat temu.

– Byłaś jeszcze dzieckiem, kiedy twój ojciec udał się do stolicy, skąd przywiózł mi w prezencie ten oto skarb. Przedmiot ten nazywają lustrem. Chciałabym ci je dać przed śmiercią. Gdy mnie już tu nie będzie, a ty poczujesz się samotna i zatęsknisz za mną, wyciągnij je, a w jego czystej i przejrzystej tafli zawsze zobaczysz moją twarz. W ten sposób będziesz mogła wciąż mnie widywać i zwierzać mi się z tego, co trapi twoje serce. Ja zaś, choć nie będę w stanie ci odpowiedzieć, zawsze będę cię rozumiała i ci współczuła, cokolwiek przydarzy ci się w przyszłości – z tymi słowami kobieta podała córce zwierciadło. Jej twarz wydawała się teraz spokojna i zaraz opadła z powrotem na posłanie, nie mówiąc już więcej ani słowa. Jeszcze tego samego dnia wyzionęła ducha.

Owdowiały mężczyzna i jego córka rozpaczali z całego serca. Nie mogli uwierzyć w to, że oto muszą rozstać się z ukochaną kobietą, która dotąd była częścią ich życia, i powierzyć jej prochy ziemi. Z czasem jednak ból stępsiał i doszli do siebie po tej stracie, ze smutkiem, lecz i spokojem poddając się rezygnacji. Mimo to życie dziewczyny stało się odtąd bardzo samotne. Jej miłość do matki nie malała z biegiem czasu, a jej wspomnienie było dla niej tak żywe, że wszystko dookoła, nawet deszcz czy wiatr, przypominało jej o zmarłej i o chwilach, które razem dzieliły.

Pewnego dnia, gdy jej ojciec był poza domem, a ona pełniła swoje codzienne domowe obowiązki, samotność i żal stały się nie do zniesienia. Padła na podłogę w matczynym pokoju i szlochała tak, jakby serce miało jej za chwilę pęknąć. Nieszczęsna, tak bardzo pragnęła choć na chwilę ujrzeć ukochaną twarz i usłyszeć czuły głos wołający jej imię, który stłumiłby dojmujący ból i wypełniłby pustkę w jej duszy. Nagle w jej uszach zadźwięczały ostatnie słowa matki, które dotąd zagłuszał żal.

– Och! Przecież matka dając mi na pamiątkę po sobie lustro powiedziała, że kiedy tylko w nie spojrzę, zobaczę jej twarz! Niemal zapomniałam o jej ostatnich słowach... Jak mogłam! Wezmę je teraz i sprawdzę, czy to prawda. To powiedziawszy, otarła szybko łzy i podeszła do komody, skąd wyciągnęła pudełko skrywające zwierciadło. Z bijącym sercem uniosła je i spojrzała w jego gładką powierzchnię, a tam – cud! Ujrzała w niej twarz swojej matki. Radość dziewczyny nie miała granic. Oblicze spoglądające na nią z lustra nie było wychudzone i zniszczone chorobą, jak twarz jej matki w ostatnich dniach jej życia, lecz tchnęło młodością i urodą, jak w czasach, gdy dziewczyna była jeszcze dzieckiem. Zdawało jej się, że lada chwila usłyszy głos matki; wręcz niemal słyszała, jak mówi jej, by wyrosła na dobrą kobietę i oddaną córkę – tak czułym wzrokiem patrzyła na nią kobieta w zwierciadle. „Z pewnością widzę teraz duszę mojej matki! Wie, jak bardzo mi jej brakuje, więc pojawiła się tu, by mnie pocieszyć. Gdy tylko za nią zatęsknię, będę mogła ją tu widywać. Jestem jej za to taka wdzięczna!” – pomyślała dziewczyna.



*Zwierciadło z Matsuyamy.
Drzeworyt Utagawy Kuniyoshiego (1842 r.)*

Od tego czasu lżej jej było na sercu. Co rano, by zebrać siły przed codziennymi pracami, i co wieczór, by pocieszyć się przed snem, dziewczyna wyciągała zwierciadło i patrzyła w to, co się w nim ukazywało, w prostocie swego serca wierząc, że to dusza jej matki. Z dnia na dzień stawała się do niej coraz bardziej podobna, uprzejma i miła dla wszystkich, a dla swego ojca oddana i troskliwa.

W ten sposób minął rok żałoby i mężczyzna, za namową krewnych, ponownie się ożenił, więc córka winna była od tej pory posłuszeństwo także macosze. To była dla niej wielka próba, lecz bezustanne wspomnianie rodzonej matki i ciągłe dążenie do tego, by być taką, jak jej przykazała, uczyniły dziewczynę słodką i cierpliwą, więc postanowiła dołożyć wszelkich starań, by dla nowej żony swego ojca być poddaną i sumienną pasierbicą.

Przez jakiś czas wszystko w rodzinie układało się pomyślnie i nic nie wskazywało na to, by między jej członkami było jakiegokolwiek napięcie czy niezgoda, więc ojciec cieszył się z całego serca.

Kobiety jednak mają naturalną skłonność do małostkowości i zawiści, a macochy zdają się przodować pod tym względem na całym świecie. Także i w tym przypadku uśmiech, który kobieta prezentowała na twarzy, nijak miał się do tego, co kryła w swoim sercu. W miarę, jak dni i tygodnie zmieniały się w miesiące, poczęła traktować dziewczynę coraz gorzej i starać się poróżnić ją z ojcem.

Czasem skarżyła się mężowi na zachowanie pasierbicy, ten jednak, świadom, że to rzecz naturalna w ich sytuacji, nie zwracał na to uwagi, a im więcej kobieta narzekała na dziewczynę, mając nadzieję, że mężczyzna w końcu odsunie ją od siebie, tym więcej czułości jej okazywał. Wkrótce macocha dostrzegła tę prawidłowość, co bynajmniej nie było po jej myśli. Zaczęła więc się zastanawiać, jak mogłaby pozbyć się dziecka z domu – tak podłe było jej serce.

Odtąd bacznie obserwowała dziewczynę i pewnego dnia, gdy wczesnym rankiem zajrzała do jej pokoju, zobaczyła coś, co ją przeraziło, lecz jednocześnie uznała to za wystarczający powód, by oczernić ją przed ojcem. Stała więc znów przed mężem i ocierając fałszywe łzy, oznajmiła mu ze smutkiem:

– Proszę, pozwól mi natychmiast cię opuścić.

Zaskoczony mężczyzna zapytał ją o powód tej nagłej i niespodziewanej prośby:

– Cóż takiego nie spodobało ci się w moim domu, że nie chcesz w nim dłużej pozostawać?

– To nie ma nic wspólnego z tobą... Za nic w świecie nie chciałabym się z tobą rozstawać, lecz jeśli dłużej tu zostanę, moje życie będzie w niebezpieczeństwie, więc sędzę, że najlepiej dla wszystkich będzie, jeśli wrócę do swojego domu – tu kobieta na nowo wybuchnęła płaczem. Mężczyzna, zmartwiony tym, co usłyszał i mający nadzieję, że to jakaś pomyłka, spytał znowu:

– Co masz przez to na myśli? Co takiego może ci tu grozić?

– Powiem ci, skoro koniecznie chcesz wiedzieć. Twoja córka nie akceptuje mnie jako swojej macochy. Od jakiegoś czasu zamyka się co rano i co

wieczór w swoim pokoju i gdy kiedyś przypadkiem do niej zajrzałam, zobaczyłam, że przygotowała moją podobiznę i przeklinając mnie codziennie, próbuje mnie zabić za pomocą magii. Dopóki tu mieszkam, grozi mi wielkie niebezpieczeństwo, muszę więc uciekać i nie mogę dłużej z tobą zostać.

Mężczyzna wysłuchał tej strasznej opowieści, ale nie mógł uwierzyć w to, by jego córka dopuściła się czegoś okropnego. Znał powszechny przesąd, głoszący, iż można na kogoś sprowadzić śmierć, jeśli się wykona jego podobiznę i codziennie rzuca na nią klątwę, ale skąd miałyby znać go jego młoda i niewinna córka? To było niedorzeczne. Przypomniał sobie jednak, że rzeczywiście zauważył, iż od jakiegoś czasu często zamyka się w swoim pokoju i stroni od innych ludzi, nawet gdy odwiedzają ich goście. Połączywszy ten fakt z opowieścią żony, pomyślał, że być może jednak coś jest na rzeczy.

Był teraz rozdarty pomiędzy wiarą w słowa żony a zaufaniem do własnego dziecka, nie wiedział więc, co począć. W tej sytuacji postanowił niezwłocznie udać się do dziewczyny i poznać prawdę. Pocieszył kobietę, zapewniając ją, że jej obawy są bezpodstawne, a sam zakradł się cicho do pokoju córki.

Dziewczyna już od jakiegoś czasu była bardzo nieszczęśliwa. Starła się z całych sił być miłą i posłuszną wobec macochy, by w ten sposób zmiękczyć jej serce i zburzyć mur uprzedzeń i nieporozumień, które zawsze narastają między pasierbami a macochami lub ojczymami. Teraz jednak zrozumiała, że wszystkie jej wysiłki spełzły na niczym. Macocha za nic nie chciała jej polubić, a wszystkie jej uczynki obracała na jej niekorzyść. Dziewczyna dobrze zdawała sobie sprawę z tego, że kobieta nieraz opowiadała jej ojcu niestworzone historie na jej temat. Nie mogła nic na to poradzić, że wciąż porównywała swoje obecne, pożałowania godne położenie z czasami – zaledwie rok wcześniej – gdy jeszcze żyła jej matka. Cóż za zmiana! Co rano i co wieczór wylewała gorzkie łzy na wspomnienie dawnych dni. Kiedy tylko mogła, chowała się w swoim pokoju i zasuwając szczelnie drzwi, wyciągała zwierciadło, by popatrzeć na to, co brała za twarz swojej matki. To było jej jedyne pocieszenie w tych trudnych chwilach.

W takiej właśnie sytuacji zastał ją ojciec. Odsunąwszy *fusuma* [2], zobaczył ją nachylającą się nad jakimś przedmiotem i patrzącą nań ze skupieniem. Odwróciła się szybko, by zobaczyć, kto wszedł do pokoju. Widok ojca

bardzo ją zaskoczył, bo zazwyczaj jeśli chciał z nią porozmawiać, wzywał ją do siebie. Była tak zmieszana faktem, iż ktoś zobaczył ją z lustrem – nigdy bowiem nie zwierzyła się nikomu z ostatnich słów matki, skrywając je jak największy sekret na dnie serca – że odwracając się, wsunęła szybko przedmiot do rękawa. Mężczyzna dostrzegł jej zakłopotanie, jak również gest chowania czegoś, więc zwrócił się do niej surowo:

– Moja córko, co tutaj robisz? I co schowałaś właśnie w rękawie?

Dziewczyna złękła się ostrego tonu ojca. Nigdy dotąd tak do niej nie przemawiał. W miarę, jak jej konsternacja przeradzała się w strach, jej policzki z purpurowych stały się niemal białe. Siedziała zszokowana i zawstydzona, niezdolna wykrztusić z siebie żadnej odpowiedzi. Okoliczności z pewnością były przeciwko niej: na jej twarzy malowało się poczucie winy, a jej ojciec właśnie zastanawiał się, czy może przypadkiem to, co powiedziała mu żona, nie było jednak prawdą. Odezwał się teraz gniewnie do córki:

– Zatem czy to prawda, że codziennie przeklinasz swoją macochę i modlisz się o jej śmierć? Czy już zapomniałaś, co ci mówiłem, że chociaż jest twoją macochą, winnaś jej posłuszeństwo i lojalność jak rodzonej matce? Jakież zły duch opętał twoje serce, że stałaś się taka podła? Bardzo się zmieniałaś, moja córko! Co uczyniło cię taką niepokorną i obłudną?

Po tych słowach oczy mężczyzny przepełniły się łzami na myśl, że doszło do tego, iż tak surowo skarcił swoje dziecko. Dziewczyna z kolei nie miała pojęcia, o czym jej ojciec mówi, nigdy bowiem nie słyszała o przesądzie, że codziennym rzucaniem na kogoś klątwy można sprowadzić na niego śmierć. Zrozumiała jednak, że musi coś powiedzieć i oczyścić się z zarzutów. Kochała swojego ojca z całego serca i nie mogła znieść myśli, że o coś się na nią gniewa. Położyła mu więc dłoń na kolanie i rzekła z wyrzutem:

– Ojczy, ojczy! Nie mów takich strasznych rzeczy! Jestem niezmiennie lojalna wobec ciebie, naprawdę! Choćbym nie wiem jak była lekkomyślna, nigdy nie rzuciłabym na nikogo klątwy, a już na pewno nie na kogoś, kogo kochasz. Ktoś musiał ci naopowiadać kłamstw, które zamroczyły twój umysł i sam nie wiesz, co mówisz... A może to właśnie twoje serce opętał jakiś zły duch? Nie mam bowiem nawet pojęcia, o jakie złe uczynki możesz mnie posądzać.

W tym momencie mężczyzna przypomniał sobie, że gdy wszedł do pokoju,

jego córka schowała coś przed nim, więc oparł się szczerym słowom dziewczyny i postanowił nie ustępować, póki nie pozna całej prawdy.

– Dlaczego zatem zamykasz się wciąż w swoim pokoju? I co schowałaś w rękawie, gdy mnie zobaczyłaś?

Na to dziewczyna, choć wstydziła się przyznać do ciągłego wspomniania matki, zrozumiała, że musi wyznać prawdę, by odzyskać zaufanie ojca. Wsunęła więc z rękawa zwierciadło i położyła przed nim.

– Kiedy wszedłeś, miałam w rękach to – powiedziała.

– Cóż to? – zdziwił się mężczyzna. – Przecież to jest lustro, które przywiozłem twojej matce wiele lat temu ze stolicy! Miałaś je u siebie przez cały ten czas? Dlaczego wciąż w nie patrzyłaś?

Wtedy dziewczyna zwierzyła się ojcu z ostatnich słów, jakie wypowiedziała jej matka i z tego, że obiecała jej pojawiać się w zwierciadle, ilekroć na nie spojrzy. Ojciec wciąż jednak nie mógł pojąć prostoty serca swojej córki, która nakazywała jej wierzyć, że to, co widzi w lustrze, to twarz jej matki – a nie jej własne odbicie, jak było w istocie.

– Jak to? – spytał. – Nie rozumiem, jak miałabyś widzieć duszę swojej zmarłej matki przeglądając się w lustrze?

– Tak właśnie jest! – zawołała dziewczyna. – Jeśli mi nie wierzysz, sam zobacz!

To powiedziawszy, podniosła zwierciadło, a na jego gładkiej powierzchni pojawiła się jej własna, pogodna twarzyczka. Wskazała z powagą na swoje odbicie i rzekła:

– Teraz mi wierzysz?

Na to ojciec klasnął w dłonie, pojawiwszy nagle całą sytuację.

– Ależ byłem niemądry! Teraz rozumiem! Jesteś kropka w kropkę podobna do swojej matki... Przez cały ten czas spoglądałaś na swoje własne odbicie, sądząc, że patrzysz na twarz twojej zmarłej matki! Jesteś naprawdę lojalnym dzieckiem. To, co w pierwszej chwili może być odczytane jako twoja naiwność, świadczy o głębi twojego oddania i niewinności twego serca. Nieustanne pielęgnowanie w sercu wspomnienia twej zmarłej matki pomogło ci stać się podobną do niej z charakteru. To było bardzo sprytne z jej strony, że ci tak przykazała. Podziwiam cię i oddaję ci honor, moja córko. Wstyd mi, że choć przez chwilę uwierzyłem w tę niestworzoną historyjkę twojej macochy i podejrzewałem cię o złe czyny. Przyszedłem nawet do ciebie

z zamiarem udzielenia ci reprimendy, podczas gdy ty przez cały ten czas byłaś takim wiernym i dobrym dzieckiem! Nie mam nic na swoją obronę, pozostaje mi jedynie prosić cię o wybaczenie.

Tu ojciec zamilkł i zapłakał. Myślał o tym, jak samotna musiała być jego nieszczęsna córka i co musiała wycierpieć od niegodziwej macochy. Mimo niesprzyjających okoliczności zachowała uczciwość i prostolinijność i znosiła wszystkie nieprzyjemności cierpliwie i pogodnie, niczym lotos, który wznosi swoje piękne, czyste płatki ponad powierzchnię bagna i który w Japonii symbolizuje najwyższą, nieskalaną czystość serca.

Tymczasem macocha, która nie mogła doczekać się rozwoju wypadków, przez cały czas ukrywała się tuż za drzwiami i nie potrafiąc pohamować ciekawości, stopniowo odsuwała je, aż stała się świadkiem całej sceny. W tej chwili wpadła do pokoju i rzuciwszy na maty, skłoniła się przed pasierbicą aż do ziemi.

– Ogromnie mi przykro! – zawołała łamiącym się głosem. – Nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak lojalnym dzieckiem jesteś. Nienawidziłam cię dotąd nie z powodu twoich przywar, od których jesteś wolna, lecz z powodu własnego, niegodziwego serca. Żywiąc do ciebie od początku niechęć, uznawałam to za naturalne, że odwzajemniasz moje uczucia, więc gdy zauważyłam, że często zamykasz się samotnie w swoim pokoju, zakradłam się za tobą, by zobaczyć, co robisz. Zobaczyłam, że codziennie spędzasz długie chwile przed lustrem, z czego wyciągnęłam wniosek, że wiesz już, jak bardzo cię nie lubię i z zemsty postanowiłaś zabić mnie za pomocą magii. Do końca życia nie zapomnę, jak błędnie cię osądziłam i ile zła wyrządziłam ci swoimi podejrzeniami, wzbudzając w twoim ojcu podejrzenia względem twojej osoby. Od dziś wyrzekam się moich podłych czynów i postanawiam odmienić swoje serce. Będę traktować cię jak swoje rodzone dziecko, kochać cię i dbać o ciebie z całych sił, by wynagrodzić ci wszystkie cierpienia, jakich zaznałaś z mojej strony. Zapomnij więc teraz to, co było i obdaruj mnie, proszę, choć odrobiną tej miłości, którą dotąd żywiłaś do swej zmarłej matki! W ten oto sposób niegodziwa macocha ukorzyła się przed swoją pasierbicą, błagając ją o wybaczenie. Dziewczyna miała z natury dobre serce i ochoczo przyjęła przeprosiny kobiety, nie żywiąc do niej żadnej urazy. Mężczyzna z kolei, widząc, iż szczerze żałuje przeszłości, odetchnął z ulgą, że wyjaśnili to straszne nieporozumienie.

Od tej pory cała trójka żyła razem zgodnie i szczęśliwie. Nic więcej już nigdy

nie zakłóciło ich idylli, a dziewczyna stopniowo puściła w niepamięć miniony nieszczęśliwy rok, ciesząc się odtąd niekłamaną miłością i czułością macochy. W ten sposób jej cierpliwość i dobroć zostały wreszcie nagrodzone.

[1] Chodzi o Hina Matsuri, dawniej Święto Dziewczynek, w czasie którego eksponuje się zestaw lalek przedstawiających dwór cesarski. Pełny, 15-osobowy zestaw z akcesoriami potrafi kosztować fortunę (przyp. tłum.).

[2] *Fusuma* – przesuwane drzwi (przyp. tłum.).